
1932
KALENDARZ
KRÓLOWEJ KORONY POLSKIEJ
J. H.

Każdy, kto dba o przyszłość Państwa i narodu, komu na sercu leży los sierót i opuszczonych dzieci polskich, kto chce ulżyć ich doli, zapewnić im opiekę, wychowanie i naukę — niech da swój grosz, choćby najskromniejszy na rozbudowę Zakładów Wychowawczych, wielkie dzieło Ks. Bronisława Markiewicza w Miejscu Piastowem i w Pawlikowicach.

Kto chce stale przyczyniać się do utrzymania i rozwoju Zakładów Ks. Bronisława Markiewicza, niech prenumeruje i rozpowszechnia „Powściągliwość i Pracę“, miesięcznik ilustrowany wydawany w Miejscu Piastowem.

Każdy zakupiony Kalendarz Królowej Korony Polskiej, to cegiełka na budowę Zakładu w Miejscu Piastowem.

KALENDARZ KRÓLOWEJ KORONY POLSKIEJ

NA ROK PAŃSKI

1932

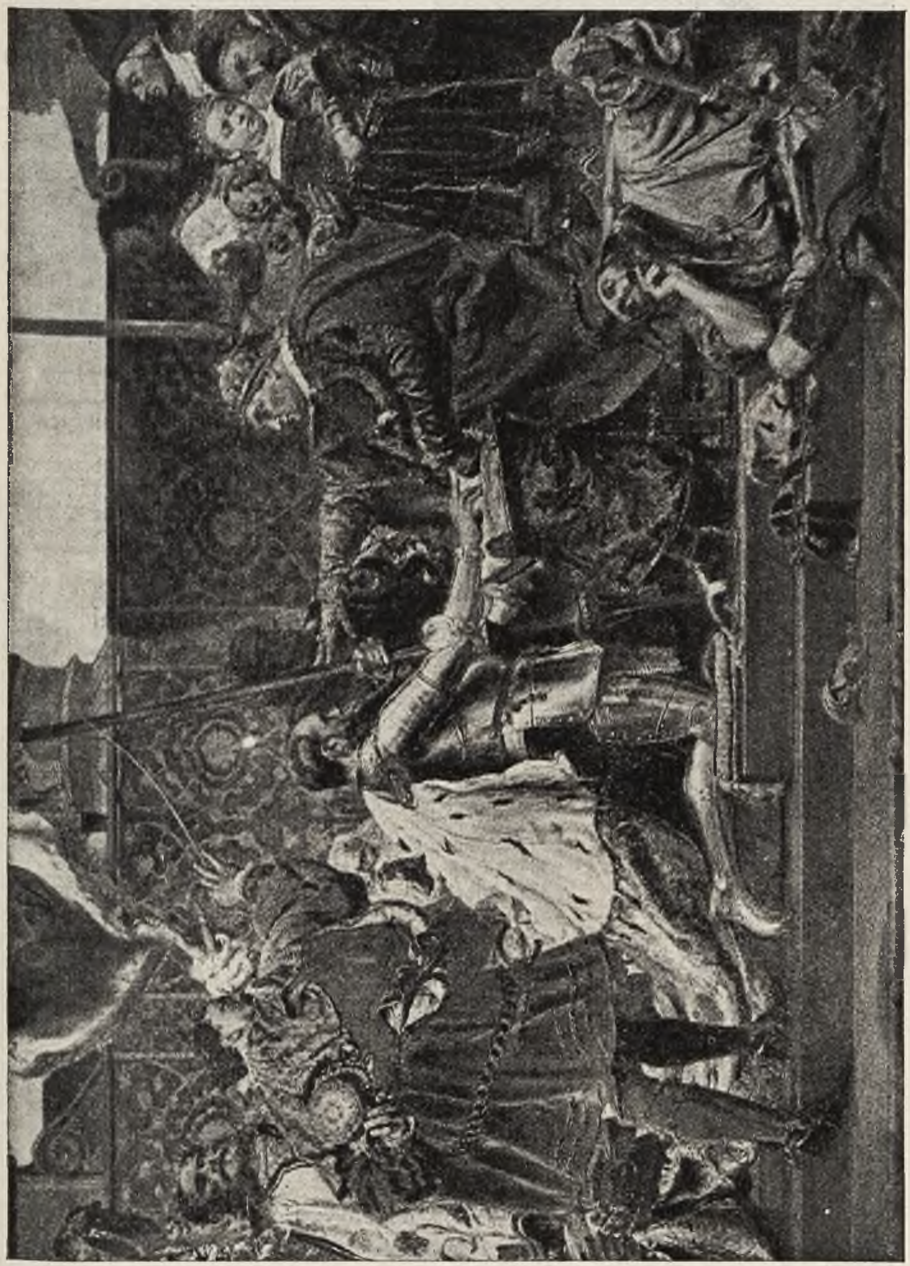


ROCZNIK ÓSMY

WYDAWNICTWO I DRUK ZAKŁADU WYCHOWAWCZEGO
TOW. ŚW. MICHAŁA ARCHANIOŁA W MIEJSCU PIASTOWEM.



Zawitaj Pani świata, Niebieska Królowa —
Witaj Panno nad panny, gwiazdo porankowa...
Zawitaj pełna łaski!...



Hołd pruski w r. 1525.



Podniesienie bandery na Wojennym Okręcie Rzeczypospospolitej Polskiej „Wilja".

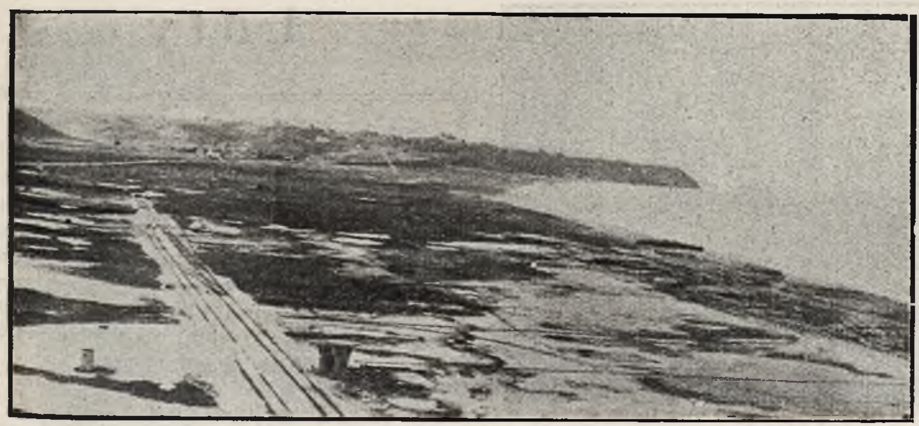
Styczeń

Obrazki z życia Polskiej Marynarki Wojennej.

Obrazek ten uchwycony z natury, przedstawia moment gdy na Wojennym Okręcie Rzeczypospolitej Polskiej „Wilja" zatkniętą zostaje bandera okrętowa, znak najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Gdy na falach wiatru zakołysze się królewski biały orzeł, w przestworza morskie płynie spiżowy głos fanfary.

Fotogr. Inż. Juljan Günsbert.

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.	Słońca		Księżyca	
					wsch.	zach.	wsch.	zach.
1	P.	**Nowy rok.** *Obrz. P.*	19	**Grudnia.** Bonifacego	7.59	16.08	0.14	11.39
2	S.	Makarego op.	20	Ignacego	7.59	16.09	1.37	11.54
1. Ewang. u św. Łuk. Rozdz. 2. 21: Nadanie Imienia Jezus.								
3	N.	**Im. Jezus.** Genowefy p.	21	**N. przed B. Nar.** Jul. m.	7.59	16.10	3.03	12.14
4	P.	Eugenjusza	22	Anastazji	7.59	16.11	4.31	12.40
5	W.	Telesfora m.	23	10 męcz. Kretejskich	7.58	16.12	5.56	13.16
6	Ś.	**Trzech Króli**	24	Eugenji	7.58	16.13	7.12	14.06
7	C.	Lucjana m.	25	**Nar. Jezusa Chrystusa**	7.58	16.14	8.12	15.12
8	P.	Seweryna	26	**Sobór Przecz. Bog.**	7.58	16.16	8.56	16.29
9	S.	Juljana i Bazylisy m.	27	Szczepana m.	7.57	16.17	9.26	17.39
2. Ewang. u św. Łuk. Rozdz. 2. 42—52: Dwunastoletni Jezus w świątyni.								
10	N.	**1 po 3 Kr.** *Św. Rodz.*	28	**N. 1.** po **Boż. N.** 2000 m.	7.57	16.18	9.47	19.07
11	P.	Jana Dobrego	29	Młodzianków	7.56	16.19	10.03	20.21
12	W.	Arkadjusza m.	30	Anyzji	7.56	16.21	10.16	21.32
13	Ś.	40 żołnierzy mm.	31	Melanji	7.55	16.22	10.28	22.41
14	C.	Hilarego DK.	1	**Styczeń. N. Rok 1932**	7.55	16.24	10.38	23.49
15	P.	Pawła 1-go pust.	2	Sylwestra pap.	7.54	16.25	10.50	—.—
16	S.	Marcelego pap. m.	3	Malachjasza pr.	7.53	16.26	11.03	0.58
3. Ewang. u św. Jana. Rozdz. 2. 1—11: Gody w Kanie Galil.								
17	N.	**2 po 3 K.** Antoniego op.	4	**N. 2 po B. N.** Sob. 70 ap.	7.52	16.28	11.19	2.09
18	P.	Stol. św. Piotra	5	Teopemta	7.52	16.29	11.40	3.22
19	W.	Kanuta kr.	6	**Obj. Pańskie** (Jordan)	7.51	16.31	12.08	4.36
20	Ś.	Sebastjana m.	7	Sobór św. Jana	7.50	16.33	12.49	5.46
21	C.	Agnieszki p. m.	8	Grzegorza	7.49	16.34	13.45	6.49
22	P.	Wincentego m.	9	Jerzego	7.48	16.36	14.57	7.38
23	S.	Rajmunda de Penn.	10	Polieukta	7.47	16.37	16.19	8.14
4. Ewang. u św. Mat. Rozdz. 20. 1—16: O robotnikach w winnicy.								
24	N.	**Starozap.** Tym. b. i m.	11	**N. 1 po Obj. P.** Teodoz.	7.46	16.39	17.46	8.41
25	P.	Nawr. św. Pawła Ap.	12	Tacjany	7.45	16.40	19.13	9.01
26	W.	Polikarpa b. i m.	13	Ermyta	7.43	16.42	20.38	9.17
27	Ś.	Jana Złotoustego DK	14	ŚŚ. OO. † Synaju	7.42	16.44	22.02	9.32
28	C.	Flawjana m.	15	Pawła	7.41	16.45	23.26	9.45
29	P.	Franc. Sal. b. DK.	16	Piotra w okowach	7.40	16.47	—.—	10.01
30	S.	Martyny p. m.	17	Antoniego W.	7.38	16.49	0.51	10.18
5. Ewang. u św. Łuk. 8. 4—15: O siejbie na roli.								
31	N.	**Mięsop.** Piotra z Nol.	18	**N. 2 po Obj. P.** Atanaz.	7.37	16.50	2.18	10.42



WIDOK OGÓLNY GDYNI W R. 1920.

Przysłowia.

Nowy rok pogodny, zbiór będzie dogodny.

Kiedy styczeń najostrzejszy, wtedy roczek najpłodniejszy.

A gdy w styczniu deszcze leją, nie ciesz się wielką nadzieją.

Trzej Królowie pod szopę, przybyło dnia na kurzą stopę.

Jak Makary pogodny, wrzesień będzie chłodny.

Agnieszka łaskawa puszcza skowronka z rękawa.

Kiedy Paweł się nawróci, zima wspak się odwróci.

Gdy w styczniu pszczoła z ula wylatuje, nie bardzo dobry rok nam obiecuje.

Kto się w styczniu rodzi, temu gadzina nie szkodzi.

Przepowiednie pogody.

Przez cały styczeń będzie sucho. Mróz niewielki, zato dość silne wiatry zwłaszcza w pierwszej połowie miesiąca.

Złote myśli.

Niech każdy składa talent swój Ojczyźnie, jako dar w skarbonie tajemnie i nie mówiąc, wiele złożył. Przyjdzie czas, że się skarbona napełni, a Pan Bóg zapisuje, ile każdy złożył.

A. Mickiewicz („Księgi pielgrzymstwa").



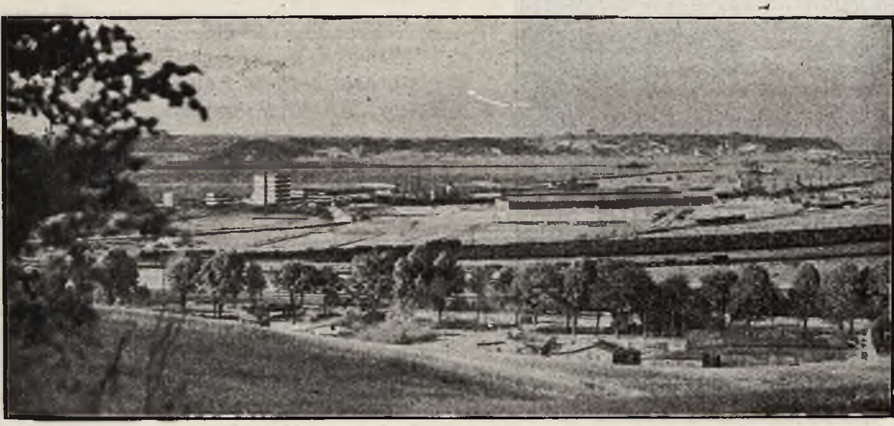
Luty

Obrazki z życia Polskiej Marynarki Wojennej.

Baszta armatnia na Wojennym Okręcie Rzeczyposp. Polskiej „Wicher". Jest to największy polski okręt wojenny, jedna z najsilniejszych jednostek bojowych swojego typu na Bałtyku. Uzbrojony w potężne wieże pancerne i najnowsze ciężkie działa, pełni czujną straż na polskiem morzu.

Fotogr. Inż. Juljan Günsbert.

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.	Słońca wsch.	Słońca zach.	Księżyca wsch.	Księżyca zach.
1	P	Ignacego bp. m.	19	Makarego	7.36	16.52	3.43	11.13
2	W.	*M. B. Gromnicznej*	20	Eutemjusza	7.34	16.54	5.01	11.58
3	S.	Błażeja b. m.	21	Maksyma	7.33	16.56	6.06	12.58
4	C.	Andrzeja Kors. bp.	22	Tymoteusza	7.32	16.57	6.53	14.10
5	P.	Agaty pn. m.	23	Klemensa	7.30	16.59	7.27	15.28
6	S.	Tyt. b., Doroty p. m.	24	Ksenjj	7.28	17.01	7.51	16.47
6. Ewang. u św. Łuk. Roz. 8. 31—43: Jezus przepowiada Swą mękę.								
7	N.	**Zapustna** Romualda op.	25	**N. 3 po Obj.** P. Grzeg.	7.27	17.02	8.08	18.03
8	P.	Jana z Mathy	26	Ksenofonta	7.25	17.04	8.22	19.15
9	W.	Apolonji p. m.	27	Jana Złotoustego	7.24	17.06	8.34	20.25
10	S.	*Popielec.* Scholast. p.	28	Efrema	7.22	17.08	8.45	21.34
11	C.	M. B. z Lourdes	29	Ignacego bp.	7.20	17.09	8.56	22.43
12	P.	7 Założycieli Serwit.	30	**Trzech Świętych**	7.18	17.11	9.08	23.53
13	S.	Grzegorza II pap.	31	Cyrusa i Jana mm.	7 17	17.13	9.22	—.—
7. Ewang. u św. Mat. Roz. 4. 1—11: Kuszenie P. Jezusa na pustyni.								
14	N.	**Wstępna.** Wal. m.	1	Luty. **N. 4 Obj.** P. Tryf.	7.15	17.14	9.40	1.04
15	P.	Klaudj. de la Colom.	2	**Stritenje**	7.13	17.16	10.05	2.17
16	W.	Juljanny p. i m.	3	Symeona i Anny	7.11	17 18	10.39	3.29
17	S.	*Such.* Juljana Kapad.	4	Izydora	7.10	17.20	11.27	4.34
18	C.	Symeona b. i m.	5	Agaty m.	7.08	17.21	12.31	5.29
19	P.	*Such.* Gabina m.	6	Wukoła bp.	7.06	17 23	13.49	6.10
20	S.	*Such.* Leona bp.	7	Partenja m.	7.04	17.25	15.15	6.41
8. Ewang. u św. Mat. Rozdz. 17. 1—9. O Przemienieniu Pańskiem.								
21	N.	**Sucha.** Feliksa b.	8	**N. 5 po Obj.** P. Teod. st.	7.02	17.26	16.43	7.04
22	P.	Stol. ś. Piotr. w Ant.	9	Nicefora	7.00	17.28	18.11	7.22
23	W.	Piotra Damj. DK.	10	Charłampja	6.58	17.30	19.38	7.37
24	S.	Wigilja św. Macieja ap.	11	Własia km.	6.56	17.32	21.06	7.51
25	C.	Macieja ap.	12	Malecja	6.54	17.33	22.34	8.06
26	P.	Cezarjusza m.	13	Nartynjana	6.52	17.35	—.—	8.23
27	S.	Wiktora m.	14	Auksencjusza	6.50	17.37	0.03	8.45
9. Ewang. u św. Łuk. Rozdz. 11. 14—28: P. Jezus wypędza szatana.								
28	N.	**Głucha.** Aleks. b.	15	**Starozapust.** Onesyma	6.48	17.38	1.31	9.14
29	P.	Teofila m., Rom. op.	16	Pamfila	6.46	17.40	2.53	9.54



GDYNIA W R. 1926.

Przysłowia.

Gdy mróz w lutym ostro trzyma, wtedy już niedługo zima.

Gdy w Gromniczną z dachów ciecze, zima długo się powlecze.

Czasem luty ostro kuty, czasem w luty same pluty.

Czasem luty się zlituje, że człek niby wiosnę czuje; ale czasem tak się zżyma, że człek prawie nie wytrzyma.

Gdy na Gromniczną roztaje, rzadkie będą urodzaje.

Święta Dorota zapowiada śnieg i błota.

Święty Walenty gdy odmrozi pięty, na wyżywienie wysprzedawaj sprzęty.

Gdy Święty Maciej lodu nie roztopi, jeszcze długo będą w ręce chuchać chłopi.

Na święty Maciej lody, wióżą długie chłody, a gdy płynie strugą, to i zima już niedługo.

Przepowiednie pogody.

W pierwszych dniach lutego sucho i dość ciepło, później śnieżyce i liczne opady, — następnie mrozy.

Złote myśli.

Miłość przelewa się w otaczające istoty, uzacnia, podnosi, nadaje rozum i władzę, jakiemi nic w świecie obdarzyć nie może.

J. I. Kraszewski („Jermioła").

Marzec



Obrazki z życia Polskiej Marynarki Wojennej.

Pokład i działo przeciwlotnicze na Wojennym Okręcie Rzeczyposp. Polskiej „Wicher". O. R. P. „Wicher" jest uzbrojony według wymagań najnowszej techniki wojennej. Obok potężnych dział burzących posiada i baterję szybkostrzelnych armat przeciwlotniczych najnowszej konstrukcji, jako obronę przeciwko napadom lotniczym.

Fotogr. Inż. Juljan Gunsbert.

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.	Słońca		Księżyca	
					wsch.	zach.	wsch.	zach.
1	W.	Albina b.	17	Teodora	6.44	17.42	4.02	10.49
2	Ś.	Pawła m.	18	Leona W. pap.	6.42	17.43	4.54	11.58
3	C.	Kunegundy ces.	19	Archipa	6.40	17.45	5.30	13.14
4	P.	Kazimierza królew.	20	Leona	6.38	17.47	5.56	14.32
5	S.	Fryderyka b.	21	Tymoteusza	6.36	17.48	6.15	15.48
10. Ewang. u św. Jana. Rozdz. 6. 1—15: P. Jezus karmi cudow. 5000 osób.								
6	N.	**Środop.** Kolety p.	22	**Mięsopustna.** Eugenji	6.34	17.50	6.30	17.01
7	P.	Tom. z Akw. DK.	23	Polikarpa	6.32	17.51	6.42	18.12
8	W.	Wincen. Kadł., J. Boż.	24	Znal. głowy św. J. Ch.	6.30	17.53	6.53	19.21
9	Ś.	Franciszki Rz. wd.	25	Tarasa	6.28	17.55	7.04	20.30
10	C.	40 Męczenników	26	Porfirjusza	6.25	17.56	7.15	21.39
11	P.	Sofronjusza b.	27	Prokopa	6.23	17.58	7.28	22.50
12	S.	Grzegorza W. pap. DK.	28	Wasylja pust.	6.21	18.00	7.45	—.—
11. Ewang. u św. Jana. Rozdz. 8. 46—59: Żydzi chcą P. Jezusa ukamienować.								
13	N.	**Czarna.** Kryst. pn. m.	29	**Zapustna.** Teofila	6.19	18.01	8.06	0.02
14	P.	Matyldy ces.	1	Marzec. Eudokji	6.17	18.03	8.35	1.13
15	W.	Klemensa Dw. w.	2	Teodata	6.15	18.04	9.16	2.21
16	Ś.	Męcz. kanadyjskich	3	Eutropjusza	6.12	18.06	10,12	3.19
17	C.	Patrycjusza bp.	4	Harasyma i Paw.	6.10	18.08	11.22	4.05
18	P.	*M. B. Bol.*, Cyr. Jer. DK.	5	Konona m.	6.08	18.09	12.43	4.39
19	S.	*Józefa Oblub. N. M. P.*	6	42 m. z Amorei	6.06	18.11	14.09	5.05
12. Ewang. u św. Mat. Rozdz. 21. 1—9: Triumf. wjazd P. Jezusa do Jerozol.								
20	N.	**Palmowa.** Eufemji m.	7	**Wstępna.** Wasylja	6.04	18.12	15.36	5.24
21	P.	Benedykta op.	8	Teofilakta	6.02	18.14	17.05	5.41
22	W.	Katarzyny szwedz.	9	40 męcz. z Sebastji	5.59	18.16	18 33	5.56
23	Ś.	Feliksa m.	10	Kondrata	5.57	18.17	20.04	6.10
24	C.	*W. Czwart.* Gabr. arch.	11	Sofronjusza	5.55	18.19	21.36	6.27
25	P.	*W. Piąt. Zwiast. NMP.*	12	Teofana	5.53	18.20	23.08	6.47
26	S.	*W. Sobota.* Teodora bp.	13	Nicefora	5.51	18.22	—.—	7.13
13. Ewang. u św. Marka. Rozdz. 16. 1—7: O zmartwywstaniu P. Jezusa.								
27	N.	**Wielkanoc.** Jana D. DK.	14	**Sucha.** Benedykta	5.48	18.23	0.36	7.50
28	P.	**Poniedz. W.** Jana Kap.	15	Agapa m.	5.46	18.25	1.53	8.42
29	W.	Eustazjusza op.	16	Sawyna i Juljana	5.44	18.27	2.52	9.48
30	Ś.	Jana Klimaka op.	17	Aleksego	5.42	18.28	3.33	11.03
31	C.	Balbiny p.	18	Cyryla i Aleks.	5.40	18.30	4.02	12.21



GDYNIA W R. 1929.

Przysłowia.

W marcu kto siać nie zaczyna, swego dobra zapomina.

Co marzec wypiecze, to kwiecień wysiecze.

Kiedy starzec chory w marzec, będzie zdrów; lecz gdy baba w maju słaba, pacierz zmów.

Marzec dziwne stroi fochy, zmiata starce i junochy.

Suchy marzec, mokry maj, będzie żyto gdyby gaj.

Suchy marzec, maj niechłodny, mokry kwiecień, rok niegłodny.

Kiedy w marcu deszczu wiele, nieurodzaj zboże ściele.

Na świętego Kazimierza wyjdzie skowronek z pierza.

Czterdziestu męczenników jakich, czterdzieści dni będzie takich.

Gdy na święty Józef bociek przybędzie, to już śniegu nie będzie.

Przepowiednie pogody.

W pierwszym tygodniu rano i wieczorem odwilż ale w ciągu dnia lekki mróz; od 9 deszcze i śnieg, aż do 20 zimno. Od 20 do końca miesiąca piękna pogoda.

Złote myśli.

Ludzie namiętni, nie oparci na silnych zasadach religijnych, jeżeli serce szlachetne, w nadzwyczajnych okolicznościach wydobyć są zdolni z duszy wielką energję w postępkach, wielkie ofiary dla cnoty; ale w życiu potocznem, nie będąc nawykli do ścisłego wglądania w tajniki sumienia, nie umieją unikać małych niebezpieczeństw, które niewidomą drogą nakoniec w przepaść wtrącają.

H. Rzewuski („Listopad").



Podchorążowie marynarki na Wojennym Okręcie Rzeczypospolitej Polskiej „Wilja".

Kwiecień

Obrazki z życia Polskiej Marynarki Wojennej.

Interesujący ten obrazek wzięty z życia okrętowego przedstawia ćwiczenia i ewolucje naszych przyszłych oficerów marynarki. Zarazem możemy podziwiać rozmiary potężnych kominów i narzędzi okrętowych, wobec których człowiek wydaje się tak małym.

Fotogr. Inż. Juljan Günsbert.

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.	Słońca		Księżyca	
					wsch.	zach.	wsch.	zach.
1	P.	Hugona bp.	19	Chryzanta i Darji	5.38	18.31	4.23	13.37
2	S.	Franciszka z Pauli	20	Męcz. w klasz. ś. Sawy	5.36	18.33	4.38	14.51
14. Ewang. u św. Jana. Rozdz. 20. 19—31: O niewiernym Tomaszu.								
3	N.	**Przewod.** Ryszarda bp.	21	**Głucha.** Jokóba	5.33	18.34	4.51	16.01
4	P.	Izydora bp. DK.	22	Bazyłego	5.31	18.36	5.02	17.10
5	W.	Wincentego Ferer.	23	Nikona i 200 uczniów	5.29	18.37	5.13	18.18
6	Ś.	Celestyna pap.	24	Zacharjasza	5.27	18 39	5.24	19.27
7	C.	Epifanjusza bp. m.	25	**Zwiastowanie NMP.**	5.25	18.41	5.36	20.38
8	P.	Dionizego bp.	26	Sol. Arch. Gabrjela	5.23	18.42	5.52	21.50
9	S.	Marji Kleof.	27	Matrony Lelun	5.20	18.44	6.11	23.01
15. Ewang. u św. Jan. Rozdz. 10. 11—16: O dobrym Pasterzu.								
10	N.	**2 po W.** Ezechjela pr.	28	**Środopustna.** Hilarjona	5.18	18.45	6.37	—.—
11	P.	Leona W. pap. DK.	29	Marka	5.16	18.47	7.13	0.10
12	W.	Juljusza pap.	30	Jana List.	5.14	18 48	8.02	1.11
13	Ś.	Hermenegilda m.	31	Ipatja	5.12	18.50	9.06	2.01
14	C.	Justyna m.	1	Kwiecień.	5.10	18.51	10.20	2.38
15	P.	Bazyl. i Anastazji	2	Tytusa	5.08	18.53	11.41	3.06
16	S.	Benedykta J. Labre	3	Nikity	5.06	18.55	13.06	3.27
16. Ewang. u św. Jan. Rozdz. 16 16—22: „Maluczko a nie ujrzycie Mnie".								
17	N.	**3 po W.** *Op. św. Józefa*	4	**Czarna.** Józefa i Jerzego	5.04	18.56	14.31	3.44
18	P.	Apolonjusza	5	Teoduła	5.02	18.58	15.58	3.59
19	W.	Jerzego bp.	6	Eutychjusza	5.00	18.59	17.26	4.14
20	Ś.	Teodora	7	Grzegorza bp.	4.58	19.01	18.58	4.29
21	C.	Anzelma bp. DK.	8	Irydjona	4.56	19.02	20.33	4.47
22	P.	Kaja i Sotera pap. mm.	9	Eupsychjusza	4.54	19.04	22.06	5.11
23	S.	Wojciecha p. m.	10	Terencjusza	4.52	19.06	23.32	5.44
17. Ewang. u św. Jan. Rozdz. 16. 5—14: O odejściu do Ojca.								
24	N.	**4 po W.** Fidelisa z Sig.	11	**Palmowa.** Antypy	4.50	19.07	—.—	6.31
25	P.	Marka Ewang.	12	Wasyłija	4.48	19.09	0.42	7.33
26	W.	*NMP. Dobrej Rady*	13	Artymona	4.46	19.10	1.31	8.48
27	Ś.	Piotra K. DK. Zyty p.	14	Martynjana	4.44	19.12	2 05	10.07
28	C.	Pawła od Krzyża	15	*W. Czwartek* Arystarcha	4.42	19.13	2.28	11.26
29	P.	Piotra z Werony m.	16	*W. Piątek.* Agaty pn.	4.41	19.15	2.46	12.40
30	S.	Katarzyny ze Sienny p.	17	*W. Sobota.* Symeona	4.39	19.16	2.59	13.52



MOLO PORTOWE W GDYNI.

Przysłowia.

Kwiecień plecień, bo przeplata, trochę zimy, trochę lata.

Kiedy w kwietniu słońce grzeje, wtedy chłop nie zubożeje.

Grzmot w kwietniu dobra nowina, szron już roślin nie podcina.

Ciepłe deszcze w kwiecień, wróżą na pogodną jesień.

Deszcz w św. Marek, to ziemia jak skwarek.

Gdy na św. Wojciecha śnieg pada, co trzecia kopa siana na polu przepada.

Pogody w kwietnią niedzielę, wróżą urodzajn wiele.

W wielki piątek deszcz, rok żyzny, da nieźle żyć z gotowizny.

W kwietniu posusza, nic się na polach nie rusza.

Kwiecień gdy jest suchy, nie daje otuchy.

Sprzyja nam rok, gdy wilgotny kwiecień, lecz nie bardzo słotny.

Gdy św. Jerzy schowa wronę w życie, to zboża będzie obficie.

Przepowiednie pogody.

Do połowy miesiąca przymrozki ale naogół pogodnie. Następnie trochę cieplej. Od 25 znowu przymrozki i słota.

Złote myśli.

Kobieta religijna może być porwana przez miłość, jak drzewo przez huragan, ale jej nie uzna nigdy.

H. Sienkiewicz („Bez dogmatu").

Maj



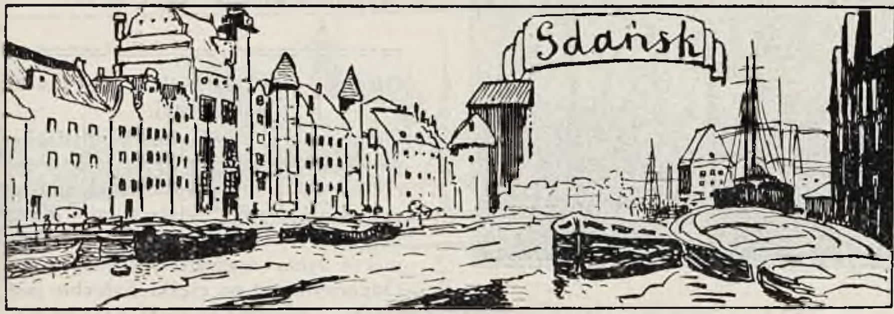
Ćwiczenia podchorążych przy dziale 57 m/m na Wój. Okręcie Rzeczyposp. P. „Wilja".

Fotogr. Inż. Juljan Günsbert.

Obrazki z życia Polskiej Marynarki Wojennej.

Ciężkiem jest życie młodych marynarzy na okrętach wojennych. Służba ich twarda i wytężająca, ale z tej szkoły pełnej trudów i znoju wyjdzie pokolenie polskich „wilków morskich" strażników naszego morza. Obrazek przedstawia ćwiczenia podchorążych marynarki wojennej przy dziale 57 m/m na O. R. P. „Wilja".

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.	Słońca		Księżyca	
					wsch.	zach.	wsch.	zach.
18. Ewang. u św. Jana. Rozdz. 16. 23—30: O prawdziwej modlitwie.								
1	N.	**5 po W.** Fil. i Jakóba ap.	18	**Zmartwychwstanie P.**	4.37	19.18	3.11	15.01
2	P.	*Dni krzyż.* Atan. b. DK.	19	*Poniedziałek Świątecz.*	4.35	19.19	3.21	16.09
3	W.	† *Król. Korony Polsk.*	20	*Wtorek Świąteczny*	4.34	19.21	3.32	17.18
4	S.	† Znal. ś. Krz., Mon. wd.	21	Januarego	4.32	19.22	3.45	18.27
5	C.	**Wnieb. P.** Piusa V. p.	22	Teodora Syk.	4.30	19.24	3.59	19.39
6	P.	Jana w Oleju	23	Jurja	4.28	19.25	4.17	20.51
7	S.	Flawji Domit.	24	Sawy m.	4.27	19.27	4.41	22.01
19. Ewang. u św. Jana. Rozdz. 15. 26—27; 16. 1—4: Obietnica zesłania Ducha Św.								
8	**N.**	**6 po W.** Stanisława bp.	25	**1 po Zmart.** Marka Ew.	4.25	19.28	5.14	23.04
9	P.	Grzegorza z Naz. DK.	26	Bazylego m.	4.23	19.30	5.59	23.57
10	W.	Antonina bp., Izydora r.	27	Symeona	4.22	19.31	6.58	—.—
11	S.	Franciszka de Hier.	28	Jazona	4.20	19.33	8.08	0.38
12	C.	Pankracego., Nereusza	29	9 męcz. w Kyz.	4.19	19.34	9.26	1.08
13	P.	Serwacego	30	Jakóba ap.	4.17	19.36	10.46	1.31
14	S.	*Wig.* Bonifacego m.	1	Maj. Jeremjasza pr.	4.16	19.37	12.08	1.49
20. Ewang. u św. Jana. Rozdz. 14. 23—31: O zesłaniu Ducha Św.								
15	**N.**	**Zesł. Ducha Św.** Zofji	2	**2 po Zmart.** Atanazego	4.14	19.39	13.31	2.04
16	P.	*Poniedz. Ś.* A. Boboli m	3	Teodozjusza	4.13	19.40	14.55	2.18
17	W.	Paschalisa Baylon.	4	Pelagji m.	4.12	19.41	16.23	2.33
18	S.	*Such.* Wenancjusza m.	5	Ireny	4.10	19.43	17.55	2.49
19	C.	Piotra Celest. pap.	6	Hioba	4.09	19.44	19.29	3.10
20	P.	*Such.* Bernard. Sen.	7	Znal. Krzyża w Jeroz.	4.08	19.45	21.01	3.38
21	S.	*Such.* Tymot. i Tow. m.	8	Jana Teologa	4.07	19.47	22.20	4.17
21. Ewang. u św. Mat. Rozdz. 28. 18—20: „Dana mi jest wszelka władza".								
22	**N.**	**Ur. Trójcy Przen.** Hel.	9	**3 po Zmart.** Mikołaja	4.06	19.48	23.20	5.14
23	P.	Dezyderjusza bp. m.	10	Szymona ap.	4.04	19.49	—.—	6.26
24	W.	*NMP. Wspomożycielki*	11	Mokia, Metodego	4.03	19.51	0.02	7.46
25	S.	Grzegorza VII pap.	12	Epifanjusza	4.02	19.52	0.30	9.08
26	C.	**Boże Ciało.** Filipa Ner.	13	Glikerji	4.01	19.53	0.50	10.26
27	P.	Bedy DK., Jana p. m.	14	Izydora m.	4.00	19.54	1.05	11.40
28	S.	Augustyna bp.	15	Pachomjusza	3.59	19.55	1.18	12.50
22. Ewang. u św. Łuk. Rozdz. 14. 16—24: O wezwaniu na ucztę.								
29	**N.**	**2 po Z. Ś.** Marji Mag. P.	16	**4 po Zm.** Teod. i Mod.	3.58	19.57	1.29	13.59
30	P.	Feliksa pap. m.	17	Andronika	3.58	19.58	1.40	15.07
31	W.	*NMP. Pośr. łask,* Anieli	18	Teodata	3.57	19.59	1.52	16.16



POLSKIE PORTY NA BAŁTYKU — GDAŃSK.

Przysłowia.

W maju korzec deszczu, kropla błota.

Na 1 maja szron obiecuje hojny plon.

Na 1 maja deszcz, zły to urodzaju wieszcz.

Grzmot w maju sprzyja w urodzaju.

Na świętego Stanisława pustki w domu, w polu sława.

Pankracy, Serwacy, Bonifacy, źli na ogrody chłopacy.

Na Urbana chwile jakie, mówią, że i lato takie.

Gdy się przytrafi maj chłodny, dla zbóż i traw wygodny.

Na św. Magdaleny pogoda, to dla pszczółek wygoda; gdy zaś słota, to lichota.

Przepowiednie pogody.

Aż do dnia 20 maja deszczowo i chłodnie — następnie 8 dni ciepło i ładnie, przy końcu przymrozki.

Złote myśli.

Ludzi widok rzeczy błyszczącej często olśniewa w ten sposób, że stają się ślepymi na wszystko, co nią nie jest i cieszą się ogromnie. Potem przychodzi moment, że ślepota ich przemija i wtedy znowu — biedacy! — ogromnie się martwią.

E. Orzeszkowa („I pieśń niech zapłacze").



Lekcja angielskiego w szalupie okrętowej na Wojennym Okręcie Rzp. Polskiej „Wilja".

Czerwiec

Obrazki z życia Polskiej Marynarki Wojennej.

Od marynarzy a zwłaszcza kandydatów na oficerów morskich wymaga się wielu rzeczy. Obok siły, sprytu, przytomności umysłu, energji i odwagi, nie mniej potrzeba im znajomości języków, gdyż morze łączy wszystkie narodowości. Odpoczynkiem po ciężkiej służbie jest lekcja w szalupie zawieszonej nad głębią. Lepiej to niż w dusznej sali szkolnej.

Fotogr. Inż. Juljan Günsbert.

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.	Słońca wsch.	Słońca zach.	Księżyca wsch.	Księżyca zach.
1	S.	Bł. Jakóba Strepy bp.	19	Patryka	3.56	20.00	2.06	17.27
2	C.	Sadoka i Tow.	20	Ftałateja	3.55	20.01	2.23	18.39
3	P.	*N. Serca Jezusowego*	21	Konstantyna	3.55	20.02	2.45	19.51
4	S.	Franciszka Carac.	22	Bazyljusza	3.54	20.03	3.15	20.57
23. Ewang. u św. Łuk. Rozdz. 15. 1—10: O zgubionej owcy i groszu.								
5	N.	**3 po Z. Św.** Bonif. bp. m.	23	**5 po Zmart.** Michała	3.53	20.04	3.57	21.54
6	P.	Norberta bp.	24	Symeona pr.	3.53	20.04	4.52	22.38
7	W.	Roberta op.	25	3 znal. głowy św. Jana	3.52	20.05	5.59	23.11
8	S.	Medarda bp.	26	Karpa	3.52	20.06	7.15	23.36
9	C.	Felicjana	27	**Wniebowstąp. Pańskie**	3.51	20.07	8.35	23.55
10	P.	Bogumiła bp.	28	Nikity pr.	3.51	20.08	9.55	—.—
11	S.	Barnaby ap.	29	Teodozji m.	3.51	20.08	11.16	0.10
24. Ewang. u św. Łuk. Rozdz. 5. 1—11: O obfitym połowie ryb.								
12	N.	**4 po Z. Św.** Jana Fak.	30	**6 po Zm.** SS. OO. z N.	3.50	20.09	12.37	0.24
13	P.	Antoniego z Padwy	31	Jermeja	3.50	20.09	14.00	0.38
14	W.	Bazylego bp.	1	Czerwiec. Justyna	3.50	20.10	15.26	0.53
15	S.	Jolenty pn.	2	Nikifora	3.50	20.11	16.57	1.11
16	C.	Jana Fr. Regis	3	Łucjana	3.50	20.11	18.28	1.34
17	P.	Adolfa	4	Mitrofana	3.50	20.11	19.54	2.07
18	S.	Efrema DK.	5	Doroteusza	3.50	20.12	21.04	2.55
25. Ewang. u św. Mat. Rozdz. 5. 20—24: O sprawiedliwości faryzeuszów.								
19	N	**5 po Z Św.** *NMP. N. P.*	6	**Zesłanie Ducha Św.**	3.50	20.12	21.54	4.02
20	P.	Sylwerego pap. m.	7	**Trójcy Przenajśw.**	3.50	20.12	22.29	5.20
21	W.	Alojzego Gonz. w.	8	Teodora	3.50	20.13	22.52	6.43
22	S.	Paulina bp.	9	Cyryla	3.51	20.13	23.10	8.05
23	C.	Zenona m.	10	Tymoteusza	3.51	20.13	23.24	9.22
24	P.	Nar. św. J. Chrzc.	11	Bartłomie a	3.51	20.13	23.36	10.36
25	S.	Wilhelma op.	12	Onufrego	3.51	20 13	23.47	11.46
26. Ewang. u św. Marka. Rozdz. 8. 1—9: O cudownem nakarmieniu.								
26	N.	**6 po Z. Św.** J. i P. mm.	13	**1 po Z. Św. Wsz. Święt.**	3.52	20.13	23.59	12.55
27	P.	Władysława król.	14	Jelysego i Metodego	3.52	20.13	—.—	14.04
28	W.	Ireneusza bp.	15	Amosa, Hieronima	3.53	20.13	0.11	15.14
29	S.	**Piotra i Pawła** ap.	16	Tychona	3.53	20.13	0.27	16.26
30	C.	Pamiąt. św. Pawła ap.	17	Manuiła	3.54	20.13	0.47	17.38



POLSKIE PORTY NA BAŁTYKU — HEL.

Przysłowia.

Czerwiec temu się zieleni, kto do pracy się nie leni.

Pogoda na Nikodema — cztery niedziel deszczu niema.

Kiedy Medard się rozwodni, będzie deszcz ze sześć tygodni.

Na święty Wit słowiczek cyt.

Ile ziarnek w życie? powiedz świętej Wicie.

Kiedy się Jan rozpłacze, Matka nie utuli, tak będzie popłakiwał do świętej Urszuli.

Nie ciesz się, chłopie, gdy siano w kopie, gdy je masz w stogu, mów: Chwała Bogu.

Chrzest Jana w deszczowej wodzie, trzyma zbiory na przeszkodzie; czerwiec stały, grudzień doskonały.

Jeśli Piotr święty ze świętym Pawłem płaczą, to ludzie przez tydzień słońca nie zobaczą.

Przepowiednie pogody.

Na początku zimno i słota. Od 10 do końca miesiąca ciepło i pogodnie.

Złote myśli.

Używajmy pokarmów dla duszy tak, jak używamy pokarmów dla ciała, używajmy ich w porze i mierze właściwej, aby je strawić, zasilić się niemi i tej siły użyć na przeciąganie ofiarnego, chrześcijańskiego życia naszego.

A. Towiański („O powinności artysty").



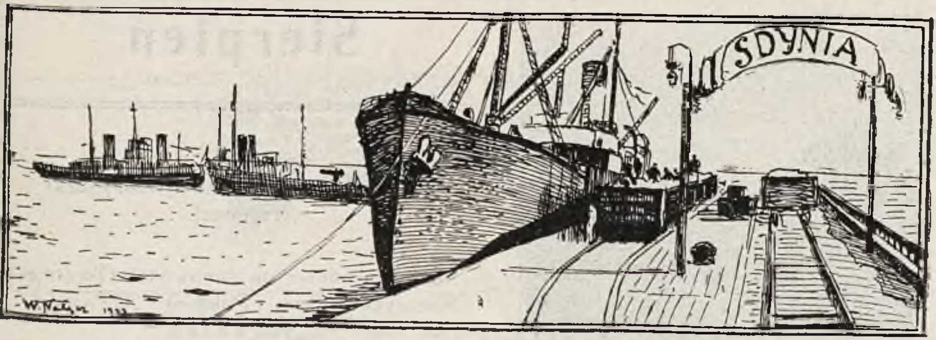
Lipiec

Obrazki z życia Polskiej Marynarki Wojennej.

Na rufie Okrętu Rzeczypospolitej Polskiej „Ś l ą z a k”.

Fotogr. Inż. Juljan Grünsbert.

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.	Słońca		Księżyca	
					wsch.	zach.	wsch.	zach.
1	P.	*Przenajśw. Krwi P. Jez.*	18	Leontja	3.54	20.13	1.14	18.46
2	S.	*Nawiedzenie NMP.*	19	Judy ap.	3.55	20.12	1.52	19.47
27. Ewang. u św. Mat. Rozdz. 7. 15—21: O fałszywych prorokach.								
3	N	**7 po Z. Ś.** Anatola b.	20	**2 po Z. Ś. B. Ciało.** Met.	3.56	20.12	2.43	20.36
4	P.	Teodora bp.	21	Juljana	3.57	20.11	3.48	21.13
5	W.	Antoniego Mar. Zac.	22	Euzebjusza	3.57	20.11	5.03	21.40
6	Ś.	Łucji m.	23	Agrypiny	3.58	20.10	6.23	22.01
7	C.	Cyryla i Metodego	24	**Nar. św. Jana Chrz.**	3.59	20.10	7.44	22.17
8	P.	Elżbiety król.	25	Fewronji	4.00	20.09	9.05	22.32
9	S.	Weroniki de Julj.	26	Dawida	4.01	20.09	10.26	22.45
28. Ewang. u św. Łuk. Rozdz. 16. 1—9: O niesprawiedliwym włodarzu.								
10	N.	**8 po Z. Św.** 7 Braci m.	27	**3 po Z. Św.** Samsona	4.02	20.08	11.47	22.59
11	P.	Piusa I pap.	28	Cyrusa i Jana	4.03	20.07	13.10	23.15
12	W.	Jana Gwalberta	29	**Piotra i Pawła** ap.	4.04	20.07	14.37	23.36
13	Ś.	Anakleta pap.	30	Sobór św. 12 Apost.	4.05	20.06	16.06	—.—
14	C.	Bonawentury dK.	1	Lipiec. Kosmy i Dam.	4.06	20.05	17.32	0.04
15	P.	Henryka ces.	2	*P. K. Przecz. Bogarodz.*	4.07	20.04	18.47	0.44
16	S.	*MB. Szkaplerznej*	3	Jacentego	4.08	20.03	19.45	1.40
29. Ewang. u św. Łuk. Rozdz. 19. 41—47: O zburzeniu Jerozolimy.								
17	N.	**9 po Z. Ś.** Aleks. w.	4	**4 po Z. Św.** Andrzeja ap.	4.09	20.02	20.26	2.53
18	P.	Szym. z Lip., Kanila	5	Cyryla i Metodego	4.10	20.01	20.54	4.16
19	W.	Wincentego à Paulo	6	Atanazego	4.11	20.00	21.14	5.39
20	Ś.	Bł. Czesława	7	Tomy i Akak.	4.13	19.59	21.29	7.00
21	C.	Praksedy pn.	8	Prokopa	4.14	19.58	21.42	8.16
22	P.	Marji Magdaleny	9	Pankracego	4.15	19.57	21.53	9.29
23	S.	Apolinarego bp. m.	10	Antoniego Piecz.	4.16	19.56	22.05	10.39
30. Ewang. u św. Łuk. Rozdz. 18. 9—14: O faryzeuszu i celniku.								
24	N.	**10 po Z. Ś.** Kingi kr.	11	**5 po Z. Ś.** Eufemji i Olgi	4.18	19.54	22.17	11.49
25	P.	Jakóba ap.	12	Prokla i Hilarego	4.19	19.53	22.31	12.59
26	W.	Anny matki NMP.	13	Sob. Arch. Gabrjela	4.20	19.52	22.49	14.10
27	Ś.	Pantaleona m.	14	Akity	4.22	19.50	23.13	15.22
28	C.	Wiktora pap.	15	Włodzimierza	4.23	19.49	23.46	16.32
29	P.	Marty pn.	16	Antynohena	4.25	19.48	—.—	17.37
30	S.	Abdona i Sennena mm.	17	Martyny	4.26	19.46	0.32	18.30
31. Ewang. u św. Marka. Rozdz. 7. 31—37: O głuchoniemym.								
31	N.	**11 po Z. Ś.** Ign. z Loyoli	18	**6 po Z. Św.** Emiljana	4.27	19.45	1.32	19.12



POLSKIE PORTY NA BAŁTYKU — GDYNIA.

Przysłowia.

Deszcz na Nawiedzenie Panny potrwa pewno do Zuzanny.

Nawiedzenie Matki Boskiej, więc się chylą przed nią kłoski.

Jak przyjdzie lipiec, ostatek starej mąki wypiec.

Po świętym Jakóbie każdy w swoim garnku dłubie.

Od świętej Anki, chłodne wieczory i ranki.

Święta Anno, uproś wnuka, niech ma każdy czego szuka.

Około świętej Marty, płać za żniwo, dawaj kwarty.

Od lip ciągnąć wonny lipiec, nie daj słonku kłosa przypiec.

Jaki Jakób do południa, taka też zima do grudnia; jaki Jakób po południu, taka też zima po grudniu.

Na świętego Prokopa szykuj plecy do snopa. Źle na Prokopa jak zmoknie kopa.

W lipcu kłos się korzy, że niesie dar Boży; który prosto stoi, dobrego się boi.

Siedmiu Braci przepowiada, ile tygodni popada.

Przepowiednie pogody.

Najpierw wielkie upały, częste grzmoty i burze; wiele burz gradowych. W drugiej połowie miesiąca chłodno i pochmurno. Przy końcu deszcz.

Złote myśli.

Mnie się wydaje, że tyle właśnie świętości, ileśmy ze siebie wydali, odnosi nam w niewiadomym dniu i w sposób niepojęty jakowaś siła, wszystko pamiętająca, jak gdyby czyjś czujny poseł.

S. Żeromski („Uroda życia").



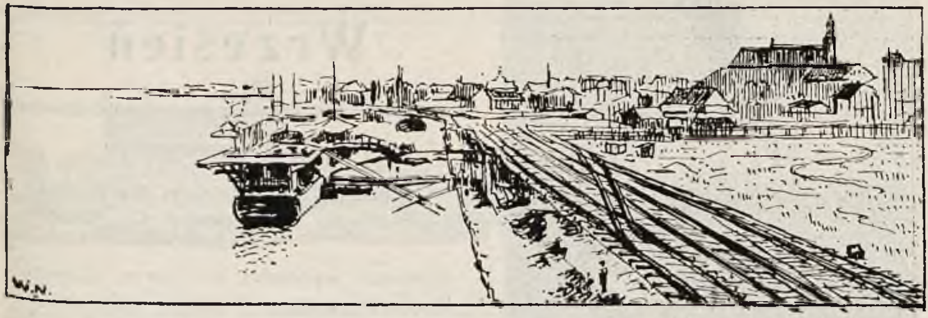
Sierpień

Obrazki z życia Polskiej Marynarki Wojennej.

Miny zagrodowe na minowcach Okrętów Rzeczypospolitej Polskiej „Czajka" i „Jaskółka"

Fotogr. Inż. Juljan Ginsbert.

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.	Słońca wsch.	Słońca zach.	Księżyca wsch.	Księżyca zach.
1	P.	Piotra w okowach	19	Makryny	4.28	19.43	2.44	19.43
2	W.	*NMP. An.*, Alf. Lig.	20	Eljasza pr.	4.30	19.42	4.05	20.06
3	S.	Znal. św. Szczepana	21	Jana	4.31	19.40	5.28	20.24
4	C.	Dominika w.	22	Marji Magdaleny	4.33	19.38	6.50	20.39
5	P.	*MB. Snieżnej*	23	Trofyma	4.34	19.37	8.12	20.53
6	S.	*Przemienienie Pańskie*	24	Borysa i Hliba	4.36	19.35	9.35	21.06
32. Ewang. u św. Łuk. Rozdz. 10. 23—37: O miłosiernym Samarytaninie.								
7	N.	**12 po Z. Ś.** Kajetana w.	25	**7 po Z. Ś.** Zaśn. ś. Anny	4.37	19.33	10.58	21.22
8	P.	Cyrjaka m.	26	Jermołeja	4.38	19.32	12.24	21.40
9	W.	Jana Vianney	27	Pantaleona	4.40	19 30	13.52	22,05
10	S.	Wawrzyńca m.	28	Prochora	4.42	19.28	15.18	22.40
11	C.	Zuzanny pn.	29	Kałynyka	4.43	19.26	16.36	23.30
12	P.	Klary pn.	30	Siły i Siłuna	4 44	19.25	17.39	—.—
13	S.	Hipolita i Kasjana mm.	31	Jeudokima	4.46	19.23	18.24	0.36
33. Ewang. u św, Łuk. Rozdz. 17. 11—19: O 10 trędowatych.								
14	N.	**13 po Z. Ś.** Euzebj. bp.	1	Sierp. **8 po Z. Ś.** P. ś. K.	4.47	19.21	18.56	1.54
15	P.	**Wniebowzięcie NMP.**	2	Przen. ciała ś. Szczep.	4.49	19.19	19.18	3.16
16	W.	Joachima	3	Izaaka	4.50	19.17	19.34	4.38
17	S.	Jacka w.	4	7 Ojców z Efezu	4.52	19.15	19.48	5.56
18	C.	Heleny ces.	5	Eusygnia	4.53	19.13	20.00	7.10
19	P.	Jana Eudes	6	*Przemienienie Pańskie*	4.55	19.11	20.11	8.22
20	S.	Bernarda op. DK.	7	Demetja	4.56	18.09	20.23	9.32
34. Ewang. u św. Mat. Rozdz 6. 24—33. O służeniu Bogu i mamonie.								
21	N.	**14 po Z. Ś.** J. F. de Ch.	8	**9 po Z. Św.** Emiljana	4.58	19.07	20.36	10.43
22	P.	Tymoteusza m.	9	Macieja ap.	4 59	19.06	20.53	11.54
23	W.	Filipa Benicjusza	10	Wawrzyńca	5.01	19.04	21.14	13 06
24	S.	Bartłomieja ap.	11	Eupła	5.02	19.01	21.42	14.17
25	C.	Ludwika kr.	12	Fotja i Anikity	5.04	18.59	22.22	15.23
26	P.	*M. B. Częstochowskiej*	13	Maksyma w.	5.05	18.57	23.15	16.21
27	S.	Józefa Kalasantego	14	Micheasza pr.	5.07	18.55	—.—	17.08
35. Ewang. u św. Łuk. Rozdz. 7. 1—16: O wskrzeszeniu młodzieńca z Naim.								
28	N.	**15 po Z. Ś.** Aug. bp. DK.	15	**10 po Z. Ś. Zaśn. NMP.**	5.08	18.53	0.22	17.42
29	P.	Scięcie św. Jana Chrzc.	16	Przeniesienie obr. P.	5.10	18.51	1.39	18.08
30	W.	Róży Limańskiej	17	Mirona m.	5.11	18.49	3.02	18.28
31	S.	Rajmunda Nonnata	18	Flora i Ław.	5.13	18.47	4.26	18.44



POLSKIE PORTY NA BAŁTYKU — GDAŃSK.

Przysłowia.

Kiedy sierpień następuje, resztki zboża koszą, albo sierpem dożynają i przepiórki płoszą.

Na Pańskie przemienienie lepsze gospodarza mienie.

Na święty Dominik, kopy z pola — myk, myk, myk.

Wawrzyniec pokazuje, jaka jesień następuje.

Po świętym Bartłomieju, jedz kluski na oleju.

Sierpień jasny i dogodny, dla win jest bardzo wygodny.

Około Wawrzyńca święta i w dzień, gdy Marja wzięta w niebo, jasny czas, wesoły, dość wina daje na stoły.

W sierpniu mgły na górach — pewne wody, a mgły w dolinach — pewne pogody.

Na święty Wawrzyniec — wolny przez pola gościniec.

Jak Bartłomiej nie zasieje, nie pokropi Idzi — to się zboża, to się żyta mało w polu widzi.

Na św. Roch w stodole groch.

Św. Wawrzyniec weźmie latu wieniec.

Czego sierpień nie dowarzy — tego wrzesień nie doparzy.

Przepowiednie pogody.

Cały miesiąc przeważnie piękny i ciepły.

Złote myśli.

Rada jest jak moneta: wszystko jedno, od kogo pochodzi, byle była z dobrego kruszcu.

J. Weyssenhoff („Gromada").

Wrzesień

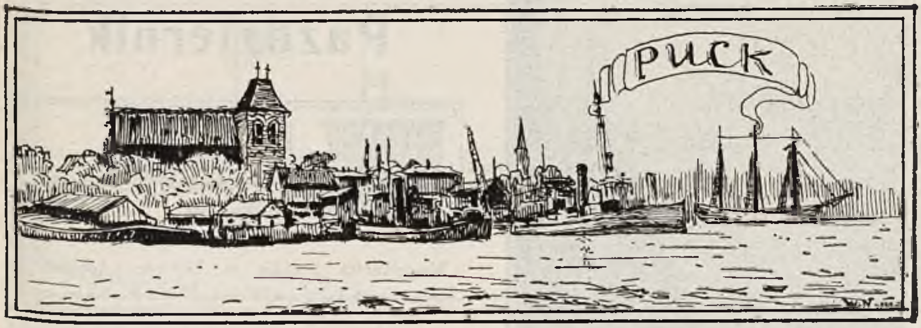


Obrazek z życia Polskiej Marynarki Wojennej.

Minowce wychodzą na morze. Okręty Rzeczypospolitej Polskiej „Haller", „Czajka", „Jaskółka".

Fotogr. Inż. Juljan Ginsbert.

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.	Słońca wsch.	Słońca zach.	Księżyca wsch.	Księżyca zach.
1	C.	Bronisławy, Idziego	19	Andrzeja	5 14	18.45	5.50	18.59
2	P.	Stefana kr.	20	Samuela	5.16	18.43	7.15	19.13
3	S.	Szymona Słupn.	21	Tadeusza ap.	5.17	18.41	8.40	19.28
36. Ewang. u św. Łuk. Rozdz. 14. 1 – 11: Uzdrowienie opuchłego.								
4	N.	**16 po Z. Św.** *M. B. Poc.*	22	**11 po Z. Św.** Agatonika	5.19	18.38	10.08	19.46
5	P.	Wawrzyńca Just.	23	Łupa m.	5.20	18.36	11.37	20.09
6	W.	Zacharjasza pr.	24	Eutycha	5.22	18.34	13.06	20.40
7	S.	Melchjora Grodz.	25	Bartłomieja	5.23	18.32	14.27	21.25
8	C.	*Narodzenie NMP.*	26	Hadrjana	5.25	18.30	15.35	22.26
9	P.	Piotra Klawera	27	Pimena	5.26	18.28	16.24	23.40
10	S.	Mikołaja z Tolentynu	28	Augusta i Mojżesza	5.28	18.25	16.59	—.—
37. Ewang. u św. Mat. Rozdz. 22. 34—46: O najprzedniejszem przykazaniu.								
11	N.	**17 po Z. Św.** P. i J. m.	29	**12 po Z. Św.** Sc. ś. Jana	5.29	18.23	17.23	1.00
12	P.	*Najśw. Im. MB.*	30	Aleksandra	5.31	18.21	17.41	2.21
13	W.	Filipa m.	31	Pół. p. Przen. Dziew.	5.32	18.19	17.55	3.39
14	S.	*Podwyż. św. Krzyża*	1	Wrzesień. Symeona	5.33	18.17	18.07	4.54
15	C.	Nikodema m.	2	Mamanta	5.35	18.15	18.19	6.06
16	P.	Kornelj. i Cypr. mm.	3	Antyma i Teokt.	5.37	18.12	18.30	7.17
17	S.	Stygmat. ś. Franc. S.	4	Wawyły i Mojżesza	5.38	18.10	18.43	8.27
38. Ewang. u św. Mat. Rozdz. 9. 1—8: O uzdrowieniu powietrzem ruszonego.								
18	N.	**18 po Z. Św.** *MB. Boles.*	5	**13 po Z. Św.** Zachar.	5.40	18.08	18.58	9.38
19	P.	Januarego bp. m.	6	Cud. Arch. Michała	5.41	18.06	19.17	10.50
20	W.	Eustachego m.	7	Sozanta	5.43	18.04	19.42	12.01
21	S.	*Such.* Mateusza ap. ew.	8	**Nar. Przecz. Dziewicy**	5.44	18.01	20.16	13.10
22	C.	Tomasza z Wilan.	9	Joach. i Anny	5.46	17.59	21.03	14.11
23	P.	*Such.* Tekli pn. m.	10	Menodory	5.47	17.57	22.03	15.01
24	S.	*Such. NMP. Okupu*	11	Teodory	5.49	17.55	23.15	15.40
39. Ewang. u św. Mat. Rozdz. 22. 2—14: O szacie godowej.								
25	N.	**19 po Z. Św.** Wład. z G.	12	**14 po Z. Św.** Antonoma	5.50	17.52	—.—	16.09
26	P.	Cyprjana i Just. mm.	13	Korneljusza	5.52	17.50	0.34	16.31
27	W.	Kosmy i Damjana mm.	14	**Podwyż. św. Krzyża**	5.53	17.48	1.57	16.49
28	S.	Wacława kr.	15	Nikity	5.55	17.46	3.20	17.04
29	C.	*Michała arch.*	16	Eufemji	5.56	17.44	4.45	17.18
30	P.	Hieronima DK.	17	Zofji	5.58	17.41	6.12	17.33



POLSKIE PORTY NA BAŁTYKU — PUCK.

Przysłowia.

Kiedy wrzesień przywiódł jesień, chłopi zboże młócą, jedni ziarno trą na żarnach, drudzy na targ włóczą.

Na św. Idzi, gdy się wypogodzi, w niedzielę pogodą dogodzi.

Jeśli jasny Maurycy, to i wiatr rad w ziole ryczy.

Jeśli w dzień św. Michała wiatr północny wieje, to na pogodę nie miejmy nadzieję.

Pierwszy dzień podobny tego, znakiem września pogodnego.

*

Gdy jesień bez deszczów będzie, w zimie wiatrów pełno wszędzie.

Św. Idzi nic już w polu nie widzi.

Św. Michał z pola wszystko pospychał.

Michałkowe sianko, Marcinkowe żytko — licha warte wszystko.

Na jarmark św. Idzi, biegną szewcy, biegną żydzi.

Na Mateusza weseli się każda dusza, bo wszystkie zbiory zwożą do obory.

Kiepski to gospodarz, który w św. Michał dopiero kopy z pola spychał.

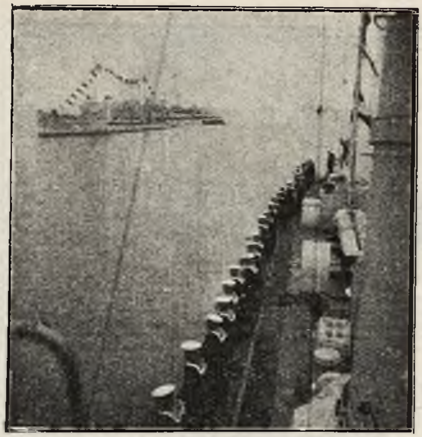
Przepowiednie pogody.

Piękna pogoda z sierpnia trwa aż do połowy września. Następnie przez 8 dni mniej — więcej smutna, dżdżysta pogoda jesienna, potem znowu aż do końca bardzo pięknie. W ostatnich dniach deszcze.

Złote myśli.

Kościół podobny jest do drzewa, mającego tysiąc kilkaset lat wieku. Niewątpliwie są na niem guzy, połamane konary, dużo porostów, wykrzywień, próchna i pasorzytów, słowem, jest wiele szczegółów starczych i chorobliwych, o których mówić i pisać można, nie zapominając jednak, że drzewo to zasłania dużą część kuli ziemskiej, że trwa od wieków, a więc musiało mieć warunki trwałości, musiało być użyteczne.

B. Prus („Pisma“).



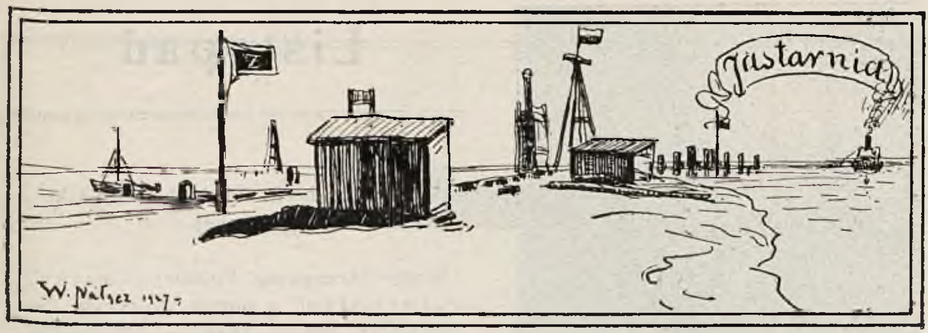
Październik

Obrazki z życia Polsaiej Marynarki Wojennej.

Marynarka polska w Łotwie; torpedowiec „Ślązak" i „Podhalanin

Fotogr. Inż. Juljan Ginsbert.

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.	Słońca		Księżyca	
					wsch.	zach.	wsch.	zach.
1	S.	Jana z Dukli	18	Eumenja	5.59	17.39	7.40	17.50
40. Ewang. u św. Jana. Rozdz. 4. 46—53: O uzdrowieniu syna król.								
2	N.	**20 po Z. Św.** *M. B. R.*	19	**15 po Z. Św.** Trofima	6.01	17.37	9.12	18.11
3	P.	Teresy od Dziec. Jez.	20	Eustachego	6.02	17.35	10.45	18.40
4	W.	Franciszka z Asyżu	21	Kondrata	6.04	17.33	12.12	19.21
5	Ś.	Placyda m.	22	Foki	6.06	17.31	13.12	20.18
6	C.	Brunona op., Emil.	23	Pocz. św. Jana Chrz.	6.07	17.28	14.23	21.29
7	P.	Marka pap.	24	Tekli m.	6.09	17.26	15.02	22.49
8	S.	Brygidy pn.	25	Eufrozyny	6.10	17·24	15.29	—.—
41. Ewang. u św. Mat. Rozdz. 18. 23 - 35: O niegodziwym słudze.								
9	N.	**21 po Z. Św.** Dion. m.	26	**16 po Z. Św.** Jana B.	6.12	17.22	15.48	0.09
10	P.	Franciszka Borgj.	27	Kalistrata	6.13	17.20	16.03	1.28
11	W.	Emiljana	28	Charytona	6.15	17.18	16.16	2.42
12	Ś.	Maksymiljana b.	29	Kiryka	6.17	17.16	16.27	3.54
13	C.	Edwarda kr.	30	Grzegorza	6.18	17.14	16.39	5.04
14	P.	Kaliksta pap. m.	1	Październ. *Pokr. NMP.*	6.20	17.12	16.51	6.14
15	S.	Teresy pn., Jadwigi	2	Cypryana i Andrzeja	6.21	17.10	17.05	7.25
42. Ewang. u św. Mat. Rozdz. 22. 15—21: O monecie czynszowej.								
16	N.	**22 po Z. Św.** Gerard. M.	3	**17 po Z. Św.** Dionizego	6.23	17.08	17.23	8.36
17	P.	Małgorzaty Marji Alac.	4	Eroteja	6.24	17.06	17.45	9.48
18	W.	Łukasza ew.	5	Charytymy	6.26	17.04	18.16	10.58
19	Ś.	Piotra z alkant.	6	Tomasza ap.	6 28	17.02	18.58	12.01
20	C.	Jana Kantego	7	Sergjusza	6.29	17.00	19.52	12.55
21	P.	Urszuli pn. m.	8	Pelagji	6.31	16.58	20.58	13.37
22	S.	Korduli pn. m.	9	Jakóba ap.	6.33	16.56	22.12	14.09
43. Ewang. u św. Mat. Rozdz. 9. 18—26: O niewieście cierpiącej krwotoki.								
23	N.	**23 po Z. Św.** Sewer. bp.	10	**18 po Z. Św.** Eulampj	6.34	16.54	23.31	14.33
24	P.	Rafała arch.	11	Filipa ap.	6.36	16.52	—.—	14.52
25	W.	Chryzanta i Darji m.	12	Andronika	6.38	16.50	0.51	15.08
26	Ś.	Ewarysta pap. m.	13	Karpa i papjusza	6.39	16.48	2.14	15.22
27	C.	Florencjusza m.	14	Nazareusza	6.41	16 46	3.37	15.36
28	P.	Szymona i Tad. ap.	15	Lucjana	6.42	16.45	5.04	15.52
29	S.	Narcyza bp.	16	Longina set m.	6.44	16.43	6.36	16.11
44. Ewang. u św. Jana. Rozdz. 18. 33—37: P. Jezus przed Piłatem.								
30	N.	**24 po Z. Św.** *Chr. Król.*	17	**19 po Z. Św.** Ozjasza	6.46	16.41	8.10	16.37
31	P.	*Wig.* Wolfganga bp.	18	Łukasza	6.47	16.39	9.44	17.13



POLSKIE PORTY NA BAŁTYKU — JASTARNIA.

Przysłowia.

Miesiąc październy, marca obraz wierny.

Na św. Franciszka, chłop już w polu nic nie zyska.

Po św. Brygidzie babie lato przyjdzie.

Na św. Szymona i Judy spodziewaj się śniegu i grudy.

W św. Jadwigę kiedy deszcz nie pada, to do kapusty Bóg miodu dokłada.

Gdy nie rychło liść opada, zima wielka bywa rada.

Październik chodzi po kraju, żenie ptactwo z kraju.

Grzmot październikowy — niestatek zimowy

Po świętej Jadwidze słodycz w marchew idzie.

Gdy wczas wiatr rozprószy liście, głodu znakiem oczywiście.

Bo zła zima zbożu szkodzi i nie plennie kłosy rodzi.

Jak zaś pierwszy śnieg upadnie, kto chce w zimie śniegi zgadnie.

*

Na Szymona i Judy wszystko już do [budy
Pozbierali, pochowali pilne nasze ludy;
Leniwemu, niepilnemu poschną grube [udy.

Przepowiednie pogody.

W pierwszych dniach miesiąca pogoda zmienna. Od 11 aż do 17 nocą i ranem przymrozki. Następnie piękne lecz zimne.

Złote myśli.

Zginą od prądów chwilowych zawiśli,
Za widmem sławy goniący sztukmistrze,
Lecz nie zaginie siew szlachetnych myśli
I nie przepadną natchnienia najczystsze.

A. Asnyk.



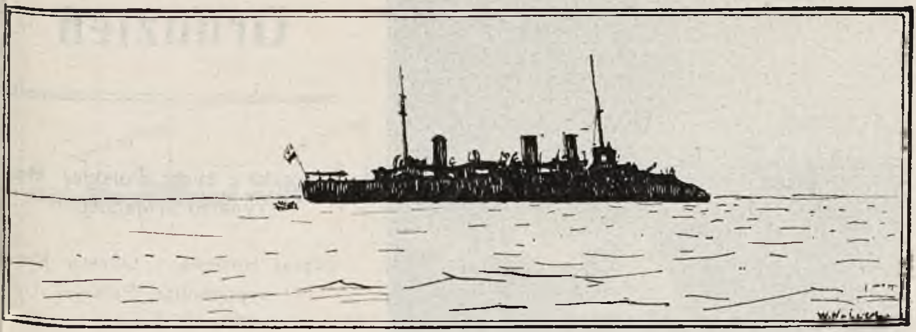
Listopad

Obrazki z życia Polskiej Marynarki Wojennej.

Okręty Rzeczyposp. Polskiej „C z a j k a" i „J a s k ó ł k a" w porcie wojennym Na pierwszym planie „znak" — historyczna bandera z czasów Zygmunta Augusta.

Fotogr. Inż. Juljan Ginsbert.

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.	Słońca		Księżyca	
					wsch.	zach.	wsch.	zach.
1	W.	**Wszystkich Świętych**	19	Joela pr.	6.49	16.38	11.08	18.05
2	Ś.	*Dzień Zaduszny*	20	Artemjusza	6.51	16.36	12.14	19.14
3	C.	Huberta b.	21	Hilarjona	6.52	16.34	13.01	20.34
4	P.	Karola Boromeusza	22	Abercjusza	6.54	16.33	13.3[illegible]	21.56
5	S.	Zacharjasza i Elżb.	23	Jakóba	6.56	16.31	13.54	23.16
45. Ewang. u św. Mat. Rozdz. 13. 24—30: Przypowieść o kąkolu.								
6	N.	**25 po Z. Św.** Leonarda	24	**20 po Z. Św.** Arety pn.	6.57	16.29	14.11	—.—
7	P.	Engelberta kr.	25	Marcjana	6.59	16.28	14.24	0.33
8	W.	Gotfryda b.	26	Demetrjusza W.	7.01	16.26	14.36	1.45
9	Ś.	Teodora m.	27	Nestora	7.02	16.25	14.47	2.55
10	C.	Andrzeja z Awel.	28	Terencjusza	7.04	16.23	14.59	4.04
11	P.	Marcina bp.	29	Anastazji m.	7.06	16.22	15.12	5.14
12	S.	Marcina pap., 5 Br. pol.	30	Zenobjusza	7.07	16.20	15.29	6.25
46. Ewang. u św. Mat. Rozdz. 13. 31—35: Przypowieść o ziarnku gorczycznem.								
13	N.	**26 po Z. Św.** St. K.	31	**21 po Z. Św.** Stachjusza	7.09	16.19	15.50	7.36
14	P.	Józafata bm.	1	Listopad. Kaliksta	7.1	16.18	16.18	8.47
15	W.	Gertrudy pn.	2	Akindyna	7.12	16.16	16.56	9.52
16	Ś.	*MB. Ostrob.* Edm. bp.	3	Akepsymy m.	7.14	16.15	17.47	10.50
17	C.	Salomei pn.	4	Joannika	7.16	16.14	18.49	11.35
18	P.	Romana m.	5	Helaktjona i epist.	7.17	16.13	19.59	12.10
19	S.	Elżbiety król.	6	Pawła i Konst.	7.19	16.12	21.15	12 36
47. Ewang. u św. Mat. Rozdz. 24. 15—35. O wielkiem spustoszeniu.								
20	N.	**27 po Z. Św.** Feliksa W.	7	**22 po Z. Św.** Łazarza	7.20	16.11	22.32	12.56
21	P.	*Ofiarowanie NMP.*	8	**Sobór Michała Arch.**	7.22	16.10	23.51	13.12
22	W.	Cecylji pn. m.	9	Onezyfora	7.23	16.09	—.—	13.26
23	Ś.	Klemensa pap. m.	10	Erasta	7.25	16.08	1.10	13.40
24	C.	Jana od Krzyża dK.	11	Miny i Wikt.	7.26	16.07	2.33	13.55
25	P.	Katarzyny pn. m.	12	Jozafata	7.28	16.06	3.59	14.12
26	S.	Jana Berchm.	13	Jana Złotoustego	7.29	16.05	5.30	14.34
48. Ewang. u św. Łuk. Rozdz. 21. 25—33: O znakach dnia ostat.								
27	N.	**1 Adw.** Walerjana bp.	14	**23 po Z. Św.** Filipa ap.	7.31	16.04	7.05	15.04
28	P.	Zdzisławy p.	15	Hurja i Sams.	7.32	16.03	8.36	15.48
29	W.	Saturnina	16	Mateusza	7.34	16.03	9.54	16.50
30	Ś.	Andrzeja	17	Grzegorza	7.35	16.02	10.51	18.09



OKRĘT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ „BAŁTYK“, KRĄŻOWNIK WOJENNY.

Przysłowia.

Dzień zaduszny,
bywa pluśny —
niebo płacze, ludzie płaczą,
a ubogich chlebem raczą,
rozdając jałmużnę
za duszyczki różne.

W listopadzie grzmi, rolnik dobrze śni.

Wszyscy święci, zima się kręci.

Około dnia Wszystkich Świętych, zimę poznasz z drzew zaciętych.

Jeśli bowiem jodła sucha, nie bardzo trzeba kożucha.

Czasem w listopad nie palisz
i sobole precz oddalisz,
ale w grudniu
musisz durniu.

Na WW. Świętych od zrębu utnij gałąź dębu, jeśli soku niema, będzie tęga zima.

Od świętej Katarzyny nie wyganiaj już z vierzyny.

Klon im suchszy, suchsze mrozy,
Wilgotny — mokry czas wróży.

W listopadzie — goło w sadzie.

Przepowiednie pogody.

Do 10 miesiąca nadal utrzymuje się zimno poprzedniego miesiąca, następnie pochmurno i dżdżysto. Od 15 mrozy.

Złote myśli.

Najpiękniejszą książką jest samo życie — tylko trzeba umieć w niej czytać, bo hieroglifami pisana.

M. Gawalewicz („Dusze w odlocie“).



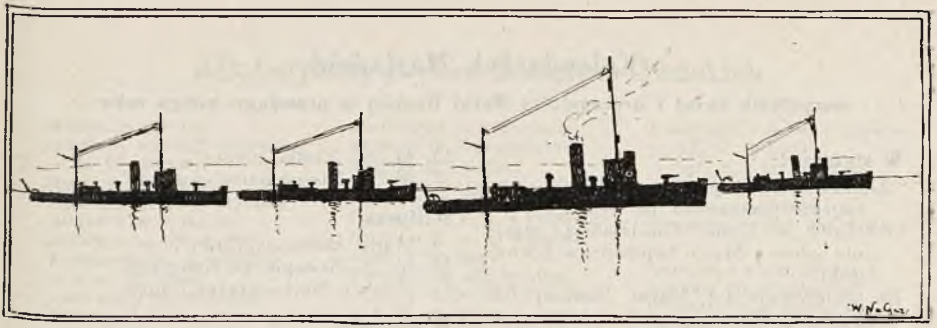
Grudzień

Obrazki z życia Polskiej Marynarki Wojennej.

Strzał torpedą z Okrętu Rzeczypospolitej Polskiej „Podhalanin".

Fotogr. Inż. Juljan Ginsbert.

Dnie		Święta rzymsko-kat.	Dn	Święta grecko-kat.	Słońca wsch.	Słońca zach.	Księżyca wsch.	Księżyca zach.
1	C.	Eligjusza b.	18	Platona	7.36	16.01	11.30	19.34
2	P.	Bibjanny pn. m.	19	Awadja	7.38	16.01	11.56	20.59
3	S.	Franciszka Ksawerego	20	Prokła i Grzegorza	7.39	16.00	12.16	22.18
49. Ewang. u św. Mat. Rozdz. 11. 2—10: O Janie Chrzcicielu w więzieniu.								
4	N.	**2 Adw.** Piotra Chryz.	21	**24 po Z. Św.**	7.40	16.00	12.30	23.33
5	P.	Sabby op	22	Filemona	7.41	15.59	12.43	—.—
6	W.	Mikołaja b.	23	Amfilocha i Grzegorza	7.43	15.59	12.55	0.45
7	S.	Ambrożego bp. dK.	24	Katarzyny	7.44	15.59	13.06	1.55
8	C.	**Niep. Pocz. NMP.**	25	Klemensa	7.45	15.59	13.19	3.04
9	P.	Piotra Fourier	26	Alipjusza	7.46	15.58	13.35	4.14
10	S.	*NMP. Loretańskiej*	27	Jakóba	7.47	15.58	13.54	5.26
50. Ewang. u św. Jana. Rozdz. 1. 19—28: O świadectwie Jana Chrzciciela.								
11	N.	**3 Adw.** Damazego pap.	28	**1 Adw.** Stefana	7.48	15.58	14.20	6.36
12	P.	Aleksandra m.	29	Paramona	7.49	15.58	14.55	7.44
13	W.	Łucji pn. m.	30	Andrzeja ap.	7.50	15.58	15.42	8.44
14	Ś	*Such.* Spirydjona bp.	1	Grudzień. Nahuma pr.	7.51	15.58	16.42	9.34
15	C.	Walerjana bp.	2	Abdakuma	7.52	15.59	17.51	10.12
16	P.	*Such.* Euzebjusza bp.	3	Sofonjasza	7.53	15.59	19.05	10.40
17	S.	*Such.* Łazarza bp.	4	Barbary, Jana Dam.	7.53	15.59	20.22	11.01
51. Ewang. u św. Łuk. Rozdz. 3. 1—6: O posłannictwie Jana.								
18	N.	**4 Adw.** *Oczek. NMP.*	5	**2** Adw. Sabby	7.54	15.59	21.38	11.18
19	P.	Nemezjusza b.	6	**Mikołaja Cudotwórcy**	7.55	16.00	22.55	11.33
20	W.	Teofila i Tow. mm.	7	Ambrożego	7.55	16.00	—.—	11.46
21	S.	Tomasza ap.	8	Potapjusza	7.56	16.00	0.14	12.00
22	C.	Zenona m.	9	**Niep. Pocz. NMP.**	7.56	16.01	1.35	12.15
23	P.	Wiktorji pn. m.	10	Minasa i Hermogenesa	7.57	16.01	3.00	12.33
24	S.	*Wig.* Adama i Ewy	11	Daniela	7.57	16.02	4.30	12.58
52. Ewang. u św. Łuk. Rozdz. 2. 1—14: O narodzeniu P. Jezusa; Rozdz. 2. 15—20: O hołdzie pasterzy; u św. Jana 1. 1—14: O odwiecznem nar. P. Jezusa.								
25	N.	**Boże Narodzenie**	12	**3 Adw.** Spirydjona	7.58	16.03	6.01	13.34
26	P.	*Szczepana p. męcz.*	13	Eugenjusza	7.58	16.03	7.26	14.26
27	W.	Jana ap. i ewang.	14	Tyrtasa i Tow. męcz.	7.58	16.04	8.34	15.37
28	S.	Młodzianków	15	Eleuterjusza	7.58	16.05	9.22	17.02
29	C.	Tomasza bp. m.	16	Aggeusza	7.59	16.06	9.55	18.30
30	P.	Eugenjusza bp.	17	Daniela i 3 młodz.	7.59	16.07	10.18	19.54
31	S.	Sylwestra pap.	18	Sebastjana	7.59	16.08	10.35	21.14



ESKADRA TRAWLERÓW POLSKIEJ FLOTY WOJENNEJ

Przysłowia.

Mroźny grudzień, wiele śniegu,
Żyzny roczek będzie w biegu.
Grudzień ziemię grudzi,
A izdebki studzi.
Idzie zima,
A tu chleba niema.
Świętej Barbary po wodzie,
Boże Narodzenie po lodzie.
W święto Barbarki,
Zdejm z góry sanki.
Gdyby kiedy w grudniu grzmiało,
Byłoby wiatrów niemało;
W trzeciej części gdy grzmi, deszcze
Padają z wiatrami jeszcze.
Wilja piękna, jutrzenka jasna,
Będzie stodoła za ciasna.
Gdy w Narodzenie pogodnie,
Będzie tak cztery tygodnie.
Jeśli da śnieg Eugenji,
To zima się przemieni.
Na świętą Barbarę mróz —
Chowaj sanie, szykuj wóz.

Przepowiednie pogody.

W pierwszych dniach mróz, deszcz, zimno, następnie śnieg, znowu mrozy aż do 19, potem deszcz i aż do końca zimno.

Złote myśli.

O! świat ten gorzki, śmiechem przeraźliwy
Dla tych, co płaczą czy to krwią, czy łzami.
Chroń się ty świata, bo on nie był z nami
W szczęściu godzinie, więc i dziś nie będzie;
Bo przeciw wielkim czuciom on gniewliwy
I nie przebaczy tym, co toną w błędzie.

J. Słowacki („Lambro").

Kalendarzyk Marjański

wszystkich świąt i uroczystości Matki Boskiej w przeciągu całego roku.

W styczniu:

2. Objawienie się Matki Boskiej w Saragosie jeszcze za Jej życia.
6. Gody w Kanie Galilejskiej, ostatnie słowa Marji zapisane w Ewangelji.
20. Objawienie się Matki Boskiej Alfonsowi Ratisbone w kościele rzymskim pod nazwą „Della Strata".
23. Zaślubiny Matki Boskiej.

W lutym:

Miesiąc luty, cały poświęcony Najświętszej Pannie z Lourdes.

2. M. B. Gromnicznej: Ofiarowanie.
7. Powrót z Egiptu.
11. Najśw. Panny z Lourdes.
14. 2-gie objawienie się Najśw. Panny w Lourdes.
17. Ucieczka do Egiptu.
25. Wytryśnięcie cud. źródła w miejscu, gdzie N. P. się objawiła w Lourdes.

W marcu.

18. Objawienie się N. P. M. Miłosiernej.
25. Zwiastowanie N. M. P.
25. Pamiątka 16-go objawienia się N. P. M. w Lourdes i wypowiedzenie: „Jam jest Niepokalanie Poczęta".

Piątek Przed niedzielą palmową: Matki Boskiej Bolesnej.

W kwietniu:

1. Najświętszej Panny Łaskawej.
24. Matki Boskiej Dobrej Rady.
29. Matki Łaski Bożej.

W maju:

1. N. P. Matki Dobrego Pasterza.
3. N. P. Królowej Korony Polskiej.

2-ga niedz. N. M. P. Łaskawej.

10. N. P. Matki Miłosierdzia.
10. 1-sze przeniesienie domku Najśw. Panny Loretańskiej.
13. Królowej Męczenników.
18. Koronacja M. B. Skępskiej.
22. Koronacja M. B. Chełmskiej Bolesnej.
24. Wspomożenie Wiernych.
31. Matki Boskiej Serca Jezusowego.

W czerwcu:

1. Ucieczka grzeszników.
4. M. B. w Łąkach.
5. M. B. Dobrej Straży.
9. M. B. Łaskawej.
12. M. B. „Della Strata".
27. M. B. Nieustającej pomocy

W lipcu:

9. Matki Boskiej „Cudu".
16. M. B. Szkaplerza Świętego.
17. Pokory Najświętszej Panny.

W sierpniu:

2. Matki Boskiej Anielskiej, czyli odpust Porciunkuli.
3. Koronacja Najśw. Panny z Lourdes.
5. M. B. Śnieżnej.
11. Objawienie się M. B. de Mercedes.
13. Zaśnięcie Najśw. Panny.
15. Wniebowzięcie Najśw. Panny.

W niedzielę po oktawie Wniebowzięcia Najświętszej Marji Panny: święto Niepokalanego Serca Marji.

25. Marja de Fabrino.

Najśw. Panny Uzdrowienie Chorych.

We wrześniu:

8. Narodzenie Najśw. Marji Panny.
12. Imienia Najśw. Marji Panny.
15. Matki Boskiej Bolesnej.
19. Matki Boskiej de la Salette, to jest objawienie M. B. w Salecie.
24. Najśw. Panny Okupu Niewolników.

W niedzielę po lub podczas oktawy św. Augustyna Pocieszenie M. B.

W październiku:

6. Królowej Pokoju.
7. Matki Boskiej Różańcowej (Zwycięskiej).
12. Matki Boskiej del Pilar. t. j. objawienie się na słupie czyli na pilarze.

2-ga niedziela października Macierzyństwa Najśw. Panny.

3-cia niedziela Czystości Najśw Panny.

4-ta niedziela Opieki i Dobrej Nadziei Najśw. Panny.

20. M. B. Przedziwnej (Mater admirabilis).

W listopadzie:

Niedziela w oktawie Wszystkich Świętych Najśw. Marji Panny Matki dusz czyśćcowych (Notre Dame du Suffrage).

21. Ofiar. N. M. P. w świątyni Jerozol.
27. M. B. Cudownego medalika.

W grudniu:

8. Niepokal. Poczęcia Najśw. M. P.
10. M. B. Domku Loretańskiego.

Alfabetyczny wykaz Świętych Pańskich.

Adama 24 grudnia
Adolfa b. wyzn. 17 czerwca
— m. 27 czerwca
Agaty p. m. 5 lutego
Agnieszki p. m. 21 stycznia
Albina b. w. 1 marca
Albiny p. m. 16 grudnia
Aleksandra m. 12 grudnia
— b w. 26 lutego
Aleksandry m. 20 marca
Aleksego Falk. w. 17 lutego
— w. 17 lipca
Alfonsa Lig. b. w. dK. 2 sierp.
— Rodr. w. 30 października
Alojzego Gonz. w. 21 czerwca
Ambrożego b. w. 7 grudnia
Amelji p. 10 lipca
Anastazego m. 22 stycznia
— p. w. 27 kwietnia
— w. 17 sierpnia
Anastazji m. 15 kwietnia
— m. 25 grudnia
— p. m. 28 października
Anatola b. w. 3 lipca
Anatolji p. m. 9 lipca
Andrzeja ap. 30 listopada
— Boboli m. 16 maja
— Kors. b. w. 4 lutego
— z Awel. w. 10 listopada
Anieli Merici p. 31 maja
Anny matki N. M. P. 26 lipca
Antoniego op. 17 stycznia
— z Padwy 13 czerwca
— Zacc. w. 5 lipca
Antonji m. 29 kwietnia
— m. 4 maja
Antoniny m. 1 marca
Anzelma b. dK. 21 kwietnia
Apolinarego b. m. 23 lipca
— m. 23 sierpnia
Apolonji p. m. 9 lutego
Apolonjusza m. 18 kwietnia
Atanazego b. w. dK. 2 maja
— kr. m. 20 listopada
Atanazji wdowy 14 sierpnia
Augustyna b. w. 28 maja
— b. w. dK. 28 sierpnia

Balbiny p. 31 marca
Barbary p. m. 4 grudnia
Barnaby ap. 11 czerwca
Bartłomieja ap. 24 sierpnia
Benedykta Polaka m. 12 listop.
— opata 21 marca
— Józ. Labre 16 kwietnia
Benedykty p. 6 maja
Bernarda op. dK. 20 sierpnia
Błażeja b. m. 3 lutego
Bogumiła m. 10 czerwca
Bogusława b. w. 22 maja
Bohdana m. 18 maja
— b. 2 listopada
Bohdany (Teodory) m. 17 lipca
Bonawentury b. w. dK. 14 lipca
Bonifacego m. 14 maja
— b. m. 5 czerwca

Bronisławy p. 1 września
Brunona w. 6 października
Brygidy p. 1 lutego

Cecyli p. m. 22 listopada
Celestyna I. p. w. 6 kwietnia
Cyprjana b. m. 16 września
— m. 26 września
Cyryla b. w dK. 9 lutego
— Jeroz. b. w. dK. 18 marca
— b. w. ap. Słow. 7 lipca
Czesława w. Polaka 20 lipca

Damazego p. w. 11 grudnia
Damjana m. 17 września
Dezyderjusza b. m. 23 maja
Dominika w. 4 sierpnia
Dominiki p. m. 6 lipca
Doroty p. m. 6 lutego
Dionizego b. w. 8 kwietnia
— p. w. 26 grudnia

Edmunda b. w. 16 listopada
Edwarda kr. w. 13 października
Efrema diak. 18 czerwca
Eleonory p. 21 lutego
Elżbiety kr. 8 lipca
— matki św. Jana 5 listopada
— wdowy 19 listopada
Emila m. 22 maja
— diak. m. 15 września
— m. 6 pździernika
Emiljana m. 8 lutego
— b. m. 8 sierpnia
— w. 11 października
— kapł. w. 12 listopada
— m. 6 grudnia
Emiljany p. 5 stycznia
Erazma b. m. 2 czerwca
Ernesta op. 12 stycznia
Eugenji p. m. 25 grudnia
Eugenjusza b. m. 4 marca
— b. m. 2 maja
— m. 4 stycznia
— b. w. 1 listopada
Eustachego b. w. 16 lipca
— b. m. 20 września
— w. 12 października
Ewarysta p. m. 26 października
Ewy 24 grudnia

Fabjana p. m. 20 stycznia
Felicjana m. 9 czerwca
Feliksa b. w. 14 lipca
— b. w. 19 lipca
— m. 14 stycznia
— p. m. 30 maja
— w. 20 listopada
Ferdynanda III kr. w. 30 maja
Filipa apost. 1 maja
— w. 23 sierpnia
Filipiny m. 20 września
Filomeny p. 5 lipca
Florentyny p. 20 czerwca
Florjana m. 4 maja
Franciszka S. b. w. dK. 29 stycz.
— w. 2 kwietnia
— Hier. w. 11 maja

Franciszka Kar. w. 4 czerwca
— Sol. w. 14 lipca
— Ser. w. 4 października
— Borg. w. 10 października
— Ksaw. 3 grudnia
Franciszki Rzym. wd. 9 marca

Gabrjela archan. 18 marca
Gaspara kr. 3 stycznia
Genowefy p. 3 stycznia
Gerarda b. m. 24 września
— Maj. w. 16 października
Gertrudy p. 15 listopada
Gerwazego m. 19 czerwca
Grzegorza N. w. 9 marca
— W. p. w. dK. 12 marca
— Naz. b. w. dK. 9 maja
— VII. p. w. 25 maja
— cudotw. 17 listopada

Heleny p. 22 maja
— ces. wdowy 18 sierpnia
Heliodora b. w. 3 lipca
Henryka b. m. 19 stycznia
— ces. w. 15 lipca
Hiacynty p. m. 30 stycznia
Hieronima E. w. 20 lipca
— w dK. 30 września
Hilarego b. w. dK. 12 stycznia
Hilarji m. 12 sierpnia
Hipolita w. 2 grudnia
Honorata b. w. 3 lutego
Honoraty p. 11 stycznia
Huberta b. w. 3 listopada
Hugona b. w. 1 kwietnia
— w. 17 listopada
— op. 29 kwietnia

Idziego op. 1 września
Ignacego b. m. 1 lutego
— Loj. w. 31 lipca
Ildefonsa b. w. 23 stycznia
Imienia Marji 12 września
Inocentego I. p. w. 28 lipca
Ireneusza b. m. 25 marca
— b. m. 28 czerwca
Ireny p. m. 20 października
— m. 5 kwietnia
Iwona kapł. w. 10 maja
Izydora b. w. dK. 4 kwietnia
— rolnika w. 10 maja
— op. 14 grudnia

Jacka m. 10 lutego
— w. 17 sierpnia
Jadwigi księżn. wd. 15 paźdz.
Jakóba młod. ap. 1 maja
— star. ap. 25 lipca
— Strepy b. w. 1 czerwca
Jana Dobr. 10 stycznia
— Chryzostoma 27 stycznia
— z Maty 8 lutego
— Bożego w. 8 marca
— Dam. w. dK. 27 marca
— ap. w oleju 6 maja
— Milcz. w. 13 maja

Jana Salle w. 15 maja
— Nep. m. 16 maja
— Reg. w. 16 czerwca
— Chrzciciela 24 czerwca
— Gwalb. opata 12 lipca
— z Dukli w. 1 października
— Kantego w. 20 października
— od Krzyża w. 24 listopada
— Berch. w. 26 listopada
— ap. i ew. 27 grudnia
Jerzego m. 23 kwietnia
Joachima ojca N. M. P. 16 sierp.
Joanny 24 maja
— Fr. d. Ch. wd. 21 sierpnia
Józefa Obl. N. M. P. 19 marca
— Kal. w. 27 sierpnia
— z Kup. w. 18 września
Jozafata bisk. m. 14 listopada
Juljana m. 7 stycznia
— b. w. 28 stycznia
— m. 12 lutego
— m. 9 sierpnia
— m. 2 września
— w. 9 czerwca
— pust. 18 października
Juljanny p. m. 16 lutego
— m. 17 sierpnia
— Falk. p. 29 czerwca
— wd. 7 lutego
Julji m. 1 października
— p. m. 22 maja
— p. m. 10 grudnia
Juljusza m. 19 sierpnia
— m 20 grudnia
Justyny m. 26 września
— p. m. 30 listopada

Kajetana w. 7 sierpnia
Kaliksta p. m. 14 października
Kamila Lell. w. 18 lipca
Karola Bor. b. w. 4 listopada
Katarzyny R. p. 2 lutego
— Bon. 9 marca
— Szw. 22 marca
— Sen. p. 30 kwietnia
— p. m. 25 listopada
Kazimierza kr. w. 4 marca
Klary p. 12 sierpnia
— p. 18 sierpnia
Klaudji m. 20 marca
Klemensa Dw. w. 15 marca
— p. m. 23 listopada
Konrada w. 19 lutego
— b. w. 26 listopada
Konstancji m. 19 września
Konstantego b. m. 29 stycznia
Korduli p. m. 22 października
Kornelji m. 31 marca
Kosmy m. 27 września
Kryspiny m. 5 grudnia
Krystyny p. m. 24 lipca
Krzysztofa m. 20 kwietnia
Kunegundy ces. p. 3 marca
— księżny p. 24 lipca

Leokadji p. m. 9 grudnia
Leona b. w. 20 lutego
Leona p. w. dK. 11 kwietnia
— p. w. 28 czerwca
Leonarda w. 6 listopada
— w. 26 listopada
Leony m. 15 czerwca
Leopolda w. 15 listopada
Longina żołn. 15 marca
Lucjana m. 7 stycznia
Ludwika kr. w. 25 sierpnia
— Bert. w. 9 października
Ludwiki wdowy 31 stycznia

Łucji p. m. 25 czerwca
— p. m. 13 grudnia
Łukasza ewang. 18 październ.

Macieja apost. 24 lutego
Maksyma b. m. 18 czerwca
— b. w. 8 stycznia
— b. w. 27 grudnia
Maksymiljana p. m. 12 paźdz.
Małgorzaty z Kort. 22 lutego
— król. wd. 10 czerwca
— p. m. 20 lipca
— Alac. p. 17 października
Marcela p. m. 16 stycznia
— m. 30 października
— b. w. 1 listopada
Marceli m. 28 czerwca
— wd. 21 stycznia
Marcelina p. m. 26 kwietnia
— kapł. w. 14 lipca
Marcina b. w. 11 listopada
— p. m. 12 listopada
Marka ewang. 25 kwietnia
— m. 18 czerwca
— p. w. 7 października
Marty m. 19 stycznia
— p. m. 23 lutego
— p. 29 lipca
Marjana diak. 17 stycznia
— w. 19 sierpnia
Marji N. P. Zaśl. 23 stycznia
— Oczyszcz. 2 lutego
— Objaw. w L. 11 lutego
— 7 Bol. 23 marca i 15 wrześ.
— Zwiastow. 25 marca
— Dobr. Rady 26 kwietnia
— Król. Kor. Pol. 3 maja
— Pośr. Łask. 31 maja
— Wspom. wier. 24 maja
— N. Pomocy 27 czerwca
— Nawiedz. 2 lipca
— Szkapl. 16 lipca
— Anielskiej 2 sierpnia
— Śnieżnej 5 sierpnia
— Wniebowz. 15 sierpnia
— Jasnog. 26 sierpnia
— Narodz. 8 września
— Wykupu 24 września
— Różańcowej 1 paźdz.
— Opieki 16 listopada
— Ofiarowania 21 listopada
— Niep. Pocz. 8 grudnia
— Loretańskiej 10 grudnia
Marji egipc. 2 kwietnia
— Kleof. 8 kwietnia
— Magd. de Pazz. 29 maja
— Magd. 22 lipca
Marjusza m. 19 stycznia
Mateusza ap. ew. 21 września
Matyldy kr. wd. 14 marca
Maurycego m. 22 września
Medarda b. w. 8 czerwca
Melanji zak. 31 grudnia
Melchjora kr. 6 stycznia
— m. 7 września
Metodego ap. Słow. 6 lipca
Michała arch. 29 września
Mikołaja b. w. 6 grudnia
— z Tol. w. 10 września
Moniki wd. 4 maja

Nar. św. Jana Chrz. 24 czerwca
Natalji małż. 1 grudnia
Nawr. św. Pawła ap. 25 stycznia
— św. Augustyna 5 maja
Norberta b. w. 6 czerwca

Onufrego pust. 12 czerwca
Oskara b. w. 3 lutego
Ottona bamb. b. w. 2 lipca
Otylji p. 13 grudnia

Pafnucego m. 19 kwietnia
Pankracego m. 12 maja
Paschalisa w. 17 maja
Paulina b. m. 31 sierpnia
— b. w. z Noli 22 czerwca
Pauliny m. 6 czerwca
Pawła I. pust. 15 stycznia
— apost. 29 czerwca
— od Krzyża w. 28 kwietnia
Pelagji m. 22 marca
— p. m. 4 maja
— pok. 8 października
Piotra ks. ap. 29 czerwca
— w okowach 1 sierpnia
— m. 29 kwietnia
— Nolasko w. 31 stycznia
— Dam. b. w. dK. 23 lutego
— Klaw. w. 9 września
— z Alk. w. 19 października
— Złotoust. 4 grudnia
Polikarpa b. m. 26 stycznia
Prokopa m. 8 lipca

Rafała arch. 14 października
Rajmunda w. 31 sierpnia
Reginy p. m. 7 września
Roberta w. 17 kwietnia
— Belarmina b. w. 13 maja
— op. 7 czerwca
Rocha w. 16 sierpnia
Romana m. 9 sierpnia
— b. w. 6 października
— op. 28 lutego
— m. 28 listopada
Romualda op. 7 lutego
Rozalji p. 4 września
Róży lim. p. 30 sierpnia
— witerb. p. 4 września
Ryszarda kr. w. 7 lutego
— b. w. 3 kwietnia

Sabiny m. 27 października
Sadoka m. z tow. 2 czerwca
Salomei księż. p. 17 listopada
Samuela pror. 20 sierpnia
Scholastyki p. 10 lutego
Ścięcie św. Jana Chrzciciela 29 sierpnia
Sebastjana m. 20 stycznia

Serafina w. 12 października
Serwacego b. w. 13 maja
Sewera m. 8 listopada
— b. w. 30 kwietnia
Seweryna op. i b. 8 stycznia
— b. w. 23 października
Stanisława b. i m. 8 maja
— Kostki 13 listopada
Stefana kr. w. 2 września
— 1-go m. 26 grudnia
Sylwestra op. 26 listopada
— I p. w. 31 grudnia
Szymona ap. 28 października
— Tryd. 24 marca
— z Lipn. w. 18 lipca
— pust. 26 lipca
— Słupn. w. 3 września

Tadeusza ap. 28 października
Tekli p. m. 28 wrześnin
— ksieni 15 października
Telesfora p. m. 5 stycznia
Teodora b. m. 26 marca
— m. 7 lutego
— żołnierza 9 listopada
— Stud. w. 12 listopada
Teodory pokut. 11 września
Teodozjusza b. w. 17 lipca
Teofila (Bogumiła) b. m. 7 mar.
— m. 22 lipca
— m. 2 października
— b. w. antjoch. 13 października
— żołn. 20 grudnia
— b. w. 27 kwietnia
Teofili p. m. 28 grudnia
Teotyma (Bogusława) m. 18 grudnia
Teresy p. 15 października
— od Dz. J. 3 października
Tomasza ap. 21 grudnia
— z Akw. w. dK. 7 marca
— b. 22 września
— b. m. 29 grudnia
Tymoteusza b. m. 24 stycznia
— m. 24 marca
Tytusa b. w. 6 lutego

Urbana b. 2 kwietnia
— m. 16 kwietnia
— p. m. 25 maja
— p. w. 29 grudnia
Ursyna b. w. 9 listopada
Urszuli p. m. 21 października

Wacława kr. m. 28 września
Walentego kapł. m. 14 lutego
— bisk. m. 14 lutego
Walentyny p. m. 25 lipca
Walerego b. w. 28 stycznia
Walerjana m. 14 kwietnia
— b. w. 15 grudnia
Walerji m. 28 kwietnia
— p. m. 9 grudnia
Wawrzyńca arch. m. 10 sierp.
— b. w. 5 września
— w. 22 lipca
Weroniki p. 13 stycznia
— Jul. ksieni p. 9 lipca
Wiktora m. 25 lutego
Wiktora w. 26 lutego
— m. ż. 21 lipca
— p. m. 28 lipca
— b. w. 23 sierpnia
— p. m. 23 grudnia
Wiktorji m. 17 listopada
Wilhelma b. w. 10 stycznia
— op. 6 kwietnia
— b. w. 29 lipca
— op. 25 czerwca
Wincentego m. 22 stycznia
— Fer. w. 5 kwietnia
— à Paulo w. 19 lipca
— Kadł. b. w. 8 marca
Wita m. 15 czerwca
Witalisa m. 9 stycznia
— m. 28 kwietnia
Władysława kr. węg. 27 czerw.
Włodzimierza w. 15 lub 24 lip.
Wojciecha arc. i m. 23 kwietnia

Zacharjasza pr. 6 września
— oj. św. Jana 5 listopada
Zenona m. 14 lutego
— żołn. m. 9 lipca
— m. 5 kwietnia
— b. m. 12 kwietnia
— b. w. 8 grudnia
Znal. św. Stefana 1-go m. 8 sier.
Zofji p. m. 30 kwietnia
— (15 maja)
Zofji wd. m. i 3 córek 30 wrz.
Zuzanny p. m. 11 sierpnia
Zygmunta kr. 2 maja
Zyty p. 27 kwietnia

Święci i Błogosławieni Patronowie Polscy.

Bł. Andrzej Bobola m. Jezuita — 16 maja.

Św. Benedykt, m. Kameduła pustelnik — 12 listopada.

Św. Benedykt, pustelnik — 16 lipca.

Sw. Bogumił, arcyb. pust. — 10 czerwca.

Bł. Bronisława Norbertanka — 3 września.

Św. Cyryl, biskup — 9 marca

Bł. Czesław, Dominik. — 20 lipca.

Św. Chrystjan, m. Kameduła pustelnik — 12 listopada.

Św. Florjan, m. — 4 maja.

Św. Izaak, m. Kameduła pustelnik — 12 listopada.

Św. Jacek w., Dominikanin — 17 sierpnia.

Bł. Jakób Strzemię w., arcybiskup lwowski — 1 czerwca.

Św. Jan, m. Kameduła pustelnik — 12 listopada.

Św. Jadwiga, Księżna Śląska, Cysterka — 17 października.

Św. Jan Kanty w., kapłan i profesor Uniwers. Jagiell. — 20 października.

Bł. Jan z Dukli w., Bernardyn — pierw. niedziela po św. Piotrze i Pawle.

Bł. Jan Sarkander w., — 5 marca.

Św. Jędrzej Żóraw. w. 16 lip.

Bł. Jolanta Klarys. — 16 czer.

Św. Jozafat Kunc. m., Bazyljan., arcb. połocki — 14 listop.

Św. Kazimierz w., Królewicz 4 marca.

Św. Klemens Dworzak w., Redemptorysta — 15 marca.

Bł. Kunegunda Klarys. — 14 listopada.

Św. Mateusz, m. Kameduła pustelnik — 12 listopada.

Bł. Melchjor Grodziecki, m. Jezuita — 7 września.

Św. Metody, w. bisk. — 9 mar.

Bł. Sadok z towarzysz. m. Dominikanie — 2 czerwca.

Bł. Salomea Królewna, Klaryska — 17 listopada.

Św. Stanisław m., biskup — 8 maja.

Św. Stanisław Kostka w., Jezuita — 13 listopada.

Bł. Szymon z Lipnicy w., Bernardyn — 18 lipca.

Św. Wacław — 28 września.

Bł. Wincenty Kadłubek w., biskup, Cysters — 8 marca.

Bł. Władysław z Gielniowa w., Bernardyn — 25 września.

Św. Wojciech m., biskup, Benedyktyn — 23 kwietnia.

Oprócz wymienionych posiada Polska liczny poczet świątobliwych mężów i niewiast, którzy zmarli w opinji świętości. Do nich należą: Iwo Odrowąż, biskup krakowski a stryj św. Jacka, bł. Czesława i bł. Bronisława, — Stanisław Kaźmierczyk, — Izajasz Boner, — Michał Gedrojć — Świętosław ze Sławkowa, których ciała mieści starożytny gród wawelski. Do takich należą pozatem królowa Jadwiga, Matka Teresa Marchocka, Karmelitanka, — O. Wojciech Męciński T. J. męczennik, — O. Stanisław Papczyński, założyciel Marjanów białych, — O. Kazimierz Wyszyński, Marjanin, — O. Fabjan Maliszewski, Dominikanin, — O. Rafał Chyliński, Franciszkanin: — z nowszych czasów: Bochdan Jański, założyciel Zmartwychwstańców, — Wanda Malczewska, — książę August Czartoryski, Salezjanin, — O Rafał Kalinowski, Karmelita bosy, — O. Bronisław Markiewicz, założyciel Zgromadzenia św. Michała Arch. i wielki opiekun sierót, — M. Franciszka Siedliska i wiele innych.

Rok 1932 ery chrześcijańskiej

jest rokiem *przestępnym* mającym 366 dni. Odpowiada r. 5692—5693 wedle rachuby żydowskiej (N. Rok u żydów 1 października).

Zaćmienia słońca i księżyca.

W roku 1932 przypadają dwa zaćmienia słońca i dwa zaćmienia księżyca:

7 marca częściowe zaćmienie słońca. Początek o godz. 5·31, koniec zaćmienia o godz. 10·20. Zaćmienie niewidzialne w Europie.

22 marca częściowe zaćmienie księżyca. Początek zaćmienia o godz. 9·50, koniec zaćmienia o godz. 15·5. Niewidzialne w Europie; widzialne w północnej Ameryce.

31 sierpnia całkowite zaćmienie słońca. Początek zaćmienia o godz. 17·44, koniec zaćmienia o godz. 22·22. Niewidzialne w Europie z wyjątkiem zachodniego wybrzeża W. Brytanji; widzialne w północnej Ameryce i na północy w południowej Ameryce.

14 września częściowe zaćmienie księżyca. Początek zaćmienia o godz. 18·05, koniec o godz. 23·55. Początek i koniec zaćmienia widzialne w Europie, koniec w południowej Ameryce.

Dni świąteczne.

We wszystkie niedziele oraz w dni: Nowego Roku, Trzech Króli, Wniebowstąpienia P., Bożego Ciała, śś. Ap. Piotra i Pawła, Wniebowzięcia N. M. P., Wszystkich Świętych, Niepokalanego Poczęcia N. M. P. i Bożego Narodzenia wszyscy obowiązani są pod grzechem ciężkim, jeśli nie mają ważnej usprawiedliwiającej przeszkody, wysłuchać całej Mszy św. i wstrzymać się od prac służebnych. W inne dnie, chociażby uroczyste nabożeństwa odbywały się w kościołach, Kościół obowiązku nie nakłada.

Dni postne.

W piątki i soboty Wielkiego Postu, w Suchedni i wigilje Zielonych Świąt, Wniebowzięcia N. M. P., Wszystkich Świętych i Bożego Narodzenia, obowiązuje post ścisły oraz wstrzymanie się od potraw mięsnych. (W Wielką Sobotę od 12 godz. niema już żadnego postu). We wszystkie inne dni Wielkiego Postu, prócz niedziel, obowiązuje tylko post ścisły.

We wszystkie piątki całego roku (prócz wyżej wymienionych) obowiązuje tylko wstrzymanie się od potraw mięsnych.

Za potrawy mięsne uważa się tylko rosół i mięso. Wszystkie przyprawy i omasty, choćby pochodziły ze zwierząt, zawsze są dozwolone, więc nie tylko masło i jaja, ale też sadło, słonina (jako przyprawa), smalec i t. p. mogą być używane we wszystkie postne dni całego roku, również ryb wolno używać zawsze, nawet jeżeli w dni postne używa się potraw mięsnych. Uroczyste święta poza wielkim postem znoszą obowiązek postu i wstrzymania się od mięsa w dniu na który przypadają. Również we wigilje z postem, jeśli wypadną na niedzielę, niema obowiązku poszczenia ani w niedzielę, ani w poprzednią sobotę.

Czasy zakazane.

W czasie od 1 Niedzieli Adwentu do Bożego Narodz. włącznie i od Środy popielcowej do Niedzieli Wielk. włącznie zabaw weselnych wyprawiać nie wolno.

Święta ruchome.

Niedziela Satarozapustna	24 stycznia	Suchednie II.	18, 20, 21 maja
Popielec	10 lutego	Boże Ciało	26 maja
Suchednie I.	17, 19, 20 lutego	Najśw. Serca Jezus.	3 czerwca
Wielkanoc	27 marca	Suchednie III.	21, 23, 24 września
Wniebowstąpienie	5 maja	Niedziela I. Adwentu	27 listopada
Zielone Święta	15 maja	Suchednie IV.	14, 16, 17 grudnia

UWAGA: Godziny w kalendarzu podane są według czasu słonecznego.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Szlachetni Czytelnicy! Życzliwie i z miłą chęcią przyjęliście 7-my rocznik „Kalendarza Królowej Korony Polskiej” w r. 1931 — o czem świadczą pełne uznania listy i recenzje, które w swojem miejscu załączamy. Wiemy aż nadto dobrze, że nie nasza w tem zasługa, bo nie nasza nieudolna praca zasłużyła na takie uznanie, ale raczej jest ono objawem Waszej wspaniałomyślności i zrozumienia, iż zdajecie sobie sprawę, jakiej idei służy to nasze wydawnictwo. Jeśli było w niem coś wartościowego, to dzięki bezinteresownej pomocy literatów naszych, którzy w ten sposób chcieli się przysłużyć idei Ks. Bronisława Markiewicza, idei pomocy dzieciom opuszczonym. A owocem tego, to dalsza wzmożona praca około budowy naszego domu, który już jest na wykończeniu i wkrótce już nowe setki sierót biednych pomieści w swoich murach. Jak widzicie, rok kryzysu i wyjątkowej nędzy nie wstrzymuje nas od pracy, a nawet tej pracy nie opóźnia, bo silni i zamożni jesteśmy duchową jednością z Wami, a Wasza ofiara chętna, Wasze cegiełki i Wasza modlitwa jednają nam błogosławieństwo Boże.

Mamy nadzieję, że z równą życzliwością przyjmiecie i ten Kalendarz „Królowej Korony Polskiej” na rok 1932 jako cegiełkę na dalszą rozbudowę naszych Zakładów. Zgóry Wam za to dziękujemy, dziekując zarazem i za dotychczasową pomoc i ofiarność.

Jest naszem założeniem starać się, aby każdy rocznik Kalendarza omawiał w szczególniejszy sposób jedno z zagadnień społeczno-narodowych interesujących ogół. Obecny służy hasłu „Polska na morzu”. Dzięki życzliwej współpracy naszych znakomitych pisarzy, jak p. Zofja Kossak-Szczucka, p. F. A. Ossendowski, p. St. Wasylewski, p. Michał Rolle, p. M. Jarosławski, p. J. Ginsbert, X St. Maciątek, X. Henryk Weryński, p. Tad. Kudliński, p. Dr. A. Błażejowski, p. prof. J. Sas Zubrzycki, p. Władysław Nałęcz, p. Fr. Łyp i inni — zyskaliśmy ciekawy i interesujący materjał, który z pewnością zyska uznanie najszerszych kół naszych Czytelników.

Uważamy za obowiązek podziękować tym wszystkim wymienionym W. Panom za ich pomoc, a zarazem i wszystkim, którzy przez zakupno tego Kalendarza złożą swoją ofiarę na rzecz sierót polskich.

REDAKCJA
KALENDARZA KRÓL. KOR. POLSKIEJ.



Witaj, Polskie morze!

Witaj, Polskie morze,
Modrych fal ostojo,
Chylim skroń w pokorze
Przed potęgą Twoją.

Zwołuj szumem głębin
Nas w swoje wybrzeża
Jak chmury gołębi
Do arki przymierza.

Byśmy mogli podać
Spracowane dłonie
Ludziom, którym zgoda
Zdobi siwe skronie.

Witaj, Polski brzegu,
Modrych fal rydwanie,
Płyniem dziś w szeregu
Na twoje wezwanie.

Jerzy Święcki.

Znaczenie morza dla Polski.

Bez przesady można powiedzieć, że dziś oczy całej Polski zwrócone są w stronę morza. Za mało znając dzieje stosunku naszego do morza, intuicyjnie odczuwamy swoje przewiny: żeśmy w przeszłości nie doceniali jego znaczenia i zaniedbali sprawy morskie, oddając żeglugę w ręce gdańszczan, co sprawiło, że Gdańsk wzrósł do rozmiarów bogatego i wpływowego miasta.

Dziś ocknęliśmy się z bezwładu. Gdynia jako port i miasto rozbudowuje się w tempie u nas nieznanem. Powstają towarzystwa żeglugowe, morskie, wzmacnia się nasza flota wojenna.

Z uznaniem też przyjąć należy decyzję redakcji „Kalendarza Królowej Korony Polskiej“ wydania tego rocznego kalendarza pod znakiem morza.

Za mało je znamy. Za mało zdajemy sobie sprawy z tego, że morze to potęga państwa i dobrobyt jego obywateli. Że bez bezpośredniej styczności z krajami zamorskiemi nie możemy wejść do wielkiej rodziny narodów całego świata.

Wybrzeże morskie to drzwi naoścież otwarte do najdalszych zakątków ziemi.

Bez morza w zmienionych dziś warunkach politycznego układu Europy niepodległość Polski byłaby fikcją. Bez floty morskiej samo morze dla nas byłoby fikcją.

Musimy rozbudować nasze wybrzeże i stworzyć silną flotę zarówno wojenną jak i handlową.

W tym celu powstał w 1927 r. na mocy ustawy państwowej Komitet Floty Narodowej. Hasłem tego Komitetu jest: zbudować flotę morską siłami samego społeczeństwa. Każdy obywatel państwa winien dobrowolnie opodatkować się w wysokości najmniej 1 złoty rocznie.

Podatek dobrowolny mały, ale obowiązujący wszystkich bez wyjątku.

Gdy wszyscy to zrozumieją, 30 miljonów złotych, składanych każdego roku, pozwoli nam w ciągu kilku lat stworzyć wielką siłę na morzu.

Niech każdy spełni swój obowiązek!

GEN. MARJUSZ ZARUSKI



Królowa Polski.

Jak w świecie widzialnym, tak i w świecie duchowym drobne nieraz początkowo źródła z biegiem czasu zlewają się w jeden potężny strumień, w ogromną rzekę, której niezmierne łożysko i szumiące fale niosą na sobie kulturę narodów, piastują dobrobyt krain.

Dzieje Polski katolickiej mówią o dwu takich duchowych źródłach, które wytrysły u nas — jedno w XIV wieku, drugie w XVII. Ich fale, idące szeroko i zlane ze sobą z woli Opatrzności, mają stworzyć w Ojczyźnie naszej nową potęgę religijno-narodową, olbrzymiego wprost znaczenia dla duchowej kultury i dobrobytu Polski katolickiej.

Jedno z tych źródeł — to Jasna Góra w Częstochowie ze swym cudownym obrazem Matki Boskiej, drugie — to tytuł Królowej Polski, przyznany Bogarodzicy przez papieża Piusa XI 23 października 1924 roku. Każde z nich z biegiem czasu rosło i potężniało, kształtując swe nurty w coraz większy, życiodajny dla narodu strumień.

Poznajmy szczegółowo ich dzieje — i najpierw zwróćmy wzrok ku Jasnej Górze.

I.

Z początkiem jesieni 1382 roku dwa orszaki królewskie przesunęły się z Węgier drogą na Sącz i Kraków, do Polski. Jeden orszak był wspaniały. Młodziutka królowa Polski, niebawem zaś i Litwy, czternastoletnia Jadwiga przybywała objąć zaofiarowane sobie berło po ojcu Ludwiku węgierskim. A drugi orszak, który dwa miesiące wcześniej tą drogą przeciągał, był bardzo ubogi i skromny. To kilku „białych Ojców" Paulinów udawało się do Częstochowy celem założenia nowego klasztoru. Z wielką ciekawością przyglądano im się w Krakowie, gdy przechodzili, niosąc ze sobą na nową osadę świętą pamiątkę, zabraną z macierzystego domu: Wizerunek Bogarodzicy, piastującej Dzieciątko Jezus na ręku[1]).

Dnia 8 września tegoż 1382 roku stanęli wreszcie Ojcowie u kresu swej podróży. Umieścili obraz w przygotowanym dlań głównym ołtarzu częstochowskiego kościółka. Rzecz cała odbyła się w ciszy zakonnych ścian, przy nielicznym tylko udziale wiernych z pobliskich siół i wiosek. Nikt z obecnych, choćby w ich liczbie znajdował się i sam fundator klasztoru, książę Władysław Opolski, nawet nie przypuszczał, że w tym dniu na Jasnej Górze wzniesiono dla przyszłych wieków i pokoleń tron Królowej wielkiego narodu. Miał on przetrwać trony Piastów i Jagiellonów i po nich przejąć dziedzictwo.

Byłoby zbytecznem opowiadać szczegółowo dzieje Jasnej Góry. Zaraz od początku jakby jakiś głos silny, choć dla ziemskich uszu niedosłyszalny, przemówił stamtąd do serc polskich. Głos ten spotęgował się zwłaszcza od dnia, kiedy około roku 1400 przybyła na Jasną Górę z pokłonem pielgrzymim królowa Jadwiga. Pobożna ta pani, być może w przejeździe z Wielkopolski, tu wstąpiła, a może specjalnie zainteresowała się zakonnikami, ziomkami swymi z Węgier, którzy prawie z nią razem zawitali do Polski, dość, że przybyła na Jasną Górę i ofiarowała śliczny ornat, własnoręcznie haftowany, do skarbca Pani Jasnogórskiej. Nadto złożyła fundusz wieczysty na Mszę św. za dom Jagiellonów i za Polskę. Miała się ta Msza św. z woli ofiarodawczyni odprawiać codzień o godzinie 6 rano przed cudownym obrazem Bogarodzicy. Jakoż odprawiała się istotnie dzień w dzień przez lat pół tysiąca do roku 1916, przynosząc domowi

---

[1]) O. Wacław Kapucyn, w dziełku swojem o Częstochowie, wyraża przypuszczenie, naukowo prawdopodobne, że obraz Matki Boskiej przynieśli zakonnicy ze sobą z macierzystego klasztoru na Węgrzech. Zwyczaj bowiem nakazywał zabierać ze sobą na nowe placówki obrazy świętych, więcej czczone, jako palladjum, zadatek błogosławieństwa Bożego na terenie nowej pracy. Historycznie to tylko jest pewne, że dnia 8 września 1382 r. przybyli z Węgier Paulini umieścili obraz Matki Boskiej w ołtarzu kaplicy. *550 rocznicę* tego zdarzenia obchodzić będzie Jasna Góra w roku przyszłym, 1932.

Jagiellonów trzy berła królewskie — polskie, czeskie i węgierskie — i koronę świętości Kazimierzowi królewiczowi, a Polsce ocalenie w dniach klęsk, niedoli i niewoli[1]).

Odtąd zwolna, ale stopniowo i coraz szerzej, po bożemu, zakreślała Marja kręgi swego panowania. Jej rządy, które z każdym wiekiem wyraźniej obejmowała, nie noszą na sobie cechy ludzkiej. Nie wpływała na poddanych od zewnątrz, nie narzucała im swego władztwa siłą i przemocą, ale sięgnęła do ich dusz i serc. Nie nakładaniem ciężarów, ale jak Boży Jej Syn czynieniem dobrze tysiącznym rzeszom swych poddanych, utrwaliła pośród nich swe berło. Liczne cuda, jakie poczęły się dziać w Częstochowie, zwróciły powszechną uwagę na klasztor i obraz Marji Jasnogórskiej.

Jakoż niebawem stało się, że fala kultu Bogarodzicy Dziewicy, tak żywa, potężna i tak żywiołowa, niemal od początku dziejów w duszy narodu, we wszystkich jego warstwach — od najniższych do najwyższych, — popłynęła samorzutnie ze wszystkich dzielnic Ojczyzny ku Jasnej Górze. Śladem pierwszej pątniczki w koronie, królowej Jadwigi, podążył z hołdami król Władysław Jagiełło przed rozprawą grunwaldzką, pospieszyli do stóp tronu Marji następni Jagiellonowie, podążył naród cały. Jasna Góra stała się sercem, gdzie biły tętna najwznioślejszych uczuć narodu. Zjeżdżały tu kolasy wielkopańskie, kapiące od srebra i złota, pielgrzymowały tu rzesze ubóstwa w siermięgach i łachmanach. Zagęściło się w kraju od wizerunków Częstochowskiej Pani po świątyniach, dworkach, pałacach i chatach, a rycerstwo Jej ryngraf nosiło na piersiach i mieczach. Komuś, ktoby od zewnątrz patrzał na rozrost tego kultu Częstochowskiej Panienki, mogłoby się zdawać, że Marja nie była Nazaretanką, tylko przyszła na świat na Jasnej Górze i tu wypiastowała Syna Bożego, by Go następnie z Polski podać światu całemu.

Aż przyszła pamiętna na zawsze w Polsce noc Bożego Narodzenia 1655 roku. Jenerał Müller, dowódca Szwedów, którzy zalali cały kraj, po bezskutecznem, całomiesięcznem oblężeniu Jasnej Góry, pobity musiał uchodzić z pod murów Częstochowy. „Najświętsza Panna — zeznają oficerowie szwedzcy z armji Müllera: Jerzy Lichner i Arentius Lukman — obłoczystym przyodziana płaszczem klasztorne mury obchodziła, na której spojrzenie wielu naszych padało martwych, tak, że kiedy wychodziła, musieli twarz spuszczać i zakrywać oczy”[2]). To też nic dziwnego, że „Częstochowę, klasztor mało obronny, otoczony małym wałem i czterema basztami, któryby francuzi wzięli

[1]) Wieczysta Msza św. za Polskę w niedługim czasie zostanie wznowiona na Jasnej Górze. Załatwieniem jej zajął się łaskawie J. E. Ks. Nuncjusz Fr. Marmaggi.

[2]) M. Skrudlik. Królowa Korony Polskiej. Lwów 1930, str. 134.

dwa razy w 24 godzinach, szwedzi po sześciu tygodniach porzucili beznadziejnie"[1]).

I ta jedna noc Bożego Narodzenia 1655 r., jeśli nie dała, to zapewniła Marji Jasnogórskiej po wszystkie wieki tytuł Królowej Polski. Odkąd bowiem sztandar zwycięstwa załopotał triumfalnie na basztach Jasnej Góry, w całej Polsce zbudził się wprost olbrzymi poryw serc ku Częstochowskiej Pani. Każdy widział i rozumiał, że to Ona władczą dłonią podjęła wówczas i ocaliła z „potopu" polityczny byt Polski. Huk dział na wałach klasztornych obudził sumienie w narodzie, wskrzesił śpiące siły, niewiarą obezwładnione i dał hasło do powszechnego, zwycięskiego powstania. Król Jan Kazimierz, przebywający na Śląsku, mógł powrócić do kraju. I dnia 1 kwietnia 1656 r., w katedrze lwowskiej złożył swe śluby królewskie, pozdrawiając uroczyście po raz pierwszy Matkę Boga jako „Królowę Polski". A choć tego aktu dokonał we Lwowie, cały naród czuł i wiedział, że tron Królowej Korony Polskiej znajduje się na Jasnej Górze. Kler, lud, możni, królowie wszyscy — z wyjątkiem ostatniego Stanisława Augusta, który do Woltera listy pisywał, a na Jasną Górę zajrzeć nie raczył — wszyscy garną się ku Niej. A gdy nastąpiły koronacje cudownego obrazu, pierwsza w 1717 roku, a zwłaszcza powtórna w 1910 r. koronami przysłanemi przez papieża Piusa X., wówczas we wszystkich sercach było jedno uczucie i przekonanie, że naród koronuje swą Królowę. To też mimo kajdan niewoli na cały kraj od stóp klasztoru rwała się pieśń ogromna, serdeczne wołanie:

— Królowo Polski — módl się za nami!

II.

Zachodzi pytanie, skąd się wziął w Polsce ten tytuł? Czy wytrysnął z duszy narodu samorzutnie w czasie, gdy mu zabrakło własnych królów ziemskich?

Bynajmniej. Tytuł Królowej Polski, jak już stwierdziliśmy wyżej, istniał przed rozbiorami. Zjawił się w okresie największej świetności i rozwoju naszej Ojczyzny, gdy jej orły pod Żółkiewskim trzepotały się na basztach Moskwy, a wypłynął najpierw nietyle z duszy narodu, ile — rzecby można — z duszy i serca samej Najświętszej Dziewicy. Tytuł ten — został przez Nią objawiony.

Gdzie, kiedy i komu?

Na to odpowiada historja: W pierwszych latach XVII wieku, pomiędzy 1612—1618 rokiem, we Włoszech — w Neapolu — w domu OO. Jezuitów, zakonu, niepodejrzanego o egzaltację wyobraźni, bo go cechuje trzeźwość i krytycyzm.

---

[1]) M. Skrudlik. Królowa Korony Polskiej. Lwów 1930 str. 134.

Rozpatrzmy szczegóły tego objawienia. Kto je otrzymał?

Był nim X. Juljusz Mancinelli T. J., świątobliwy zakonnik, wsławiony darem proroctw, licznemi cudami i objawieniami od Boga[1]). Po długoletnich pracach apostolskich na Wschodzie, powrócił do Włoch i zmarł w opinji świętości dnia 14 sierpnia 1618 r. w mieście Neapolu. Pośród licznych objawień jego było i to, o którem mówimy. Rzeczywistość jego stwierdzają świadkowie, o których wiarogodności wątpić nie mamy powodu.

Opowiada więc najpierw Książę Albrecht Stanisław Radziwiłł, kanclerz W. Księstwa Litewskiego, w 4 rozdziale swej książki, dwakroć wydanej (1635 i 1650 r.) w Krakowie pod tytułem: „Dyszkurs nabożny z kilku słów o wysławieniu Najśw. Panny Bogarodzicy Maryej.

„Był zakonnik świątobliwy, któregom ja znał, Societatis Jesu, w Neapolu „mieście włoskim, imieniem Juljus Mancinelli, ten tak się podnosił w bogomyślności, y w dziwnych rozmyślaniach, osobliwie ku Najśw. Pannie, że też często z Nią rozmawiał y cieszył oczy swoje widzeniem, iakie na tym placu niedoskonałości być mogło. Raz rozpalony będąc miłością duchowną y chcąc ią nazwiskiem do serca iey przypadającym nazwać, pytał, jakimby tytułem poćcić mógł, otrzymał respons od Maryey: zów mię Królową Polską".

Usłyszał zatem odpowiedź z ust Marji: „Nazywaj Mię Królową Polski!" [1]).

W sto lat później pisał o tem samem zdarzeniu Ks. Jan Poszakowski T. J. z okazji dwóchsetnej rocznicy potwierdzenia zakonu. W jego „kalendarzu jezuickim większym" pod dniem 14 sierpnia czytamy o zmarłym w tym dniu ks. Juljuszu Mancinellim, że „litanję mówiąc usłyszał od Najśw. Panny: „A czemu Mię Królową Polską nie zowiesz, bo ja to królestwo wielce kocham dla osobliwego ku mnie nabożeństwa".

W obu opowiadaniach spostrzegamy pewną różnicę w szczegółach. Nic w tem dziwnego. Książę Radziwiłł pisał jako bezpośredni świadek wkrótce po dokonanem objawieniu i może miał relacje od ks. Juljusza Mancinelljego, którego znał osobiście, a ks. Poszakowski pisał po upływie lat stu. Ich opowiadania zresztą tylko się uzupełniają. Lecz obaj nie podają szczegółów co do miejsca i czasu objawienia. Wtedy bowiem ludzie nawet uczeńsi byli jak dzisiejszy, przeciętny człowiek. Byle miał rzecz samą w ręku, nie-

---

[1]) Xsiążę Albrecht Stanisław Radziwiłł, pan na Otyce i Nieświeżu. W swoim „Dyszkursie" wspomina jeszcze niejakiego „Patrem Bartolomaeum, ordinis minorum de observantia", który podczas Mszy św. — w dniu bitwy króla Zygmuta III z rokoszanami bod Guzowem — widział, jak Najśw. Marja Panna ze świętymi Polakami błagała o ratunek kraju. „O Polonja — miał wykrzyknąć wśród modlitwy ów bernardyn — quanti sunt tibi patroni! O Polsko! Jak wielu masz orędowników!" — Cfr. M. Skrudlik, str. 145.

wiele się troszczy o to, skąd i kiedy ją otrzymał. Zanotowanie okoliczności było obowiązkiem samego uczestnika objawienia. I on to uczynił. Tytuł bowiem, objawiony mu przez Najśw. Dziewicę, był zbyt oryginalnym, żeby nie zwrócił na siebie jego uwagi i to w okresie sławy i potęgi naszej ojczyzny, gdy jej imię znano szeroko i poważano w Europie. Przytem drudno było pokrywać fakt objawienia wobec Polaków, których ks. Mancinelli znał wielu, nietylko Księcia Radziwiłła. Między młodą prowincją jezuitów polskich a Rzymem panowały wówczas nader żywe stosunki. Sam ks. Mancinelli utrzymywał korespondencję z jezuitami, mieszkającymi przy kościele św. Barbary w Krakowie i przysłał im w 1603 roku cierń z korony Chrystusa[1]). Czemużby któremu z nich nie miał powierzyć objawionego sobie tytułu Królowej Polski?

Jakoż znalazł takiego powiernika i doniósł mu listownie o treści swego objawienia. Był nim sławny naówczas i do dziś jeszcze asceta ks. Mikołaj Łęczycki T. J., z zażartego kalwinisty gorliwy kapłan, jeden z tych, o których już za życia mówi się: „święty".

Listu samego w oryginale dziś nie posiadamy, łatwo mógł zaginąć w niespokojnych czasach wojen szwedzko-kozackich, ale że go ks. Łęczycki miał u siebie i treść jego rozgłosił pośród współbraci zakonnych, na to są dowody. Autor życiorysu ks. Łęczyckiego, ks. Balbinus T. J., czech rodem, pisze, że na własne oczy list oglądał. Jeśli więc czeskiemu jezuicie, tem więcej Polakom dał ks. Łęczycki list ów do przeczytania. W ich liczbie był prawdopodobnie i głośny kaznodzieja, ks. Tomasz Młodzianowski T. J. W jednem z kazań mianych w Poznaniu, wkrótce po szwedzkim potopie, tak mówi: „Szła na chocimską wojnę Bogarodzica Panna, gdy się pod ten czas Królową Polską nazwała — i wygraliśmy. Szła i na tę wojnę szwedzką, kiedy na prośbę zwycięsko panującego dziś Jana Kazimierza w kościele naszym lwowskim jegomość ks. Legat w litanjach trzy razy te słowa położył: Regina Poloniae, ora pro nobis! — Królowo Polski, módl się za nami!" [2]).

Wojna chocimska, na którą — według ks. Młodzianowskiego — poszła Bogarodzica już jako Królowa Polski, gdyż „pod ten czas się Nią nazwała" — to wojna z roku 1621. „Pod ten czas" nie mogło być później, jak w roku 1618, gdyż w tym roku 14 sierpnia w wigilję Wniebowzięcia umiera ks. Mancinelli, a nie dalej, jak w roku 1612. Dlaczego? Ponieważ jest to rok śmierci ks. Piotra Skargi T. J. Jeśli bowiem ks. Młodzianowski w kazaniach o tym tytule wspomina, to jakiejby pieśni nie wyśpiewał o Królowej Polski ten, który w jednem kazaniu o Marji wołał: „Obym mógł tej

---

[1]) Ks. Jan Badeni T. J. — Studja i szkice. — O księdzu Mikołaju Łęczyckim.
[2]) Tamże, jak wyżej.

Przenajświętszej Matce nową jaką pieśń na Jej pochwałę wymyśleć i jakobym ją słodko śpiewał ze wszystkimi aniołami, wybranymi i wszystkim na świecie kościołem bożym!"

Zatem najprawdopodobniej między rokiem 1612—1618 objawiony, począł się szerzyć nowy tytuł Marji najpierw w czci prywatnej po domach i kościołach jezuitów polskich, popularnego wówczas i wpływowego zakonu. Ale już po 50 latach wypłynął na szeroką widownię dziejów Polski, dzięki Jasnej Górze.

III.

Po bohaterskiej obronie Częstochowy król Jan Kazimierz powrócił do kraju. Przedostawszy się przez Tatry, skierował się do niezajętego Lwowa, a idąc za radą Stolicy Apostolskiej i za głosem powszechnej w Polsce wiary w orędownictwo Najśw. Marji Panny i Jej opiekę szczególną nad narodem, postanowił w Jej błogosławione a przemożne ręce złożyć Koronę narodu.

„Dnia tedy 1 kwietnia 1656 r., który przypadł na sobotę, w oktawę Zwiastowania Najśw. Panny, udał się król do kaplicy na cmentarzu kościoła katedralnego, do wizerunku Najśw. Panny Łaskawej, razem z senatorami i z uroczystą okazałością, w przytomności wszystkich stanów, bractw kościelnych i całej ludności Lwowa, wziąwszy z tej kaplicy obraz Najśw. Panny pięknie przystrojony, odprowadził go procesjonalnie do kościoła i przed wielkim ołtarzem umieścić kazał. Wotywę odśpiewał przy nim nuncjusz papieski, Piotr Vido, biskup Lodi, poczem nastąpiło kazanie do takiej uroczystości zastosowane. Po nabożeństwie i przyjęciu Ciała i Krwi Pańskiej, przystąpił król z senatorami do wielkiego ołtarza i przyklęknąwszy na pierwszym stopniu przed obrazem Matki Boskiej, taki ślub odczytał:

— Wielka Boga-Człowieka Matko, Najświętsza Dziewico! Ja, Jan Kazimierz, za zmiłowaniem Syna Twego, Króla królów, Pana mojego i z Twego miłosierdzia król, do przenajświętszych stóp Twoich upadłszy, Ciebie za Patronkę moją i za Królowę państw moich dzisiaj obieram i siebie i królestwo moje Polskie, i Księstwo litewskie, ruskie, pruskie, mazowieckie, żmudzkie, inflanckie, smoleńskie, czernihowskie, jako też wojsko obydwóch narodów i wszystek lud Twojej szczególniejszej opiece i obronie polecam, a Twej pomocy i miłosierdzia w tym opłakanym, zamieszanym królestwa mego stanie przeciw nieprzyjaciołom św. rzymskiego Kościoła pokornie wzywam.

— A ponieważ największemi dobrodziejstwami Twemi związany, pałam wraz z narodem moim gorącą chęcią wstąpienia w nową służbę u Ciebie, przeto przyrzekam Ci i Synowi Twemu, Panu Jezusowi Chrystusowi, w mojem, senatorów i ludów moich imieniu, że z wszelką usilnością będę szerzył w ziemiach Królestwa mego

cześć i nabożeństwo dla Ciebie. Obiecuję wreszcie i ślubuję, że skoro tylko za przemożnem Twojem pośrednictwem i Syna Twego wielkiem zmiłowaniem, nad nieprzyjaciółmi, a szczególnie nad Szwedami, odniosę zwycięstwo, — u św. Stolicy Apostolskiej wyjednam, aby dzień dzisiejszy na podziękowanie Tobie i Synowi Twemu po wieczne czasy był obchodzony i święcony i dołożę z biskupami moimi starania, aby te śluby i ludy moje wypełniły.

Gdy zaś z wielkim bólem serca wyraźnie widzę, że za łzy i ucisk włościan Syn Twój, Sędzia Sprawiedliwy, smaga Królestwo moje w ostatniem siedmioleciu powietrzem, wojnami i innemi klęskami, przeto przyrzekam i ślubuję, że po przywróceniu pokoju wraz ze wszystkiemi stanami wszelkich użyję środków celem od-



wrócenia dalszych nieszczęść i postaram się, aby lud w mojem królestwie od wszelkich obciążeń i niesprawiedliwego ucisku uwolnić.

Spraw i to, Najmiłosierniejsza Pani i Królowo, i uproś łaski Twego Syna, abym zdołał wypełnić te śluby, do którycheś mię, senatorów i stany królestwa mojego natchnęła".

Po królu biskup przemyski, Andrzej Trzebicki, podkanclerzy koronny, w imieniu wszystkich stanów Rzplitej, „także dosłownie ślub uczynił; poczem obraz cudowny najbogobojniej z nachyloną głową uszanowawszy, ucałował król krucyfiks, a po nim wszyscy senatorowie i każdy złożywszy jakąś dowolną ofiarę, na swoje miejsce powrócił"[1]).

Po nabożeństwie ruszył król z procesją do pobliskiego kościoła OO. jezuitów, gdzie nuncjusz przystąpił do publicznego odmówienia litanji loretańskiej. Doszedłszy do jej końca, nagle się zatrzymał. I to zamiast „Baranku Boży" usłyszeli zebrani w świątyni wezwanie niezwyczajne. „Regina Poloniae! — zawołał nuncjusz — „Królowo Polski" — i potrzykroć głos podnosząc powtórzył wezwanie. Niezwykłe drżenie radości musiało przebiec serca obecnych, gdy chórem potrzykroć odpowiadali nuncjuszowi: „Ora pro nobis — módl się za nami!"

Tak po raz pierwszy w murach kościoła Towarzystwa Jezusowego powtórzyła Polska przez usta swych przedstawicieli to nowe Imię, jakiem Królowa Niebios nazywać się kazała — jednemu z kapłanów tegoż Towarzystwa.

Lecz jednorazowe wezwanie w litanji, choćby najuroczystsze, nie było jeszcze coroczną uroczystością, zatwierdzoną i powołaną do życia przez Stolicę Apostolską, której Zbawiciel powierzył klucze Swej władzy nad wszystkiemi dziedzinami życia jednostek, społeczeństw, narodów i ludzkości całej. Coprawda w pięćdziesiąt lat potem 8/IX 1717 r. ukoronowano uroczyście skroń Marji Jasnogórskiej — po raz pierwszy na ziemiach Polski — w tem przeświadczeniu, że naród koronuje swą Królowę, ale jeszcze daleko było do pełnego wykonania ślubów Jana Kazimierza. Nie było święta dorocznego Królowej Polski, nie było rozciągnięcia Jej władzy na wszystkie zagadnienia życia państwowego i społecznego w Polsce, by je ułożyć w duchu ewangelji, nie wykonywano zwłaszcza drugiej części ślubu, że wszelki ucisk poddanych i ciężary niesprawiedliwe znikną z oblicza Polski, jako królestwa Marji. Jeszcze dziś całkowite wykonanie tego ślubu jest pieśnią przyszłości, jak to stwierdził J. E. ks. Arcybiskup lwowski Teodorowicz ob. orm. w swem kazaniu na kongresie Marjańskim w Krakowie 12 kwietnia 1931 r.

„W ślubowaniu swem przyrzekał król, że niesprawiedliwość i ucisk, bezprawie i bezrząd z królestwa jego wygnane będą. Te ogólne zasady sprawiedliwości państwowej zostały w ślubowaniu królewskiem złączone i sprzągnięte uroczystą przysięgą, że krzywdy

[1]) M. Skrudlik, str. 37—138.



Śluby Jana Kazimierza w Katedrze Lwowskiej w r. 1656.

i ucisk ludu wiejskiego będą naprawione. W ślubowaniu Jana Kazimierza wyraża się cały ideał chrześcijańskiego państwa.

Przez dwieście blisko lat od chwili złożenia ślubów przez króla Jana Kazimierza, nawet czołowe jednostki, tak pośród duchowieństwa, jak i katolików świeckich, nie zdawały sobie z tego sprawy, czem są te śluby w całej swej rozciągłości pod względem społecznym, politycznym i religijnym. Dopiero gdy na barki narodu spadło jarzmo stuletniej niewoli, gorętsze serca patrjotów zadrżały. Widząc, że wszystkie próby i rachuby ludzkie na odzyskanie wolności kończą się klęską i krwi rozlewem, zwrócili oczy swoje w niebo. Od Królowej Polski poczęli wyglądać ratunku.

I jakby idąc za tradycją wiekową, pierwszy Lwów, a obok niego i Przemyśl przypomniały sobie śluby królewskie. Pod zaborami, nie mając samodzielności państwowej, ograniczono się narazie do kościelnej części przysięgi Jana Kazimierza, pozostawiając na uboczu jej część społeczno-polityczną. Poczęto czynić starania o zatwierdzenie przez Stolicę Apostolską kościelnej uroczystości Królowej Polski. Arcybiskupi lwowscy, Seweryn Morawski, a po nim Józef Bilczewski i następca Andrzeja Trzebickiego, tego co pierwszy po królu śluby czynił, biskup przemyski Józef Sebastjan Pelczar, uzyskali od Stolicy Apostolskiej dla swych diecezyj zatwierdzenie uroczystego święta Królowej Korony Polskiej. Papież Leon XIII zgodził się na zaprowadzenie tego święta we wspomnianych diecezjach 1902 roku. Poczem już tytuł „Królowej Polski", mimo zaborów i cenzur zaborczych, począł coraz śmielej i częściej odzywać się w świątyniach i w świecie.

Wyrażenia „Królowa Korony Polskiej" użył po raz pierwszy papież Pius X d. 5 maja 1904 roku podczas uroczystej audiencji, udzielonej pielgrzymce polskiej, z arcybiskupem Bilczewskim na czele. Ten sam papież dekretem z dn. 28 listopada 1908 r. oddał Polskę w szczególniejszą opiekę Najśw. Panny i zezwolił na wzywanie w litanji loretańskiej wezwania: „Królowo Korony Polskiej — módl się za nami!" W roku 1920, przed najściem bolszewików, na prośbę biskupów polskich, zebranych u grobu św. Wojciecha, papież Benedykt XV włączył tę inwokację do litanji publicznej. Wreszcie po wspaniałem zwycięstwie nad bolszewikami, nazwanem „Cudem nad Wisłą", 1920 r. biskupi polscy podjęli starania 1921 r. o uznanie uroczystości Królowej Polski, jako święta kościelnego dla całego kraju[1]). Pius XI papież, przychylając się do przedłożeń episkopatu, dnia 12 listopada 1923 r. przeniósł uroczystość Królowej Polski

[1]) Biskupi polscy wydali równocześnie orędzie, wzywające naród do składania ofiar na budowę kościoła ku czci Królowej Polski w tak zwanym „Kącie trzech cesarzy", gdzie niegdyś stykały się granice trzech zaborców.

z pierwszej niedzieli maja, na dzień uroczystości narodowej 3 maja, a w październiku następnego 1924 roku dzień ten podniósł do godności święta kościelnego.

Na pierwsze to święto, uznane przez Stolicę Apostolską, dnia 3-go maja 1925 roku, popłynęły wielotysięczne rzesze polskie z biskupami na czele do stóp tronu swej Królowej — na Jasną Górę. A panie polskie złożyły Marji berło królewskie w upominku, z korną modlitwą, aby niem nie pogardziła, lecz silnie ujęła w tych czasach zamętu — i głów i serc i sumień — w błogosławione ręce Swoje.

IV.

W ten sposób część kościelna ślubu została spełniona. Królowa niebios zostala Królową Polski. Ale to jeszcze nie koniec. Do całkowitego wypełnienia ślubu pozostaje rzecz daleko trudniejsza od uzyskania tytułu i osobnego święta w kościele. Należy doprowadzić stosunki państwowe Polski do takiego stanu, żeby można powiedzieć o niej: Polska katolicka.

Tę myśl, tak wyraziście uchwyconą ostatnio przez J. E. ks. Arcybiskupa Teodorowicza, niebardzo jeszcze ogół Polaków rozumie. W ubiegłym wieku tylko dusze głębsze ją pojmowały i szerzyły jej znajomość wśród swoich. Dwa głównie nazwiska podkreślić tu trzeba: jedno — nazwisko kapłana-patrjoty, wielkiego duchem i czynem, ks. Bronisława Markiewicza, a drugie — wieszcza narodowego Zygmunta Krasińskiego. Obaj wychodzili z tego założenia, że Polska, która się szczyci posiadaniem Królowej nieba jako Królowej swojej, musi czynami dziejowemi swych synów i córek doróść do tej niebiańskiej wysokości.

Ks. Bronisław Markiewicz od lat najmłodszych przylgnął sercem całem do tej idei. Najpierw sam uwielbiał Bogarodzicę, jako Królowę Polski i otoczeniu swemu tak Ją nazywać zalecał, tak ją czcić i wielbić kazał. W ufundowanym przezeń Zakładzie dla sierot opuszczonych w Miejscu Piastowem — w ołtarzu kaplicy zakładowej — widnieje Marja, jako Królowa Polski. U Jej stóp rozwijał się Zakład, u Jej stóp powstawało także Zgromadzenie św. Michała Archanioła, jakie ks. Markiewicz powołał do życia. Szerzenie kultu Królowej Polski w diecezji przemyskiej było w znacznej części jego także zasługą. Lecz obok tego kultu, pojętego w myśl Kościoła, rozrastał się w jego pismach, w jego przemówieniach, także kult Królowej Polski, pojęty w myśl politycznych potrzeb i przyszłych zadań Polski Wolnej. Mówił, pisał i nalegał, nieraz gwałtował słowem i pismem, by jego współcześni to zrozumieli, że Królowa Polski musi mieć pod swem berłem kraj, co rządzi się ewangelją, dekalogiem, sprawiedliwością wszechstanową, że przedewszystkiem

pod królewskim płaszczem Pani niebios nie mogą pozostać bez opieki najnieszczęśliwsze istoty pod słońcem — dzieci, sieroty opuszczone. Trzebaby tu niemal przepisać połowę jego dzieł, chcąc uwypuklić szerzenie tej właśnie idei królestwa Marji w Polsce. Pół wieku zgórą nad tem pracował i odszedł od nas — po części jednak zrozumiany, bo tylko przez bardzo niewielu.

Drugi, Zygmunt Krasiński tę samą ideję podawał w obsłonach poezji. Przyszedł ze swem poselstwem w samą porę. W połowie bowiem zeszłego wieku Polska ujrzała się w upadku, w rozbiorach pod trzema zaborami, pogrzebana — zdawało się — nazawsze. Wszędzie ogromne było przygnębienie. Tylko grób i żadnej nadziei.

Wówczas nagle stała się rzecz niesłychana. Wśród ogólnego zwątpienia powstał potężny duchem i wiarą człowiek i zanucił hymn przewspaniały Zmartwychwstania narodu w swym „Przedświcie". Lękano się wierzyć, niemal czytać o tem, ale czar porywał — czytano.

I za przewodem wieszcza ujrzano się nad brzegiem jezior włoskich w kraju, gdzie Najśw. Dziewica kazała się nazywać Królową Polski. I na głębinie tych gwiezdnych szafirów ujrzano Ją samą — Zjawioną Polsce całej — Zmartwychwstałej Polsce. — Ona wiedzie drogami niebios ku chwale wszystkie duchy Polaków, wszystkie stosunki w narodzie, Ona — Królowa Polski. — Przedmowa „Przedświtu" tłumaczyła dokładniej polityczną myśl wieszcza, a poemat żywemi barwami tę zjawę malował...

Patrz! Z błękitów i szkarłatów
Już otacza Ją przesłona!
Na tle pereł, na tle z kwiatów
Diamentowa lśni korona.
W krzyż na piersiach zwarte dłonie.
Złote gwiazdy na Jej łonie.
Czy poznajesz ty, kto Ona?
Witaj! witaj! To Królowa!
Po swym ludu długo wdowa.
A dziś wraca w tej koronie,
Którą w polskiej Częstochowie
Niegdyś dali — Jej ojcowie
I tych ojców przez te tonie
Patrz! — prowadzi...[1])

Tak, prowadzi. Przeprowadziła Polskę przez otchłań dziejową rozbiorów i prowadzić pragnie na wieki. Ale dusze i serca wszystkich Polaków przy Niej zszeregować się muszą. Całem życiem swojem — prywatnem i publicznem — iść muszą w Jej ślady, dążyć nieustannie w myśl wskazań Kościoła — za Królową Polski.

Ks. Stanisław Maciątek.

[1]) Z. Krasiński. Przedświt.

Polskie morze.

(1920 — 1925 — 1930).



Ogniomistrz Stefan Grabicki — podówczas jeszcze kanonier — był jednym z tych szczęśliwców, którym przypadło w udziale powitanie polskiego morza. W mroźny lutowy poranek 1920 r. generał Józef Haller na czele zastępów polskiego wojska stanął w Pucku i w imieniu Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego objął w posiadanie nadbrzeżne obszary. Kiedy zaś rumak generalski kopyta w słonej wodzie zanurzył, a na maszcie wykwitła po raz pierwszy polska bandera morska — baterja kanoniera Grabickiego zagrała donośnie, zaślubiny Polski z Morzem światu całemu głosząc.

Stał wówczas kanonier Grabicki przy swej „Baśce" — smukłej francuskiej polówce, ongi zapewne Żermeną czy Ywonną zwanej, a czasy wojny światowej wspaniale pamiętającej. „Baśka" rzygała ogniem zapamiętale, w przerwach jednak dziwiła się, czemu jej w lodowaty ranek mewy i rybitwy straszyć każą. Dopiero Grabicki szeptem o znaczeniu tego dnia opowiadać musiał: — Wielki to dzień, Baśko — mruczał kanonier. — Sam kapitan mi to opowiadał. Podobno Polsce bez morza nie lża żyć. Potrzebne to jej, jak człowiekowi powietrze. Inaczej od świata odcięci, rozwijać się ani żyć nie będziem mogli. Nad tem polskiem morzem ma powstać port, do którego zachodzić będą polskie okręty. A stąd bogactwo wielkie dla całego Narodu wypłynie. Rozumiesz, córko?

„Baśka" widać zrozumiała, bo waliła tak wściekle, że aż ochrypła. Potem ją zaprzodkowano, a obsługa poszła patrzeć na słup wbity w morze, na którym było napisane:

„Roku Pańskiego 1920 dnia 10 lutego Wojsko Polskie z Generałem Hallerem na czele objęło w wieczyste posiadanie polskie morze".

Od owego czasu minęło lat pięć i Grabicki — już plutonowy — krzyżem walecznych za kampanję kijowską nagrodzony, postanowił skorzystać z urlopu, by znów popatrzeć na morze. Słyszał o budowie portu we wiosce rybackiej Gdyni, słyszał o rozbudowie polskiej floty handlowej i wojennej. A że sam widział nagie ugory i bezludne torfowiska nad polskiem morzem się ciągnące, więc ciekaw był, co teraz po pięciu latach zobaczy.

Niestety, zobaczył niewiele. Polska, jako państwo młode, z trudnościami wielkiemi się borykająca, rany powojenne gojąca, nie miała jeszcze dość sił żywotnych, aby odrazu wielkie dzieło morskie stworzyć. To też w Gdyni ujrzał Grabicki zaledwie kawałek drewnianego mola (bulwaru w morze wychodzącego), pod którego wątpliwą ochroną kryło się kilka żaglowców rybackich i motorówek. Nieco dalej stały na kotwicy, boć dostępu dla większych okrętów przy molu nie było, dwa statki: transportowiec marynarki wojennej „*Warta*“ i żaglowiec szkolny „*Lwów*“.

Z budynków była gotowa tylko wieża ciśnień. Urząd morski i kapitanat portu mieściły się w drewnianych barakach. Jednotorowa bocznica doprowadzała wagony do mola, gdzie ich jednak nie było czem przeładowywać na okręty. Ludność, przez nienawidzących nas wrogów agitowana, spoglądała z nieufnością na te pierwsze nasze nadmorskie poczynania.

Mało jednak tego, że kpili z nas najbliżsi nasi sąsiedzi — Niemcy, o „polskich porządkach“ prawiąc i z naszej nieudolności się natrząsając. I sami obywatele polscy w powodzenie sprawy nie wierzyli. Boć to „nie wie Polak co może, gdy pilnie orze“.

— Mój panie — mówił jakiś jegomość plutonowemu — co tu dużo gadać. Czy my co potrafimy? Anglików trzebaby było, albo Niemców. Oniby może port zbudowali. Ale my?! To tylko pieniądze rzucone w błoto. Za sto lat nic tu nie będzie.

— Chyba tak źle nie jest — żachnął się Grabicki. — Już sześć lat w wojsku służę i wiem, co Polak potrafi, jak tylko zechce. Wielka jest siła w naszym narodzie. Tylko że jej sami nie doceniamy i na innych niepotrzebnie oglądać się przyzwyczailiśmy. Czy to u nas niema takich samych inżynierów, jak u Niemców? A polski robotnik przecież na całym świecie ma sławę najlepszego. Ja wierzę, że ten port zbudujemy i to nie na rok 1933, jak przewidziane, a może jeszcze wcześniej...

Cywil uśmiechnął się z powątpiewaniem, odwrócił się i odszedł.

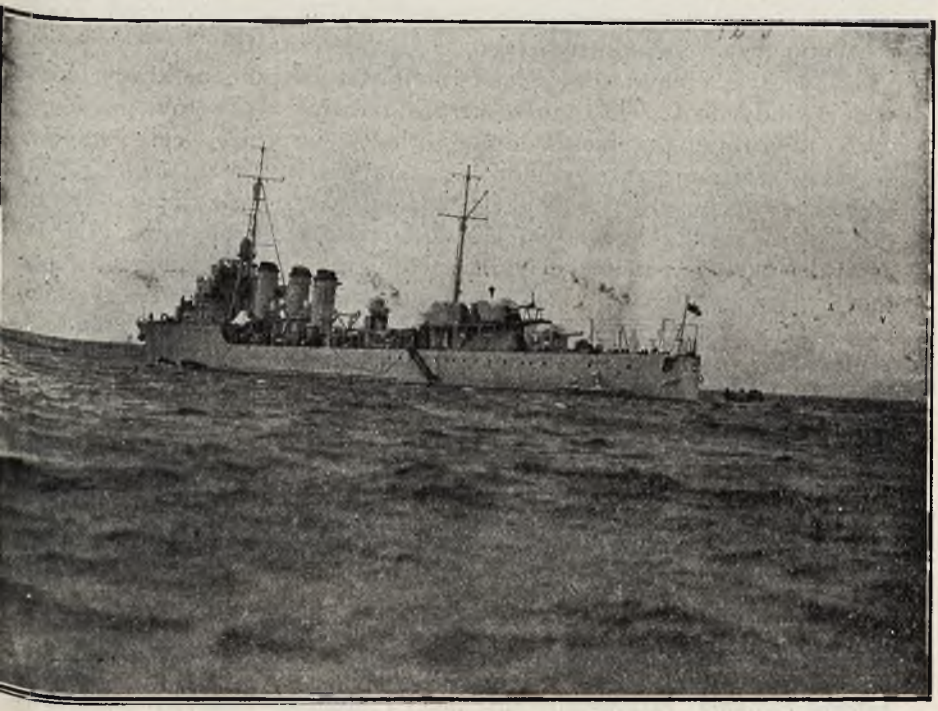
* * *

Minęło znów pięć lat i życie rację ogniomistrzowi Grabickiemu przyznało. Na Nowy Rok 1930 olbrzymi port stanął gotowy, właściwie niecałe pięć lat budowany. A wnet też naród sposobić

się począł do uroczystego obchodu dziesiątej rocznicy odzyskania polskiego morza.

Uzyskawszy kilkudniowy urlop, ciekawy zaszłych zmian, Grabicki podążył do Gdyni.

Kiedy pociąg minął pierwszą stację w Kolibkach-Orłowie i wgramoliwszy się na wzgórze, ku Chylońskiej kotlince staczać się począł, ogniomistrz, jakkolwiek na wiele dziwów przygotowany, aż się zatchnął. Czyżby śnił? Czyżby to wielkie, w nowoczesny sposób zbudowane ludne miasto, było ową wioską rybacką Gdynią,



Okręt Rzeczypospolitej Polskiej „Wicher".

przed dziesięcioma laty zaledwie kilkuset ubogich mieszkańców liczącą?

Dom przy domu — piękne, wysokie murowane. Tu Bank Polski, tam Bank Gospodarstwa Krajowego, tam znów Urząd Morski i Instytut Meteorologiczny, skąd przepowiednie pogody dla wszystkich okrętów nadają. Olbrzymi kompleks gmachów Szkoły Morskiej, magazyny, kantory, faktorje, fabryki, składy, doki, hotele. Wspaniały pałac „Żeglugi Polskiej" — państwowego przedsiębiorstwa okrętowego. Śliczna poczta z automatyczną centralą telefoniczną,

jakiej nawet nie ma stolica. Na ulicach komfortowe autobusy i eleganckie taksówki.

A dalej w sinej mgle, unoszącej się nad zatoką, las masztów i kominów. Te okręty, stojące na redzie i oczekujące, aż znajdzie się dla nich miejsce przy nadbrzeżach. Do Gdyni bowiem wchodzi się dziś już za ogonkiem.

Poszedł ogniomistrz oglądać port, a serce aż mu biło z radości i dumy. Żeby to móc chociaż spotkać tego cywila, co to pięć lat temu tak na polską niezaradność wyrzekał. Żeby tak za łeb go wziąć, tu przyprowadzić i rzec: odszczekaj wszystko, coś wtedy nałgał! Bo masz tu przed sobą owoc wysiłków twórczych rządu i narodu, żywe świadectwo tego, co Polak potrafi!

Ze czcią niemal spoglądał ogniomistrz na potężne krany, żórawie i windy do 15.000 tonn towarów dziennie z okrętów na wagony i odwrotnie przenieść zdolne. Na wywrotnice, całe wagony węgla w górę unoszące w ładownie statków w daleki świat polski węgiel wywożących. Na olejarnię, bekoniarnię (gdzie się wywożone do Anglji szynki konserwuje), chłodnię i łuszczarnię ryżu. Do tej ostatniej okręty z surowym ryżem wprost z Indyj przychodzą, a potem Polska ryż ten po całej Europie rozsyła. Na okręty wszystkich krajów zamorskich, a między niemi smukłe statki „Żeglugi Polskiej", z biało czerwoną obrączką i literą „Ż" na kominie. Na szybkobieżne okręciki polskich linij przybrzeżnych. Na drzemiący przy molo pasażerskiem kolos „*Światowid*", udający się z emigrantami do Południowej Ameryki. Przecież w samym roku 1929 przewieziono przez Gdynię trzy miljony tonn towarów i 20.000 pasażerów! Teraz zaś wielkie polskie parowce transatlantyckie „Polonia", „Kościuszko" i „Pułaski" przewozić będą jeszcze więcej.

Grabicki, chłop niegłupi, zrozumiał łatwo, jaka stąd korzyść dla państwa i narodu. Przecież wszystkie te towary, idące teraz przez polski port, szły dawniej przez ręce obcego, często nam wrogiego pośrednika. Każdą rzecz musieliśmy przepłacać! Gorzej — zależni byliśmy całkowicie od łaski i niełaski naszych sąsiadów, którzy mogli towary te przepuszczać lub nie dopuszczać.

Wzrastająca zaś wciąż polska flota handlowa wyrwała z rąk obcych nasz handel morski. Możemy teraz wozić gdzie, kiedy i jak nam się podoba. Możemy regulować ceny niektórych produktów na rynku światowym. A pieniądze za przewóz, zamiast napychać kieszenie obcych towarzystw, pozostają w kraju. Korzysta z nich polski przemysłowiec, polski kupiec, polski rzemieślnik, polski robotnik. Gdyby nie ta flota handlowa, której udało się zdobyć rynki zamorskie dla naszego węgla, cukru, nafty, produktów rolniczych, leśnych i t. p. kto wie, może stanęłyby u nas kopalnie, cukrownie, tartaki, może setki tysięcy robotników utraciłoby pracę...

W radosnej zadumie siadł nasz ogniomistrz na mały holownik *„Maryśkę"* i pojechał na drugą stronę szerokiego kanału przemysłowego. I tam zastał duże zmiany.

Więc oto półkolem wzniósł się wielki, a malowniczo na stokach góry Oksywskiej położony gmach Dowództwa Floty. U jego stóp zaś basen marynarki wojennej, oczekujący już na przybycie



Nowomianowani oficerowie marynarki polskiej na pokładzie „Bałtyku" otrzymują szable.

nowych łodzi podwodnych. Tymczasem stało w nim kilkanaście mniejszych okrętów wojennych, wielki Kontrtorpedowiec „Wicher" i krążownik „Bałtyk" — będący szkołą specjalistów morskich.

— Polska to naprawdę wielka rzecz — pomyślał Grabicki.

* * *

A kiedy nazajutrz, po hucznym i podniosłym obchodzie dziesięciolecia, powracał do pułku, w wagonie słyszał rozmowę dwóch Niemców:

— Was ist das? (co to jest?) — pytał jeden, wskazując na masy świateł i ciemne tło domów i okrętów — schon Danzing? (już Gdańsk?)

— Nein (nie) — odparł drugi. — To Gdynia, Polski port. Śmialiśmy się swego czasu z Polaków, że przy ich gospodarce nic porządnego zbudować nie potrafią. A oni w pięć lat zbudowali port nowoczesny i wielki. Zadziwili świat cały, nam zaś wyrwali z rąk handel bałtycki. Już Szczecin i Lubeka zamierają, a Królewiec ledwie zipie. W piątym roku od rozpoczęcia budowy, Gdynia zajmuje już piąte miejsce wśród portów bałtyckich. Co będzie, jeśli tak dalej pójdzie?

— A jednak to dzielny naród ci Polacy — mruknął pierwszy, widać mniej wrogo do Polski usposobiony.

Dzielny to dzielny, — pomyślał siedzący w kącie, a rozumiejący trochę po niemiecku podoficer. — Dziś już wie, co morze i wydrzeć go sobie nie pozwoli. A tym, co po prastare polskie Pomorze, po naszą wolność morską sięgnąć się ośmielą, pokaże bagnet polskiego żołnierza, pokaże pięść polskiego marynarza...

I ogniomistrz Grabicki zasnął. Śniła mu się jego stara „Baśka", dziś już w arsenale odpoczywająca. Była jakaś dziwna. Puchła, wydłużała się, rosła w oczach. Aż wreszcie wystrzeliła pod niebo długą lufą okrętowego działa, — takiego, co to czterdziestocentymetrowemi pociskami na czterdzieści kilometrów pluje.

A wówczas zdało się Grabickiemu, że on właśnie jest ogniomistrzem tej nowej, wielkiej „Baśki" z Oksywskiego fortu ku morzu zęby szczerzącej. I że takich „Basiek" jest ku chwale i bezpieczeństwu Ojczyzny dużo, bardzo dużo, tak na fortach polskiego brzegu broniacych, jak i na potężnych okrętach wojennych, strzegących polskiego morza...

Kto wie? Sprawdziły się już raz przewidywania ogniomistrza Grabickiego, może sprawdzi się i sen.

Kapitan Nemo.





BISKUP BANDURSKI.

MORZE.

Zwycięskim szlakiem przez ziemskie obszary
Doszli do kresów, gdzie lśnią mórz roztocza
I zaszumiały rozwiane sztandary,
Fal zwierciadlane witając przeźrocza.

To mórz zwierciadło, to Polski źrenica,
Którą spogląda na przestrzeń światową
I sił Narodu ożywcza krynica,
Która jest zdrowia pokoleń osnową.

Zwycięskie hufce nad brzegiem stanęły,
Szumem pochwalnym przypłynęło morze,
A wśród lazuru szkarłatnie błysnęły,
Zachodnim blaskiem rozognione zorze.

I w dal otwarły się ziemskie przestrzenie,
Gdy do kresowych okolic dosięga
Przejazd swobodny, z światem połączenie
I przodująca w nim Polski potęga.

— — — — — — — — — — — —

Niechaj to morze chwałą odzyskane
Będzie Narodu bogactwa Skarbnicą,
A wrzących toni głębie nieprzebrane
Niech zawsze będą Ziem naszych Strażnicą!

Sokół morski.

Nowela.



Car moskiewski Iwan Groźny i król szwedzki ciągnęli chciwie ręce po włość polską, na wschód daleko wysuniętą. Były to Inflanty, o których zagarnięciu marzyli obaj potentaci.

Król Zygmunt rozumiał zapędy wrogów i baczne miał oko na te ziemie kresowe, dzielnych obrońców i najlepsze wojsko przydając nad wschodnie granice państwa.

W Szwecji, Danji, w księstwie pruskiem, w miastach do Hanzy należących, a nawet w dalekiej Anglji wiedziano jednak, że wojna zawisła nad głową króla polskiego. Uśmiechano się złośliwie lub pobłażliwie i mówiono, że król nie ostoi się, bo nie zaopatrzył się w armatę wodną, bez której obrona kraju nie może być wykonana, i czytano po kryjomu, że Szwecja przez Bałtyk przerzuca na swych okrętach siarkę, saletrę, ołów i broń wszelaką Iwanowi Groźnemu, aby uzbroił potężne wojsko i ruszył na Polskę, jak niegdyś spadały na nią dzikie hordy tatarskie. Osłabioną i wyczerpaną Rzeczpospolitą Polską miał następnie zburzyć do szczętu miecz szwedzki.

Jagiellon mądry wiedział o wszystkiem, a może nawet więcej od mężów stanu w krajach ościennych, myślał w dzień i w nocy nad losem swego państwa, a gdy noc zapadała głucha wołał do siebie niedawno na dwór królewski przybyłego imć pana Wacława Dunin-Wąsowicza, który to szereg lat na pobrzeżu kaszubskiem strawił, a potem po krajach cudzoziemskich podróże odbywał.

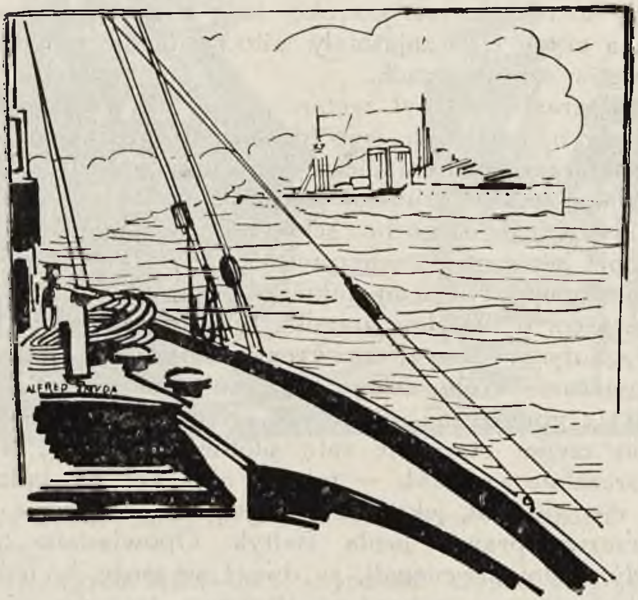
Długo król Zygmunt słuchał p. Wąsowicza i naradzał się z nim, aż pewnego dnia gruchnęła po stolicy wieść i gromkiem echem odezwała się w Sztokholmie, Rugji, Moskwie i Królewcu.

Król wydał był bowiem pismo szyprowi królewskiemu, panu Dunin-Wąsowiczowi, aby ten na brygantynie swojej wolno po Bałtyku pływał, kupców prawnych nie krzywdził a wszelkie pinki,

brygi, galjony, które Iwanowi Groźnemu materjały wojenne i broń wiozły, przełapywał i czynił, co mu rozum i wola nakazywały. Za staranie jego i odwagę król oddawał mu całą zdobycz, jedną dziesiątą część zaledwie zatrzymując dla skarbu państwa.

Pan Wacław, po wypisaniu mu pisma i zaopatrzeniu go w podpis i pieczęć królewską, zniknął bez śladu. Dwa miesiące, a może nawet trzy, nikt o nim nie słyszał, gdy nagle na dworze, przed obliczem króla stanął poseł szwedzki i jął przekładać Zygmuntowi, że okrętom, ze Sztokholmu i Bornholmu płynącym, wielka krzywda się dzieje.

— Oto, miłościwy panie, — powiadał — płynął koło Parnawy bryg „Tohr", wiozący majstrów rusznikarskich, zwerbowanych przez cara moskiewskiego i inny — „Niebieska Gwiazda" z towarami do Narwy się kierujący, gdy drogę im zastąpiła brygantyna trzymasztowa, mocno ożaglowana i w armaty liczne zaopatrzona. Na rufie jej powiewała niewidziana dotąd na Bałtyku bandera — szkarłatna z orłem piastowskim i ze zgiętem w łokciu ramieniem, miecz dzierżącem...



Król uśmiechnął się nieznacznie i słuchał coraz uważniej.

Poseł szwedzki mówił dalej:

— Nieznana brygantyna, zrewidowawszy „Tohr", zatopiła go wraz z rusznikarzami, a drugi okręt zabrała i do Gdańska przyprowadziła. Czyżby, miłościwy panie, była to brygantyna polska?

Król nachmurzył brwi krzaczaste i zamiast odpowiedzieć — zapytał głosem surowym:

— Powiedz-no mi, mości pośle, czy owa brygantyna nie spotkała innych okrętów waszych, ze Skandynawji płynących przez Bałtyk?

— Tak jest, najjaśniejszy panie, spotkała też inne, płynące do Królewca, Parnawy, Danji, lecz wypytawszy o ładunek, puściła wolno.

Król zaśmiał się głośno i odparł:

— Donieś tedy swemu władcy, że ninie okręty wasze, pomagające memu wrogowi — Iwanowi Moskiewskiemu, nie zawsze pływać będą bezpiecznie. A muszą o tem wiedzieć i inne państwa, na naszą niepomyślność Iwanowi służące chętnie.

Tak to posłyszano po raz pierwszy o czynach „sławnego na morzu i lądach" wolnego szypra królewskiego, p. Wacława Dunin-Wąsowicza, a wkrótce potem słyszano coraz częściej, aż imię jego stało się postrachem żeglarzy północnych i Hanzeatyckich, trudniących się przemytnictwem wojennem za srebrne, ciężkie ruble moskiewskie.

Nastały nawet takie czasy, że car nie mógł już skusić zapłatą hojną szyprów szweckich i niemieckich, więc zmuszony był własne łodzie żaglowe w Narwie budować i po potrzebną mu dla wojny z Polską broń, proch i kule do Szwecji posyłać.

Wtedy to rozbrzmiało szeroko imię pierwszego szypra królewskiego, a czyny jego zajaśniały nito gwiazdy na niebie, siejąc wśród wrogów czarny strach.

Bo też straszny to był żeglarz — ów p. Wacław Dunin-Wąsowicz, a gdy o napadach jego donoszono groźnemu carowi, ten okutym kosturem przebijał piersi gońcom wojewody, w Narwie siedzącego, klął i cmokał grubemi wargami, myśląc:

— Gdybym tego Lacha schwytał, kazałbym go żywego ze skóry obłupić, ale przedtem uczyniłbym wszystko, aby go na swoją stronę przeciągnąć! Nie mam takiego żeglarza!

Tymczasem p. Wacław zrzadka tylko do Gdańska zaglądał ze swoją brygantyną. Stawał zazwyczaj daleko od miasta, posyłał łódź do komisarza królewskiego, aby mu pismo oddać z relacją pływanki. Nikt z gdańszczan długo nie wiedział, jak się brygantyna nazywa, bo szyper starannie rafę płótnem okrywał, a i wyziory armatnie szczelnie zamykał, — tak, że nikt ani na lądzie, ani też na morzu nie wiedział, jakie okręt jego miał uzbrojenie. Brygantyna bez przerwy prawie pruła Bałtyk. Opowiadano o niej przeróżne bajdy. Jedni przysięgali, że dwoić się może, bo jednego i tego samego dnia widziano ją hen! za Parnawą, to znów pod Bornholmem; drudzy twierdzili, że szyper używa forteli niedozwolonych, bo pływa pod różnemi flagami, zwodząc cudzoziemskich żeglarzy; inni znów opowiadali z przestrachem w głosie, że brygantyna szypra królewskiego przybiera różne kształty — to wystaje nad zwarą morską dwoma kasztelami, to znów jednym — od sztaby; to niesie na masztach po dwa żagle, to raptem po trzy lub tnie kipiel

rozwinąwszy na berań-maszcie duży żagiel skośny, na Bałtyku nigdy nie stosowany.

Na pokładach okrętów targowych, na galjonach, zbrojnych w armaty, w nadbrzeżnych miasteczkach i portach nazywano p. Dunin-Wąsowicza — „Sokołem Morskim", a brygantynę jego „Widmem". Nie byłby jednak p. Wacław owym „Sokołem Morskim" i postrachem żeglarzy, przeciwko Polsce knującym, gdyby nie pewien szyper.

Był to człek zagadkowy, a stanowił część brygantyny, jak jej maszty, ster i koło sztorwałowe. Zresztą p. Dunin-Wąsowicz kupił go wraz z okrętem u pewnego Duńczyka, sławnego żeglarza, który



wzbogacił się był niezmiernie i proceder morski porzucić postanowił na zawsze.

Człek ów, zatem sprawował czynności szypra a więc prowadził okręt, bo sam p. Dunin-Wąsowicz, kawaler fantazji rycerskiej, znał się na działach, rumach prochowych i bitwach morskich, których w życiu zaznał co niemiara, służąc w armacie duńskiej i holenderskiej.

Szyper brygantyny był człowiekiem leniwym, o siwej brodzie kłaczastej, kudłach srebrnych, spadających mu na szerokie barki, ponury, milczący, nad słowa tęgi niuch tabaki, fajkę i łyk okowity przekładający.

Nazywał się — Wojciech Korsak. Pochodził z Białej Rusi, gdzie co krzaczek, to Korsaczek siedział, bo bez liku ich tam sypnęło się na oszajców*) i na obrońców macierzy od wschodniej zawsze niespokojnej strony.

Ów Korsak niemal całkiem mowy ojczystej zapomniał, bowiem od czterdziestu, a może i więcej, lat na obczyźnie przebywał, pływając pod różnemi banderami. Znali go kupcy hanzeatyccy z Lubeki, Bremy i Hamburga, ubiegali się o niego właściciele galjon holenderskich, a handlowi potentaci z francuskiego Bordeaux kusili go nieraz workiem złotych monet. Z kim pływał i co podczas dalekich pływanek robił, o tem Wojciech Korsak opowiadać nie lubił, a zapytany mruczał niczem niedźwiedź, gdy go przy barciach zdybano, nabił nos tabaczką lub ciągnął najognistszą okowitę łyk po łyku.

Pan Dunin-Wąsowicz słyszał niegdyś, że Wojciech stary dowodził przed laty brygami korsarzy norweskich, że zgromadził skarby niezliczone, ukrywając je w jemu tylko znanem miejscu. Gdy nabył był szyper królewski swoją brygantynę, musiał szukać i za wysokie myto**) obsadzać okręt od prostego ciury podkładowego, do bosmana, warugi sztorwałowej i żaglomistrzów.

Tylko jeden Wojciech pozostał na brygantynie tak samo, jak tkwił na niej od kilku lat. Zapytany, czy chce służyć królowi polskiemu i proceder wolno szyperski uprawiać, bary podniósł wysoko, kudłami siwemi potrząsnął i mruknął, spluwając z kasztelu za burtę:

— Proceder takowy znam, a na ostatku lat swoich Polsce przysłużyć się szczerze pragnę!

Wypowiedział tę niezwykle dla siebie długą mowę mieszaniną słów duńskich, niemieckich, angielskich i hiszpańskich, jedno tylko słowo „Polska“ po polsku wyraźnie wymawiając.

Ten to właśnie Wojciech Korsak prowadził brygantynę „Widmo”, stojąc na rufowym kasztelu, klął na czeladź żaglową, porykiwał swoje „hyś“ i „gar!“, palcami i głową dawał znaki sztorwałowemu bosmanowi i temu, co na sztabie przy kluzie kotwicznej stał, gdy brygantynę zacumować wypadało.

On to, ów Wojciech siwy umiał w mig zmienić wygląd okrętu, nowe, fałszywe żagle ustawiając, ukrywając przedni kasztel lub maskując burty, a czasem cudzoziemską podnosząc banderę, aby nieprzyjaciela zwieść i podejść niechybnie. Siła mu zawdzięczał sławny wojownik morski imć pan Wacław Dunin-Wąsowicz, pierwszy szyper królewski. Gdy brygantyna, rozwinąwszy wszystkie żagle, mknęła, a przed panem Wacławem odkrywało się pole do bitwy, podchodził do starego Wojciecha, po ramieniu go klapał i mówił:

No, stary, no! Zrób tak, abym mógł dosięgnąć wroga memi

---

*) Kolonistów. **) Żołd marynarski.

kulami, a jeszcze lepiej, abym zdołał zobaczyć go i na pokład się wedrzeć! No, Wojciechu, no, mój dobry szyprze!

Korsak coś mruczał pod nosem, pykał fajkę i mrużył stalowe, przenikliwe oczy. Po chwili odpowiedział krótko:

— Zobaczymy...

Otóż, wpadłszy do Parnawy pewnego razu, dowiedział się był p. Dunin-Wąsowicz, że w Narwi wojewoda carski oczekuje przybycia kilku pink*), powracających ze Szwecji z ołowiem, żelazem, siarką i saletrą. Szyper królewski zamyślił się, a zmiarkowawszy,



snać, najważniejsze, wyszedł na miasto. Miał tam druhów od serca i od kalety, do której chętnie sięgał. Zwiedział się rychło, że prawdą jest, iż car Iwan kazał był wojewodzie Telepnewowi sporządzić dziesięć okrętów i pod wodzą młodego bojarzyna Rubachina do Szwecji po zaopatrzenie bojowe pchnąć.

Brygantyna polska tuż po zachodzie słońca kotew wyciągnęła i postawiwszy żagle, odpłynęła ku tachom królewickim się kierując.

Szpiedzy moskiewscy uśmiechali się złośliwie i przystali do siebie:

*) Pinka — okręt 2 masztowy.

— Nie zwęszył wraży Lach, co się ma stać, i do swojeg
Gdańska odpłynął Sokół Morski! Prześlizgnie się Rubachin ze swe
mi pinkami do Narwy! Dobra nasza!

Radowali się, a nie wiedzieli, że tuż za Bormenlundem „Sokó
Morski” wszedł do kasztelu Wojciecha i z nim naradzał się długo
Przed północkiem, szlakiem, którym sunęły ciężko ładowane pink
moskiewskie, biegł okręt o wysokich burtach i poczwórnem ożeglo
waniu na grocie i berani*). Nikt nigdy nie widział takowej brygan
tyny na wodach Bałtyku. Bryza zerwała się mocna, kipiel rozgwa
rzyła na dobre, a ze zwały prennej wyrastały grzebieniaste bałwan
o grzywach siwych, rozmiotanych.

O świcie brygantyna polska spotkała pierwszą pinkę moskiew
ską, płynącą przodem. Zobaczywszy ją, p. Dunin-Wąsowicz kaza
związać czeladź, a wsadziwszy pięciu swoich okrętników, skinął im
ręką, aby ster na Gdańsk przełożyli. Dopiero w dwie godziny po
tem brygantyna starła się z resztą okrętów moskiewskich. Powitan
ją salwami z muszkietów, które z oddalenia i z powodu burzliweg
morza nie wyrządziły jej żadnej szkody. Tylko z jednej pinki buch
nął strzał armatni i tem samem zdradził, gdzie znajduje się do
wódca flotylli — ów bojarzynek Rubachin.

Pan Dunin-Wąsowicz rzygnął ogniem dział z lewej burt
i rozpędził po morzu płynące pinki, nito stadko płochliwych wróbli
a brygantynę rzucić kazał na pinkę Rubachina.

Moskiewski wojak miał na niej dwie sotnie zbrojnego ludu
więc opierał się długo, a nawet zahaczony na amen bój przyjął
Uległ jednak przewadze nawykłej do potyczek załogi „Sokoł
Morskiego” i padł cięty przez skroń ciężką siekierą abordażową
Już leżąc na pokładzie i pławiąc się we własnej krwi, podniósł się
na łokciu i wypalił z pistoletu. Wypalił po raz ostatni, bo p. Du
nin-Wąsowicz sztychem przygwoździł go do desek sztaby.

Bitwa była skończona. Na pinkach powiewały białe szmaty
na znak poddania się, a p. Dunin-Wąsowicz ustawił zdobyczne pink
i kazał żeglować na zachód. Cieszył się niezmiernie, że znakomit
łup wojenny do Polski odstawi i obronę państwa wzmocni.

Rozradowany i dumny szedł ku kasztelowi na rufie, gdzi
zwykle stał Wojciech stary, na wszystko baczny a szybki w rozkazach

Siwy szyper siedział oparty o maszt i ręką zaciskał gardziel
z której krew syczącą strugą biegła. Ujrzawszy komendanta, skinął
na niego i do pochylonego nad sobą wojownika mówił urywanym
słabnącym głosem:

— Koło Rugji na południowo-wschód wznosi się samotna skała..
Na szczycie jej znajdziesz otwór, przywalony kamieniami... Zajdzies

*) Nazwy masztów.

do jaskini... gdzie zakopałem — skarby swoje... Oddaj wszystkie Polsce... Polsce... ojczyźnie... módl się za duszę moją...

Opadła siwa, kudłata głowa, a w kłaczastej brodzie krzepnąć zaczęły sople krwi...

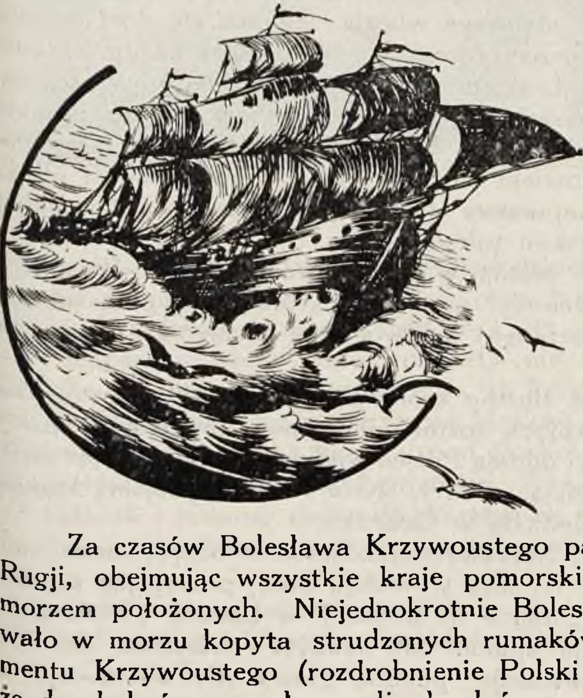
Starzec już nie żył... Bałtyk przyjął zwłoki żeglarza, a serca ludzkie pamięć o nim...

Pan Dunin-Wąsowicz odnalazł skarby Wojciecha Korsaka i oddał je królowi.

Zygmunt król kazał natychmiast kupić dwie nowe galjony i zwerbował nowych szyprów znakomitych. Byli to sławni bracia Scherpingowie, co wiernie Polsce służyli i banderę z białym orłem i ramieniem, miecz dzierżącem, nowym opromieniowali blaskiem, morskiej rubieży polskiej broniąc odważnie i skutecznie.

F. A. Ossendowski.

Krótki zarys Historji Marynarki Polskiej.



Dzie e marynarki polskiej sięgają początkiem w zamierzchłe czasy Słowiańszczyzny. Zamieszkałe między Łabą, Odrą i Wisłą plemiona lechickie, nierzadko żaglowały i toczyły boje wzdłuż brzegów Bałtyku.

W końcu 10-go wieku zasłynęli na świecie Wikingowie. Ale już przedtem słowiańskie plemiona Obotrytów, Lutyków, Pomorzan uczyły się morskiego rzemiosła.

Za czasów Bolesława Krzywoustego państwo polskie sięgnęło Rugji, obejmując wszystkie kraje pomorskie i szereg twierdz nad morzem położonych. Niejednokrotnie Bolesławowe rycerstwo omywało w morzu kopyta strudzonych rumaków. Ale spaczenie testamentu Krzywoustego (rozdrobnienie Polski na dzielnice) sprawiło, że dorobek ów począł powoli odpadać, wreszcie pozostało zeń tylko Pomorze Wschodnie.

W początkach 13-go wieku poczyna się rozwijać Gdańsk a nieco później do władzy na Bałtyku dochodzi Hanza — potężny związek miast. Dzięki niemu w ciągu całego średniowiecza, władza na tem morzu pozostaje w rękach Germanów. Hanza wsysa Gdańsk usposabiając go wrogo do Polski, wymusza niejednokrotnie na Danji zamknięcie Sundu (cieśnin prowadzących na Bałtyk) okrętom polskim i unicestwia wszelkie próby stworzenia polskiej floty.

Oddając w r. 1458 w ręce gdańszczan cały polski handel morski (t. zw. wielki przywilej) Kazimierz Jagiellończyk popełnił błąd nie do darowania. Odtąd autonomiczny Gdańsk będzie się starał sytuację tę wykorzystać, stając po stronie Polski jedynie w wypadku wyraźnych dlań korzyści, częściej zaś opowiadając się przeciw niej.

Z drugiej zaś strony naród, zdając się na przemyślność i doświadczenie gdańszczan, sam o flotę polską nie dba i mało się morskiemi sprawami interesuje.

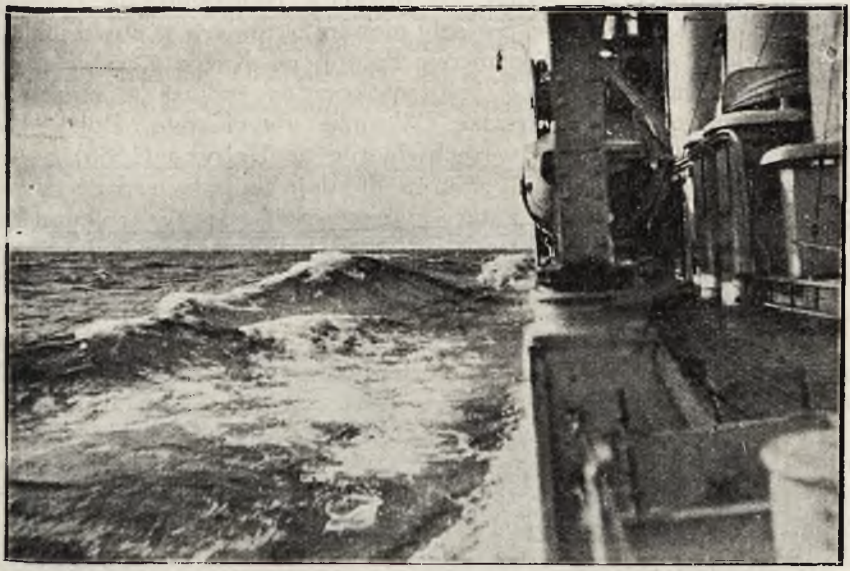
Właściwa historja marynarki polskiej zaczyna się za czasów Zygmunta Augusta (1548—1572). Wybucha wtedy między Polską a Moskwą konflikt o Inflanty. Podczas gdy Moskwie przychodzą w pomoc Szwedzi, Polska zyskuje sobie Danję. W r. 1558 Moskale zdobywają Narwę. Zygmunt August nie ufając zbytnio interwencji floty duńskiej, stara się stworzyć własną. Zwraca się do Gdańska, żądając wystawienia dwunastu okrętów o 50 działach każdy. Gdańsk odmawia, tłumacząc się brakiem funduszów, w rzeczywistości zaś ze względu na swe konszachty z Hanzą i wrogiem. Odmawia także wstrzymania wywozu do Inflant. Król volens-nolens musi sam dać sobie radę, Sejm go bowiem nie popiera. Zygmunt August ucieka się tedy do systemu kaperstwa (legalnego korsarstwa), w całym ówczesnym świecie morskim tolerowanego.

Pierwszym kaprem zostaje w r. 1557 Wacław Dunin-Wąsowicz. W roku następnym wychodzi uniwersał królewski, upoważniający Tomasza Sierpinka (Szarpinga) do tworzenia zaciągów i ekwipowania okrętów.

W r. 1567 było na służbie królewskiej około 50 okrętów kaperskich, przyczem Sierpinek został mianowany „hetmanem wojska morskiego". Kaprowie ci oddają Polsce wielkie usługi, blokując porty nieprzyjacielskie i chwytając okręty. Król tworzy specjalną komisję do spraw morskich z siedzibą w Gdańsku.

Nie podoba się to Gdańskowi zazdrosnemu o swój handel morski. Burmistrze Klefeld i Feber wywołują bunt, pociągając za sobą mieszczan i knechtów. Stojące na kotwicy w Latarni (Wisłoujściu) okręty kaperskie, zostają spalone lub zdobyte i włączone do floty gdańskiej; 11 kaprów wieszają, poczem głowy ich wystawiają na widok publiczny.

Polska ocknęła się wtedy z obojętności i zażądała surowej kary. Wojska królewskie stanęły pod Gdańskiem. Przywódcy buntu zostali ujęci i osadzeni w więzieniu. Skazano ich na śmierć. Gdańsk upokorzył się. Komisja królewska pod przewodnictwem biskupa Karnkowskiego opracowała rodzaj traktatu (konstytucje Karnkowskiego), mocą którego Gdańsk stwierdzał suwerenność króla i przyznawał Polsce „dominium maris"*). Wzamian król ułaskawił skazanych



„Wicher" płynie.

i przywrócił część przywilejów jagiellońskich. W rezultacie Polska została przy nominalnej a Gdańsk przy faktycznej władzy nad żeglugą po polskich wodach (1568 — 1570).

Kaperstwo znów ożyło, niestety nie na długo. Stosunki na Bałtyku układają się w ten sposób, że Polska pozostaje bez sojuszników. Danja przechodzi na stronę Moskwy, Szwecja jest niepewna. Duńczycy napadają na kaprów pod Borholmem (1569) i zdobywają 9 okrętów. Potem niszczą 4 gdańskie. Wreszcie w r. 1571 napadają na Gdańsk i niszczą dalsze 9 okrętów, w tem budowany kosztem skarbu królewskiego, a przy pomocy weneckich majstrów, wielki galeon wojenny.

Resztki floty kaperskiej wysłane w raz z poselstwem, udającem się do Francji po Henryka de Valois, zostały w Sundzie zniszczone przez Duńczyków.

*) Państwo morskie.

Dopiero mądry i energiczny Stefan Batory raźno bierze się do tworzenia potęgi morskiej. Jednak zaraz na wstępie napotyka opór Gdańska. Butne miasto nie chce go uznać za króla.

Powtarza się jota w jotę historja z r. 1567. Król zwycięża, ale miasto pozostaje przy swych przywilejach. Gdański wójt, który ośmielił się porwać na króla polskiego, składa raz jeszcze hołd i przysięgę na wierność w komnatach Malborga (r. 1578).

Ale przedwczesna śmierć nie pozwala Batoremu na urzeczywistnienie wielkich planów. Światły monarcha umiera w chwili, kiedy granice Polski sięgają od krańców Estonji po Karpaty, od Bałtyku do Czarnego morza. Wróg jest upokorzony, sojusz z Hiszpanją przeciw Danji na dobrej drodze. W razie zwycięstwa, Polska ma otrzymać Sund i panować wszechwładnie na Bałtyku (1586).

Początek panowania Zygmunta III zdaje się potwierdzać te projekty. Wnet jednak zawiły zatarg dynastyczny między królem a Karolem Sudermańskim, hamuje rozwój floty polskiej. Szwedzka wojna domowa widzi porażkę kilku polskich okrętów, stanowiących eskortę Zygmunta Wazy.

Polska zostaje wplątana niepotrzebnie w tę nieszczęsną wojnę. Zamojski i Koniecpolski bronią Inflant przed najazdem Karola IX. Ale bez pomocy floty ostatecznego zwycięstwa odnieść nie mogą.

W r. 1609 Chodkiewicz kleci napoczekaniu flotyllę, z kilku statków kupieckich i łodzi złożoną. Udaje mu się zdobyć Parnawę, gdzie w ręce hetmana wpadają dwa okręty szwedzkie i szereg innych. Obsadziwszy je własnymi ludźmi, wnet potem atakuje port Salis, w którym zimuje flota szwedzka. Dwa okręty szwedzkie zostają spalone przy pomocy łodzi-branderów, pozostałe ratują się ucieczką. Jest to pierwsze walne zwycięstwo polskie na morzu.

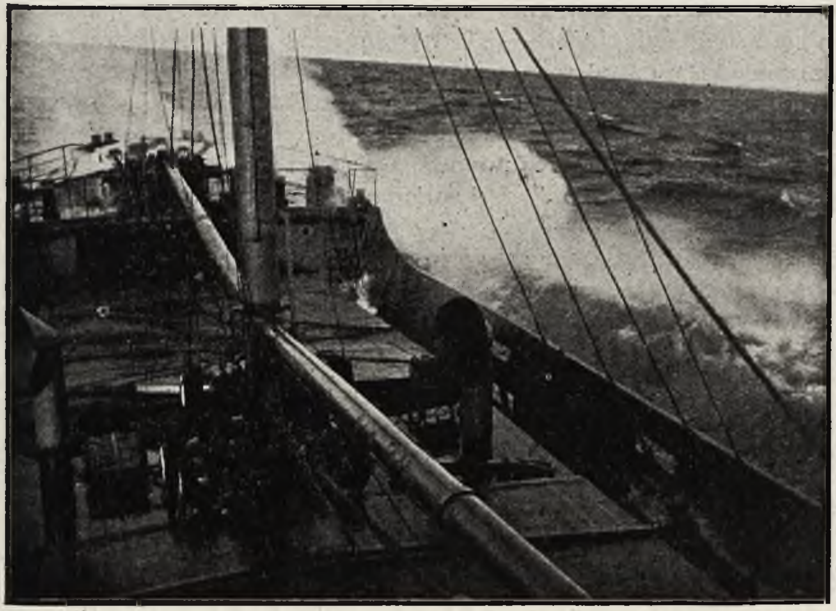
Wojna wybucha ponownie w r. 1621 i Gustaw Adolf na czele 148 okrętów atakuje Inflanty i zdobywa je. A Polska dalej floty nie posiada. Wprawdzie Sejm uchwalił w r. 1609 budowę floty, ale wobec opieszałego ściągania podatków, obojętności narodu i wrogiego stanowiska gdańszczan, prawo to stało się martwą literą.

Król musi tedy budować okręty własnym kosztem. Szkot Murrey otrzymuje w r. 1621 odnośne polecenie. W dwa lata późnie jest już 9 statków. Stocznie i arsenał zostają przeniesione do Pucka, gdzie wojewoda Jan Weyher czuwa nad budową. Komisja morska poczyna urzędować w Gdańsku pod przewodnictwem Wendla i Nielsona. Okręty (duże dwudziestodziałowe orlogi oraz mniejsze pinki i szkuty) stają na kotwicy w Latarni.

Pierwszym sukcesem tej młodej floty jest współdziałanie w odebraniu Szwedom Pucka. Jakoż w r. 1626 Gustaw Adolf na czele licznej armji i floty (200 okrętów) dokonał najazdu na wybrzeże polskie, zajmując szereg miast i warowni, między innemi Puck. Gdańsk

tym razem okazał się wierny. Dzięki nieustępliwemu stanowisku miasta i twierdzy, udało się nietylko ściągnąć z głębi kraju posiłki, ale także odebrać Puck (1627), przyczem 6 okrętów polskich brało udział w blokadzie i bombardowaniu. Tegoż roku miała miejsce potyczka okrętów polskich i szwedzkich w okolicach Białej Góry, z pomyślnym wynikiem.

28 listopada 1627 r. stoczona została zwycięska bitwa morska pod Oliwą. Admirał królewski Arend Dickmann, na czele 7 okrętów wypłynął w nocy z Latarni i zaatakował blokującą Gdańsk flotę szwedzką, złożoną z 12 okrętów. Bitwa skończyła się porażką Szwedów, których dowódca, admirał Stiernsköld zginął, a dwa okręty



Poranek po burzy.

zostały zatopione. Polskie straty też były dotkliwe, zginęli bowiem sam Arend Dickmann, oraz kapitanowie Arndt i Storch. Zdobyty admiralski okręt szwedzki z triumfem sprowadzono do Gdańska. Blokada wybrzeża polskiego została przerwana. Wzmógł się prestiż Polski. Rozwinął handel.

Bitwa pod Oliwą to moment kulminacyjny w dziejach naszej marynarki przedrozbiorowej. Już w roku 1628 następuje nowy najazd Gustawa Adolfa. Flota szwedzka korzystając z przewagi (28 okrętów przeciw 10) bombarduje Latarnię. Oddział desantowy zachodzi na

tyły, wylądowawszy na mierzei. Dwa polskie okręty „TYGRYS” i „Św. JERZY“ zostają zniszczone, a „KRÓL DAWID“ ulega poważnym uszkodzeniom. Pozostałe siedem salwuje się ucieczką na morze.

Wzamian na jesieni, komendant Pucka Lanckoroński, zdobywa osiadły na mieliźnie admiralski okręt szwedzki ”Cristina“. Gdańsk wystawia trzy nowe okręty. Wydaje się, że nastąpią znów lepsze czasy, kiedy król wysyła niepotrzebnie najlepsze siedem okrętów w pomoc cesarzowi Ferdynandowi II (1629). Flota ta, opuszczona przez pobitych Habsburgów, stała się wkońcu łupem Duńczyków i Szwedów, którzy ją wraz z portem Wismaru zdobyli.

Przez cały ten czas sprawa dostępu do morza jest dla społeczeństwa polskiego zupełnie obcą. Daremnie światły mąż stanu Simon Dobrowolski pisze: — „Gdybyśmy jak słyniemy jazdą, nawykli podobnie do służby morskiej, posiadając Bałtyk i Morze Czarne, jeśli nie przewyższylibyśmy, to sprostalibyśmy napewno wszystkim europejczykom i bogactwa wschodnie przeszłyby do rąk naszych”. Odpowiada mu potem Klonowicz: — „Może Polak nie wiedzieć co morze, gdy pilnie orze...“ — i niemądra ta dewiza zwycięża.

Jeszcze Władysław IV usiłuje straconą placówkę utrzymać. Z niezwykłą jak na owe czasy przenikliwością rozumie, że Polska bez morza i floty żyć nie może. Nie ufając Gdańskowi, fortyfikuje Hel. Między dzisiejszą Kuźnicą i Chałupami, inżynierowie cudzoziemscy wraz z Eljaszem Arciszewskim, budują dwie twierdze i port. (Władysławowo i Kazimierzowo).

Kupiec gdański Hewel formuje flotę. Składa się ona narazie z 12 okrętów. „Komisji okrętów królewskich”, czyli admiralicji, przewodzi starosta Denhof. Przybywa także słynny inżynier i podróżnik — Krzysztof Arciszewski, admirał floty holenderskiej.

Jednocześnie, lojalni wówczas w stosunku do Polski kozacy, buszują na swych „czajkach” po Czarnem morzu, trzymając w szachu siły Sułtana. Nasuwa to hetmanowi Koniecpolskiemu myśl sprowadzenia ich na Bałtyk. 1500 kozaków pod wodzą pułkownika Wołka przybywa do Królewca. Wnet atakują oni zajętą przez Szwedów Piławę i zdobywają okręt wojenny. Wywiera to na Szwedach silne wrażenie i w r. 1635 zawarty zostaje rozejm.

Genjalny wódz, organizator i polityk, Władysław IV, snuł szerokie plany tyczące się potęgi morskiej Polski. Myślał o połączeniu drogą wodną morza Czarnego z Bałtykiem, o opanowaniu tego ostatniego, o kolonizacji kresów Rzplitej. Naród i Sejm w swem zaślepieniu nie poparły monarchy. Odmówiono mu kredytów na flotę. Buntowano się przeciw podatkom. Bracia Spiryngowie, którym król pobieranie ceł morskich powierzył, musieli niejednokrotnie wymuszać je pod groźbą okrętowych karonad. Gdańsk i Pruski Lennik

bruździli przeciw prawowitej władzy. Sukces królewski, polegający na zmuszeniu Danji i Szwecji do zwrotu zagrabionych okrętów polskich, minął bez echa.

Niezrozumiany przez naród król zmarł w r. 1648, a z nim razem umarła w Polsce wielka idea o „Dominium Maris Baltici". Twierdze nadmorskie, arsenały i okręty legły w gruzach.

Odtąd były już tylko luźne usiłowania. Coś tam bąkano o flocie za Sobieskiego, coś niecoś handlowano na Bałtyku. Ale Naród zobojętniał zupełnie. Nie pomogły przykłady sąsiadów, głównie Rosji, która od czasu Piotra Wielkiego śmiałą ręką po władanie Bałtykiem



Śmierć admirała Dickmana w bitwie pod Oliwą (1627).

sięgać poczęła. Nie pomógł „Głos wolny — wolność ubezpieczający", — napisany przez króla Stanisława, którego w Polsce nie rozumiano, a którego imię wielbi po dziś dzień cała Lotaryngja. Daremnie co światlejsi obywatele wołają na sejmach: „Armata morska jakby nam potrzebną była jeno szalony nie widzi..."

W r. 1734 Gdańsk jest znów wierny królowi. Wytrzymuje pięciomiesięczne oblężenie. Ale Polska nie posiada floty, a Ludwik XV przysyła zaledwie 5 okrętów i półtora tysiąca ludzi. Moskale i Sasi zwyciężają. Ginie bohaterski inicjator wyprawy — młody hrabia de Plelo. Stanisław Leszczyński ucieka do Francji.

Koniec. Nadchodzi epoka rozbiorów, a naród wciąż tkwi w odrętwieniu. — „Tak wielki błąd. Tak straszny występek, ani nie zdoła mieć obronę, ani potrzebuje skargi" — pisze historyk.

Widzimy jeszcze kilka oderwanych wysiłków w czasach niewoli. Nie mają one jednak znaczenia ogólno-państwowego. Rządzi niemi pierwiastek ekonomiczny lub awanturniczy. Zgóry skazane są na zagładę. I dopiero Polsce Zmartwychwstałej danem jest znów mieć „wolność morską", „armatę wodną" i własny port nad brzegami Bałtyku.

W dniu 28 listopada 1918 roku pojawja się dekret Naczelnika Państwa, Józefa Piłsudskiego, o utworzeniu marynarki polskiej. A 10 lutego 1920 r. generał Józef Haller dokonywa symbolicznego obrzędu zaślubin Polski z morzem. Dziś w dwunastym roku odzyskania dostępu do morza, a szóstym dopiero właściwej i planowej w tej dziedzinie pracy, mamy już własny port — Gdynię (piąty co do znaczenia na Bałtyku), własną flotę handlową (100.000 tonn), oraz zaczątek własnej floty wojennej.

Ta ostatnia składa się dziś z dwóch kontrtorpedowców po 1600 tonn każdy — „Wicher" i „Burza", oraz trzech łodzi podwodnych: „Wilk", „Ryś" i „Żbik". Pozatem jest pięć torpedowców, dwie kanonierki, cztery trawlery (minołowce), transportowiec „Wilja", żaglowiec szkolny „Iskra" (słynny już ze swych zaoceanicznych podróży), oraz hulk szkolny „Bałtyk", na którym mieści się Szkoła Specjalistów Morskich. Szkoła Podchorążych Marynarki Wojennej znajduje się w Toruniu i ona to kształci przyszłych oficerów naszej armji morskiej.

Ale to mało. Państwo takie jak Polska musi zdobyć się na odpowiednią do jego znaczenia, jego polityki, jego interesów gospodarczych i jego potrzeb militarnych flotę wojenną. Dumnie musi stać ona na straży Bałtyku, musi być gwarancją pokoju i hamulcem wrogich na nasze wybrzeże zakusów.

Należy więc zdwoić wysiłki i mądrze a stanowczo kroczyć po raz obranej drodze. Morze to wolność, siła i bogactwo Narodu. Brak morza to nędza, upadek i niewola. Błędy naszych ojców niech nam będą przestrogą.

Inż. Juljan Ginsbert.

Każdemu panu i narodowi więcej na morskiem państwie zależy, niźli na ziemskiem, bo kto ma państwo morskie, a nie używa go, albo da sobie wydzierać, wszystkie pożytki od siebie oddala, a wszystkie szkody na się przywodzi, z wolnego niewolnikiem się stawa, z bogatego ubogim.

Arcyb. Lw. Solikowski (r. 1573).

Na 15 kilometrze od ujścia Praśnicy.

30 czerwca . . .

Morze jest od dwóch dni „twarde", jak mówią rybacy. Jak daleko okiem zajrzeć wszędzie złośliwe, białe baranki pasą się na grzbiecie fal. Od huczących zwałów wody idzie na ląd ostry, nieznośny wiatr, którego wścibska, sucha fala niesie z sobą ziąby i miota piaskiem. Słońce daremnie usiłuje świecić wedle kalendarza. Tuman prochu porwany takim wichrem wyfruwa w górę i rozpyla się w powietrzu i dmie. Obrzydliwie dmie. Zlustruje cię w mgnieniu oka, niczem celnik w Tczewie, przewieje całą twą ziemską powłokę, zapiaszczy uszy, wedrze się w słomiane trepki, wlezie do mózgu, pomierzwi włosy. A potem „da capo" przesypuje się z powrotem, z włosów do uszu, z mózgu do trepków.

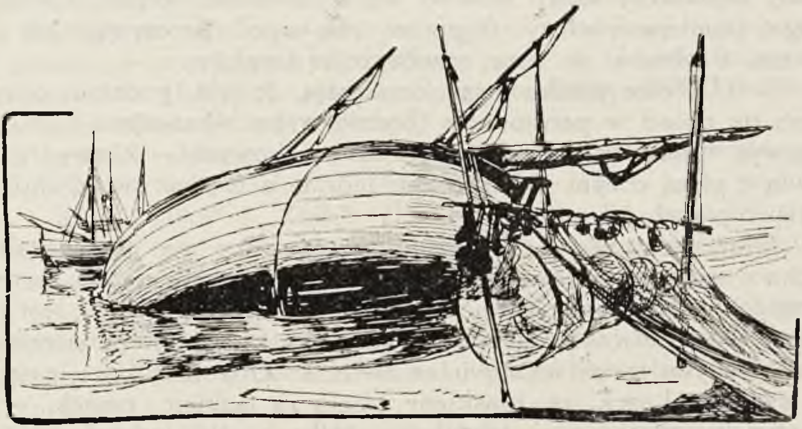
Brrr! Pełne piasku uszy oznaczają, że jest godzina pierwsza i czas na obiad w pensjonacie (będzie ryba wczorajsza i pieczyste z mewy). Człowiek staje się zegarem piaskowym — klepsydrą. Tyle mówią i piszą o tym wietrze od morza, a to jest od dwóch dni raczej... piasek od morza.

Mimo to czuję się wybornie. Okopawszy się bezpiecznie od piachu i wichru, siedzę w falistym wądole wśród kwiatów żarnowca i krępych porozrzucanych po wądole kupin jałowcowych. Jest jedna widoczna właściwość polskiego wybrzeża, której nie znalezie nad żadnem chyba innem morzem na świecie. Oto krajobraz najrdzenniej swoisty. Lasek, za piaskiem lasek, za laskiem piasek, wygon i pastwisko, trochę gęsi, pięć krów, tylko że się inaczej jak u nas nazywają. Polskie morze, jak Boga kocham! A gdzież brudny pastuch? Jest, jakżeby go brakło. Takuteńki jak w głębi lądu i brudny, bo żandarm niemiecki tak dalece pogardzał polskimi kaszubami, że nawet mu się nie chciało wdrażać ich do czystości.

Ten pastuch to jest mój przyjaciel. Gawędzimy sobie od kilku dni, o ile mu czas pozwala. Bo ja mam na wakacjach czasu bez liku, on zaś podwójnie zajęty. Szkoła i krowy. Ledwie ze szkoły przybiegnie i rozdzieje się, już musi krów pilnować w żarnowcach, żeby nie weszły w szkodę, w jakiś mizerny zagonik jeszcze mizerniejszego owsa, nad którym jak dotąd wiatr się zlitował i nie wywiał go ze szczętem.

Jouzek Redlin nazywa się ten mój przyjaciel. Nikt z nas tak nie zdrobni imienia Józef, jak to czynią Kaszubi: Jo-u-zek. Wrócił właśnie ze szkoły we wsi i gawędzimy sobie. Najpierw o tej Polsce, do której wszystkie Jouzki wybierają się jesienią z pielgrzymką, potem o lekcji, dzisiejszej i jutrzejszej. Z czego był pytany, co mają na jutro zadane Trudno jest zadane powiada chłopczyna,

zafrasowany bardzo. Wyciąga zeszyty, powtarza dyspozycję i głowimy się razem, jakby wybrnąć z tych trudności. Zadane mamy na jutro przepisać i nauczyć się napamięć: „Oto dziś dzień krwi i chwały, oby dniem wskrzeszenia był”, znany wersel z warszawianki. Przepisać? ostatecznie drobiazg, bo Jouzek Redlin radzi sobie z literami zupełnie dobrze. Ale wymówić to już sprawa trudniejsza. Próbujemy więc wspólnemi siłami: Oby dniem wskrze - sze - nia był. Ani weź! Jouzek Redlin krzywi się i łzawi. Ws - krze - sze... Nie! Krtań małego Kaszubiątka jest od wieków tak zbudowana, że żadne „ws - krze - sze” przez nią nie przejdą, a jeśli przejdą to wybrzmią wkońcu inaczej. Po dłuższej chwili dochodzę do przekonania, że tu nie godzin ale dni całych i tygodni potrzeba, zanim się



chłopak nauczy wymawiać słowa „Warszawianki”. Zrazu bierze mnie złość. Na co tych młodych, garnących się do szkoły polskiej Kaszubów dręczą? Czy to koniecznie musi się im dawać tak trudne zadania. Winien, rzecz poprostu, jak zawsze i wszędzie w życiu pan profesor, winien minister, program nauczania i rząd. Tak sobie w tej irytacji folguję trochę. Wtem zupełnie inna komórka w mózgu otwiera się. Przypominam sobie, jak to ja sam byłem w wieku Jouzka Redlina i chodziłem do szkoły. Pan nauczyciel Dzidowski (starowina żył jeszcze do niedawna, może chodzi po świecie do dziś) uczył nas dobrotliwie różnych rzeczy pożytecznych, a na śpiew kładł wagę szczególną. I zaprawiał malców z ogromną pieczołowitością wbijając im teksty pieśni w pamięć. Najlepszy dowód owocności jego pracy, że wiele pamiętam do dziś doskonale. Jednej zaś szczególnie się dziwowałem. Pieśń brzmiała tak:

Królu na ziemi i na
wielkim niebie,

Chwała w Syonie wielka
czeka ciebie,
Tam obietnice Tobie poślubione
Będą ziszczone.

Dziś wiem, że dobrze wybrał pan Dzidowski. Wszak to wersel z największego tworu liryki ludzkiej, przełożony przez pierwszego polskiego poetę. Słowem psalm Dawidowego 65 (Te decet humnum Deus in Syon), w przekładni Jana Kochanowskiego. Ale wtedy! Miałem szereg zastrzeżeń i co do treści i znaczenia tych jakichś dziwnych słów. Jak obietnice mogą być „poślubione"?! I co to wogóle znaczy: „ziszczone"?! No żeby „zniszczone" — rozumiem ale „ziszczone" to chyba nic znaczyć nie może. Ale trzeba się było nauczyć. Pan nauczyciel Dzidowski nie ustąpił. Wcale mu tego nie mam za złe. Nawet wdzięczny jestem. Podobnie będzie z Jouzkiem Redlinem. Za kilka lat będzie wdzięczny szkole, która nauczyła go wymawiać niewymawialne zdawałoby się brzmienia — Jouzek!

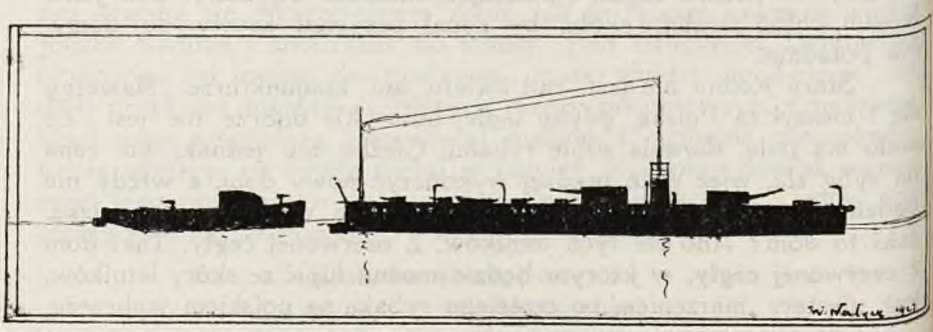


Jouzek!! — roznosi się po wądorach głos mocny, jak burza, mocniejszy od wichru chyba i polatujący daleko. To stary pan Józef Redlin, chłop zwalisty woła, by synal przygnał krowy do domu. Na południe.

Stary Redlin nie jest rad światu ani konjunkturze. Nawetby się i cieszył tą Polską, gdyby lepiej było. Ale dobrze nie jest. Za mało ma pola, dorabia sobie rybami. Ciężko mu jednak, bo cena na ryby zła, więc chce prędzej wykończyć nowy dom, a wtedy nie będzie potrzebował łatać budżetu niepewnym dochodem z łowiska. Jaki to dom? Ano dla tych letników. Z czerwonej cegły. Taki dom z czerwonej cegły, w którym będzie można łupić ze skóry letników, jest niestety marzeniem co trzeciego rybaka na polskiem wybrzeżu.

Marzenia ich idą często po linji sumień lądowych. Myślałby kto, że czekają na poprawę konjunktury rybnej. Gdzietam! Pan Redlin, ilekroć się z nim wdawałem w gawędę, rozpowiadał długo i szeroko o reformie rolnej, pokazywał na mapie wielkie latyfundja pomorskie, które są w ręku Niemców. Sprawy morza interesują go mniej. To raczej dział wspomnień. Zaraził się tak głodem ziemi, że zapomina o najpiękniejszych latach swego życia. Te lata spędził w pruskiej „marynie" wojennej i ma w świetlicy fotografję pancernika, na którym służył. Ze starego pana Redlina już nie będzie pociechy. Całe szczęście, że Jouzkowi aż oczy skaczą, kiedy mowa o polskiej „marynie". Wyrośnie zeń inny Polak, niż bywali wiekami. Bo Polak od czasów najdawniejszych nie umiał patrzeć na morze inaczej, jak tylko z wyżyn swego siodła. Gdyby grzywiaste bałwany można było zaprząc w czwórkę do bryczki — Polacy byliby od stuleci, hej! panami Bałtyku. „Dosyć nam tyle morza, iżby się koń skąpał, nie utonąwszy" — uczyła gadka prastara. Dziś odmieniono ją, ale nie bardzo. „Dosyć nam morza tyle, iżby się można skąpać w lipcu i sierpniu i wygrzać na plaży", mówi wielu Polaków. Z tem wygrzewaniem jednak gorzej. Pan Bóg znający naturę polską urządził doskonale stosunki nad naszym skrawkiem Bałtyku. Bałtyk jest twardy, nieokrzesany i poprostu, najczęściej niegrzeczny dla letników. Całe szczęście. Bo doświadczenie uczy, że tam, gdzie przyroda u nas jest przyjemna i grzeczna, tam się ludzie szybko rozluźniają. Odczłowieczają się poprostu, możnaby powiedzieć. A tu macie szkołę twardą, surową z rzadkim uśmiechem pana profesowa. Uczyć się nam trzeba morza pilnie i zawzięcie. Z tym uporem i zapałem, z takiem samem pokonywaniem trudności, z jakiem Jouzek Redlin brał się za bary z „Warszawianką". Narazie jest źle. Bardzo niby to kochamy to swoje morze i dużo sobie po niem obiecujemy. Ale jest często jeszcze tak, jak mówił Nos w „Weselu": „Na ten temat myślę w dzień, następnie na ten temat śpię..."

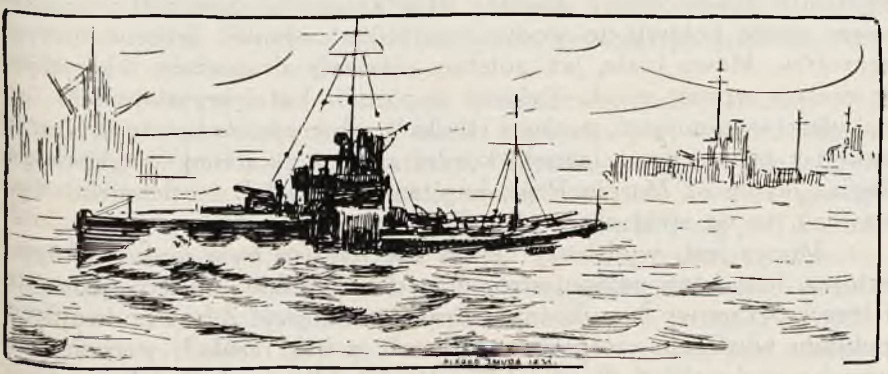
Stanisław Wasylewski.



Strażnicy morza.

Wśród natężonej uwagi całej załogi „Wodnika" Szymon Jancz z Janczów puckich kierował wyciąganiem z wody matni trawlowej[1]). Nieczęsta to była zabawa: połów w pełnem morzu, lecz cniło im się, drugi dzień czekać, o trzy doby drogi od Gdańska, na ichmościów Bibranta i Heltbarka, kaprów[2]), z którymi maszupę[3]) trzymali. Sam jegomość kapitan, Marcin Prus gdańszczanin, przyglądał się robocie ciekawie. Gert Foxen i Balcer Szulc, poławiacz jantaru[4]), ciągnęli z wysiłkiem węzłowate liny, zakręcając je o wystające z boków statku putki[5]), gdy mały Jadamek Piskorz, podrygując na niższym marsie fokowym[6]), ukazywał w dali miejsce, gdzie bujał się pęcherz, oszyty w czerwoną szmatę, podobny do krasego kwiatu, kołysanego wśród zielonej łąki. Zbliżał się zwolna, widziano go już z burty wyraźnie.

Matnia szła ciężko, pełna ryb, a może kamieni lub szczątków rozbitych łodzi, jak to się nieraz zdarzało. Jan Zela, obchodzący pokład z wielkim kwaczem[7]), umaczanym w łoju, przerwał robotę i skoczył pomagać Szulcowi. Paweł Wilk i Maciej Kornicz, czekający



z Janczem w bacie[8]) tuż pod bokiem galeonu[9]), chwycili krótkie paczyny[10]), a podpłynąwszy do barwnego znaku, jęli mozolnie wyciągać brzeg matni. Rękami, drżącemi od pasji łowieckiej, windowali sieć wgórę ku burcie, aż srebrzysta jej zawartość chlusnęła, wypełniając bat. Patrzącym z góry zdawało się, że widzą ruchliwe srebrne

---

[1]) sieci; [2]) prywatni posiadacze statków, podejmujący się na własny koszt i ryzyko za cenę przechodzącej na ich własność zdobyczy, utrzymywania straży na morzu i przychwytywania okrętów nieprzyjacielskich; [3]) spółkę; [4]) bursztynu; [5]) żelazne okucia na bokach okrętu i naokoło masztów, służące do przytwierdzania lin; [6]) gniazdo bocianie na przednim maszcie; [7]) pendzel; [8]) łodzi żaglowej przy okręcie; [9]) okręt wojenny; [10]) wiosła;

opiłki lub łuskę chrzęszczącą, mieniącą. Jancz przebierał zdobycz wprawnemi rękami, mrucząc z żalem: — „Taki połów! Na brzegu stałby ze dwie kopy groszy, tu, na morzu, wypadnie połowę wrzucić do wody zpowrotem“. Przez węzłowate ciemne palce ciekły mu szproty, sieje, stynki i płaskie flonderki[1]) oliwkowe w żółte plamki, z oczami po jednej stronie zgniecionego, jak talerzyk, ciała. Cisnął wgórę wysoko na galeon, by się Jadamek przypatrzył, dziwaczną belonę o długim zębatym dzióbie, wątłusza ze sznurkiem, wiszącym u brody, i cudacznego niedźwiadka-głowacza z czterema guzami na czole. Starannie wybrał i odłożył na bok dobijaki[2]), niezrównane na przynętę. Z pokładu spuszczono worki. Pakowali w nie co lepsze ryby, mniejsze szuflą wrzucając do morza.

— Chyba sztorm[3]) będzie, — zauważył Kornicz, — tyle ryby!

— Nolepszy rebe na sztorm, — przytwierdził Paweł Wilk, Kaszub. Rozejrzeli się po niebie z uwagą. Dobrotliwe jego oblicze zdało się napozór to samo, co wprzódy, lecz po skrajach wałęsały się bure obłoczki, schodziły, jak na naradę, gdy nad przestworami wodnemi legła niespokojna cisza.

— Do taktu[4]) wszyscy! Śpieszyć się, wy tam z rybami! — zabrzmiał równocześnie donośny głos kapitana. Spychali z pośpiechem resztę połowu do wody, rozsypując wysoko srebrne bryzgi szprotów. Mewy białe, jak gołębie, piszczały drapieżnie, chwytając je prawie wprost z rąk. Rybacy opróżnili bat i przytwierdzili go na właściwem miejscu, paczyny i dulki[5]) zabierając do kohita[6]). Reszta załogi z pośpiechem ciągnęła kordel czyli wielką linę od głównego żagla. Jegomość Marcin Prus, kapitan, spoglądał to na niebo badawczo, to na swój okręt z otuchą.

Mocny jest, wydzierży! Jakoż nie była to byle pinka dwumasztowa, lecz istny galeon, strojny w dwa wielkie maszty jednolite i trzeci bezanowy[7]) o ukośnym drążku, mniejszy. Z pod podwójnego pokładu wyzierało czternaście armatek, a bak i rufa[8]) wznosiły się wysoko nad pokład dwoma kasztelami[9]). Obicie statku było klinkowane, zaś szerokość galeonu i wysokość równe sobie, a zarazem jednej trzeciej długości kila czyli stępki. Okręt mógł wziąć 80 łasztów, a łaszt znaczy tyle, ile ładunku uwiezie wóz czterokonny. Wielki rudel czyli ster, okuty blachą żelazną, zwieszał się ze sztaby zadniej prostopadłej, na 9 mocnych hakach. Przednia sztaba była nachylona w formie dzióba i ozdobiona rzeźbą, kształt Wodnika wyrażającą. Nad rzeźbą wysławał bukszpryt[10]), a nad nim bandera

---

[1]) gatunki ryb morskich; [2]) drobne rybki; [3]) burza; [4]) ożaglowanie; [5]) widełki drewniane na wiosła; [6]) kajuta; [7]) mały tylny maszt z trójkątnym żaglem; [8]) tył i przód okrętu; [9]) wzniesione wysoko nad pokład komory, zawierające armatki i pomieszczenie załogi; [10]) drążek, służący do zwijania i opuszczania kotwicy, na nim bywał umieszczony mały żagiel.

królewska. Na banderze w polu czerwonem była ręka, do łokcia obnażona, w złotym i białym rękawie, trzymająca szablę srebrną z czarną rekojeścią. Kotwie były trzy, żagli wszystkich pięć: dwa łacińskie, trójkątne i trzy czworoboczne, dwa marsy na maszcie głównym i fokowym. Piękny był okręt i nie dziw, że kapitan Marcin Prus z miłością na niego spoglądał. „Wodnika" znali zdawna i swoi i obcy. Maćko Sierpinek, najstarszy kaper królewski, jeździł na nim długi czas, a sam pan Dunin Wąsowicz opatrywał, gdy go przed laty z handlowego na wojenny przerabiano.

— Lukę [1]) zamknąć! — zakrzyknął kapitan, przerywając rozmyślania. W poprzednią ciszę wpadł nagły podmuch wiatru, zaciął wodę niby biczem, przypadł do toni, ucichł i znowu biegł dalej. Zawrócił, wbił głowę w żagiel bezanowy, którego jeszcze nie zdołano zwinąć, wygiął w dziwaczny kabłąk trójkątny płatek płótna na bukszprycie. Wraz obudziło się morze. Tam i sam ukazywać się poczęły nieliczne zrazu wzgórza wodne, jakby wypchane od wnętrza, okręcały się, niby wysłane na zwiady i rozpłaszczały ponownie. Wzniosła się nagle wielka, ciemna góra, wzdęła, zgarnęła zewsząd na się wodę i ruszyła ku statkowi. Biegła coraz chyżej, rosnąc. Zaszumiał rudel. Statek obrócił się nieco, przeciął ją dzióbem, rozpadła się z szumem na dwoje.

Zakipiała gniewem otchłań. Z bezkresnej równiny morza, niby za zaklęciem, powstały tysiące takich samych gór, nieprzeliczoną gromadą pędząc na zagładę statku, zwarte, giętkie, jednostajnie granatowostalowe i złe. W groźnej zmowie schylały ku sobie głowy, ubielone pianą. Dobiegły statku. Milkliwie podsadziły się pod kadłub i wyniosły wgórę na urągowisko morzu śmieszną zabawkę dziecinną, drżącą cienkiemi masztami, misterną szkatułkę drzewną, rzuconą w oblicze żywiołu. Potężnym prztykiem ramienia strąciły ją wdół z tej wyżyny. Statek spłynął z szumem, kołysząc się, jak raniony ptak. Porwały go znowu na taniec. Trzeszczały wiązania i wręgi [2]). Okręt leciał, podcinając krajem burty fale. Pochylały się nad nim złowrogo. Ryk wody zagłuszał słowa. Lina pękła, — wicher rozwinął żagiel fokowy, szarpnął nim, położył statek na boku, zwinął płachtę, porwał i poniósł daleko na morze. Maszty kłoniły się ku samej wodzie. Ej, niedarmo masztowiny polskie słynne były w całym świecie! Niby w górach dalekich, gdzie wzrosły, gięły się jodły, poddawały parciu, ale nie pękały. Mewy, drużki burzy, piszczały ponad pokładem.

Lecieli z wichrem, w szybkości widząc jedyny ratunek. Stary kaper, Marcin Prus, stanął sam przy rudlu, nieomylnem czuciem

---

[1]) otwór w pokładzie zamykany klapą, prowadzący do wnętrza okrętu; [2]) drewniane żebrowanie okrętu.

poznając chód wiatru, uciekając przed nim, gdy silił się schwycić z boku, nastawiając pod jego wielki dech pustej masztowiny. Tylko na bukszprycie wspinał się i rwał wąski skrawek płótna, bielejący w mroku, jak wołanie. „Wodnik“ leciał ku północy narówni z falami, wyrywając się z ich objęć łakomych. Goniły za nim zapamiętałe, rozjadłe, dopadały, waląc na pokład swe oślizgłe cielska, lecz podnosił się, otrząsał i uciekał znowu. Mrok zapadł i w cieniu nieprzeniknionym pędzili na grzbietach wód w otchłanie morza i nocy.

Świat nasiąkał dniem i pobielał, jakgdyby do ciemnej polewki dolewano z góry mleka. W szarym tumanie majaczyły już przedni kasztel i maszty, kołysane gwałtownym ruchem wprzód i wtył. Wiatr się uspokajał. Morze widziało się jeszcze zjuszone i złe, przecież bez poprzedniej zapamiętałości. Ochrypłe od krzyku fale układały się, by spocząć.

Kapitan oddał rudel staremu Janczowi i starł rękawem z twarzy zeschłą pianę, opatrując pilnie statek. Cały był! Przeżegnał się pobożnie, szepcąc „Zdrowaś Marja”. Ni jednej cięższej szkody! Po takiej wichurze! Wyprostował się dumnie, z góry spoglądając na morze. Z ludzi takrze nie brakło nikogo. Zmęczeni, osłabli, dźwigali się teraz zewsząd, otrząsali z ramion przeżyty lęk i czekali na rozkazy.

Kazał co prędzej jednym rychtować żagiel zapasowy w miejsce fokowego, porwanego wiatrem, drugich posyłając na dno statku, gdzie kłody czyli beczki z kamieniami, stanowiące balast, niemało pewno skrzyń porozbijały. W kohicie na nalepisku Foxen warzył już polewkę z ryb i smażył na oleju flondry. Woń smakowita buchała z wnętrza na pokład. Jegomość kapitan wyniósł ze swej komory gorzałę i przepijał kolejno do wszystkich.

— Jegomość!! — pisnął Jadamek z bocianiego gniazda. — Ląd niedaleko, na lewo!

— Ląd?! Nie może to być. Gotland minęli my dawno...

— Ja pojrzę, — rzekł Paweł Kaszub, drapiąc się, jak kot, po maszcie. — Ustąp sa! Co lezes jak rek!? [1]) — krzyknął na chłopca. Zajął jego miejsce na górnej części kreuzmasztu [2]), przysłaniając oczy dłonią.

— Gdańsk, jegomość!!

— Zwarjował stary! Gdańsk?! Na północ gnało całą noc!...

— Sprawiedliwie, Gdańsk! — upierał się Kaszub.

— Nie może być. — Sam Marcin Prus, choć stary, wdrapał się migiem na mars fokamasztu. Szli szybko bocznym wiatrem. Już i stojący na pokładzie rozróżniali zarysy lądu.

— Na rany boskie! — zakrzyknął nagle kapitan, — żagle zbierz! To Sztokholm!

---

[1]) rak; [2]) maszt główny, czyt. krejcmaszt.

— Sztokholm!...

Rzucili się wszyscy na liny, na reję [1]), popatrzeć. Do Sztokholmu ich zagnało!! W samą paszczę Szweda! Patrzyli w milczeniu na miasto, wychylające się coraz wyraźniej z gładkiego zwierciadła wody. Szarzały wieże wysokie zamku Rosendal i zamku warownego Haga. Las masztów zlewał się z drzewami, pokrywającemi wyspy.

— Żagle zbierz! — powtórzył kapitan.

Spełnili rozkaz, choć bez pośpiechu, nie mogąc oczu oderwać od nieznanych brzegów.

— Srogi [2]) port, nie gorszy Gdańska...

— Gadają, że sam król wolej [3]) tu siedzi, niż w Upsali...

— Pewnikiem! Ma na co patrzeć! Okrętów ze sto, same galeony...

— Mądry Szwed jucha! A u nas co? Dba kto o morze, o wodne ludzie, o armatę [4])?

— Hej! Nie byłoby państwa, jak Polska, by się w morzu pokochała!...

Odpływali z żalem, zgarnąwszy wiatr w połę żagli. Wpatrzeni w znikający gród, wspominali z goryczą, jak to niedawno sześć okrętów szwedzkich przepłynęło zuchwale przed samą Latarnią [5]), wyzywając kaprów do walki, zaś oni z racji swej szczupłości udawać musieli, że wcale tego nie widzą.

— Jegomość, okręt! — zakrzyknął znowu Jadamek. — Jeden, dwa! Okrutnie wielkie!...

Kapitan bez słowa wdrapał się na reję. Jakoż od południa sunęły pełnemi żaglami dwa handlowce, typu, z włoska zwanego „karaką”, obciążone snać ładunkiem, bo nurzały się głęboko. Królewskie flagi szwedzkie kwitły na masztach. Armatki ziewały ku niebu czarnemi paszczami. Statki zbliżały się, rosły, mijały, nie zwracając najmniejszej uwagi na galeon, płynący od strony portu, niewątpliwie swój. Gdy minęły i zmalały, wychylił się z widnokręgu okręt trzeci. Płynął wolniej, uszkodzonym widno będąc czasu burzy.

— Kreuzmaszt ułamany, kiepskie szwedzkie drzewo, — zauważył bosman [6]) Kornicz, stojący przy kapitanie.

— Uhm... — mruknął jegomość z roztargnieniem.

Spojrzeli na siebie i zrozumieli się nagle.

— Jeżeli zdążą dać wystrzał, zleci z portu cała flota... — rzekł kapitan jakgdyby do siebie.

— Nie zdążą, — zapewnił bosman.

Zamilkli, wpijając znów oczy w nadpływającą karakę. Kapitan świsnął przez palce. Załoga, trzydziestu trzech ludzi, stanęła przed

---

[1]) poprzeczne drążki na masztach; [2]) wielki, silny; [3]) chętniej; [4]) siła zbrojna, tu w znaczeniu floty; [5]) fort warowny, broniący wjazdu do portu gdańskiego; [6]) starszy majtek, szyper.

nim. Dawał rozkazy krótkie, proste, prawie niepotrzebne. Rzucili się do przedniego kasztelu po topory i bosaki[1]). Ręce im drżały z radości. Chciwi zazwyczaj na łup, nie o bogatym ładunku karaki myśleli tym razem. Walki chcieli. Wyzywał ich w Gdańsku Szwed, przyjmą wyzwanie w Sztokholmie! Zęby błyskały w ogorzałych, srogich twarzach, śmiały się radośnie siwe oczy morskich ptaków. Rudel zaszumiał, przerzucając w prawo warkocz piany. Balcer Szulc próbował już, czy mostki lekko chodzą.

— Demy rede? — zapytał z góry Jadamek z pawnym niepokojem.

— Chto deł chlep, da e zębe, — odparł sentencjonalnie Wilk, Kaszub, przebiegając. Wraz z Janem Zelą wdrapał się na reję foka, by stamtąd skoczyć na pokład nieprzyjacielski. Szulc z Foxenem siedzieli już okrakiem na bukszprycie.

„Wodnik" biegł lekko po falach, przecinając drogę coraz to bliższej karace. Pod złocistą rzeźbą przodu widać już było wyraźnie nazwę jej: „Salomon". Na pokładzie nie znać było jeszcze żadnego zaniepokojenia. Utęsknieni długą drogą ludzie stali przy burtach, wyglądając, rychło ujrzą brzeg ojczysty. Wszystko im raczej mogło przyjść do głowy, niźli obawa napadu tu, pod samym domem.

Lecz „Wodnik" płynął wprost ku nim, kierując dzióbem w bok Salomonowy. Zdziwiło to Szwedów. Machali z gniewem rękami, ostrzegając przed zderzeniem. Kapitan, zażywny człowiek w czarnym materjalnym kaftanie, krzyczał przez tubę, siniejąc ze złości. Naraz odrzucił tubę, podniósł w górę ręce z przerażeniem. Zrozumiał.

Lecz wysmukły przód „wodnika" wzniósł się już wysoko nad ciężką karaką i trzasnął w nią całą siłą, aż jęknęły wiązania obu statków, zakołysały się gwałtownie maszty, zaszumiała w okół woda. Szwedzi chwytali muszkiety, lecz zanim zdołali je nabić, Gert Foxen skoczył z bukszprytu na kark grubego kapitana i taczali się razem, upadłszy na pokład. Wraz Zela z Wilkiem spuszczali się po linie z rei, kołysząc się, niby pająki, nad nieprzyjacielskim pokładem. Chciano ich chwytać za nogi, lecz oni, rozbujawszy się, skoczyli i znikli w luce, Balcer Szulc za nimi. Nikt ich nie ścigał i spokojnie mogli zagwoździć armaty, bo ogłupiała załoga całe siły wytężała, by nie dopuścić do przerzucenia mostku. Odpychali bosakami, ciskali wiechy zapalone. Bosman szwedzki chwycił wieniec smolny, rozbujał nad głową, a gdy rozgorzał płomieniem, cisnął z rozmachem na pokład „Wodnika". Lecz jegomość Marcin Prus odbił go w wlot, rzucając do wody. Już mostek przerzucono. Walka trwała na nim straszliwa, zaciekła. Ludzie darli się zębami, dusili za gardła,

---

[1]) żerdź drewniana, z żelaznym i ostrym hakiem do odpychania i zahaczania.

spychali wzajemnie w morze. Kapitan szwedzki bronił się, jak lew, ale wyrwano mu szpadę, Maciej Kornicz, siłacz wielki, ciągnął go za ramiona na pokład „Wodnika”. Szwedzi skoczyli bronić, chwytając kapitana za nogi. Szwed ryczał, jak wieprz zarzynany, lecz Kornicz trzymał krzepko. Wyrwał go, zamknął w kohicie, przetrząsnąwszy mu wprzód kieszenie, by ognia tam nie zaprószył.

Duch w Szwedach osłabł, gdy wodza uwięzionym zobaczyli. Stracili głowę do reszty. Napaść zbyt była niespodziana, niepojęta. A pomoc nie nadchodziła. Zdali się. Powiązanych, jak barany, przeprowadzono na pokład „Wodnika“, gdzie siedli rzędem przy burcie, osowiałemi oczami patrząc dookoła. Prawda to, czyli zły sen? Toć mieli dziś obiadować w domach z żonami, z dziećmi. Po rocznej przeszło wędrówce już dobijali do brzegu!



Jegomość kapitan Prus z bosmanem Korniczem przebiegał szybko wnętrze „Salomona”, by się o zdobyczy upewnić. Nie było czasu na przeładowywanie. Uczepiony na tęgim kotwicznym łańcuchu, „Salomon” płynął za „Wodnikiem” i płynąć tak miał do samego Gdańska. W razie pościgu przyjdzie go zatopić, bo ciężki. To trudno. Kapitan wglądał w każdy kąt i głową kiwał radośnie, bo karaka pełną była towarów co najprzedniejszych. Nietylko korzenie na niej zamorskie, drogi cukier i cienkie płótna holenderskie, ale niemały zapas prochu, kul, zbroi i rusznic angielskich. Ej, poszczęściło się kaprom!

Jegomość Marcin Prus wyszedł na pokład, uradowany. Widział się już, wjeżdżającym w Leniwkę[1]) wśród podziwu reszty kompanów. Rozejrzał się wokół wesoło i dumnie. Przy rudlu stał

[1]) odnoga Wisły.

Jasiek z Dombrówki, zwany Orylem[1]), a to z racji, że przy flisach wychowany i choć od pięciu lat był kaprem, dotąd nazywał kotwę śrykiem, a rudel drygawką. Prócz niego sześciu ludzi z załogi „Wodnika" pilnowało takelunku[2]) pod kierownictwem bosmana. Oba statki płynęły szybko na południe. Jegomość kapitan stanął na przednim kasztelu, skąd rano Szwed jeszcze wydawał rozkazy. O kilkanaście stajań wprzód sunął lekko „Wodnik", strojny w królewską banderę. Mimo większego ożaglowania, ciężki „Salomon" zdążał za nim z trudem, naciągając łańcuch holowniczy. Morze układało się w krąg bezkresny, siny, na którym zachodzące słońce słało płomienisty most.

I patrząc wzrokiem rozmiłowanym w szybujący przed nim okręt, marzył stary żeglarz, że oto przez pola wodne płynie nie jeden ale sto okrętów. Potężna „armata" Rzeczypospolitej. Radość oczu, postrach wrogów... Uśmiechnął się gorzko, wspomniawszy nędzne dwanaście okrętów kaperskich, jedyną straż polskiego Bałtyku, w tem tylko trzy galeony, a reszta pinki i smaki[3])!...

— Król miłościwy inaczejby chciał, jeno, że niewiele może — pomyślał Marcin Prus z żalem. — Hej, gdyby mógł!...

Poczuł wielką miłość i cześć dla dalekiego króla, który mimo tysiącznych trosk, kłopotów, przeciwności myślał wytrwale o morzu, pragnął dusznie otworzyć Polsce owo wielkie okno na daleki świat, walczył niestrudzenie z obojętnością i wstrętem narodu do morza, zabiegał, z własnych funduszów budował w Elblągu galeon, naprzekór wszystkim miłował kaprów, swych „custodes maris"[4]) i ochraniał ich potężną dłonią przed nienawiścią chytrych kupców gdańskich, nie tracąc nadziei, że spełni kiedyś swój sen: obwarowania brzegów polskich potężnym szańcem okrętów. Daj mu, Boże, długie życie i posłuch w narodzie!...

Westchnął i skierował się ku drabince sznurowej, by wrócić batem na pokład „Wodnika". Wstrzymało go wołanie. Bosman Kornicz wychylił się z luki, niosąc coś w ręku ostrożnie. Było to puzdro drewniane, ozdobne, kością pięknie nakładane, zamknięte. Jegomość obejrzał je ciekawie, podważył nożem zameczek i obaj oddech wstrzymali z podziwu. Na tabinowej[5]) szkarłatnej podściółce leżała srebrno-złocista buława. Głowica przytrząśnięta była suto kamieniami, aż w oczach się skrzyło od blasku.

— Od Duńczyków ją wieźli, widno dla jakowegoś hetmana..

— Nigdzie takich złotników niema, jako w Danji... przytwierdził kapitan. — Hej, chłopcy, chodźcie popatrzeć!

---

[1]) flisem; [2]) żaglowanie; [3]) duże łodzie żaglowe rybackie; [4]) strażników morza, czyt. kustodes maris; [5]) jedwabnej.

Zbiegli się kręgiem, patrząc z podziwem na klejnot, którego dotknąć nie śmieli. Oczy im błyszczały. Takiego łupu, jak świat światem, nie wziął jeszcze żaden kaper!

— Siła talarów dadzą za nią w Gdańsku? — spytał Szulc Balcer, zniżając głos mimowoli.

— Ba! Wieś dobrą za to kupisz... — przytwierdził bosman, spoglądając pytająco na kapitana.

Ten wyprostował się nagle, oczy mu zagrały.



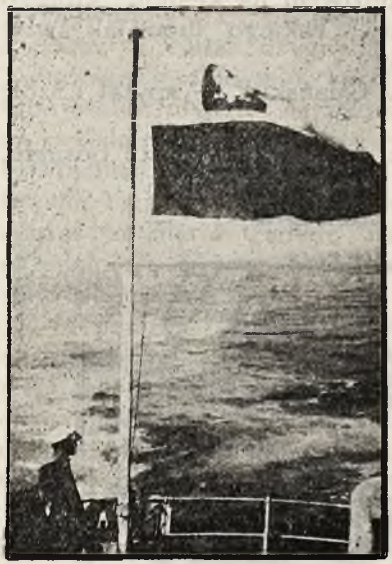
— Ej, dzieci, siłaby dali, ale jej przedawać nie będziemy. Poślemy ją z Gdańska w darze miłościwemu królowi. Niech się uraduje. Opiekun to nasz. Niechaj ma buławę od swoich wodnych żołnierzy!

Milczeli chwilę, zaskoczeni.

— Ja![1]) — krzyknęli jednogłośnie. — Miłościwemu królowi! Niech żyje Zygmunt August!!!

Zofja Kossak-Szczucka

[1]) tak.



Upał.

(Nowela).

Płynęli — leniwie, ciężko.

Wiatru w żagle — ani weź. Zwisały martwe — niepotrzebnie — brzuchami fałd ku rejom.

Ocean wygładziła cisza, wypolerował świt, wyzłociło słońce. Niby na lustrze misa, stanął na nim statek — zdyszany, trzaskający farbą komina, pękający drzazgami desek pokładowych, prężący się w olinowaniu. Parzą mosiężne okucia, swąd rozprażonego drzewa unosi się nad pokładem. W kajutach nieruchomo wisi żar.

W kotłowni do dziesiątej rano praca trwała jeszcze na zmianę: co godzinę, co pół godziny, co dziesięć minut już tylko i — na pokład z powrotem, gdzie dzięsięciu chłopów na łeb musiało wylewać wodę z brezentowych wiader, zanim palacz dech schwycił. A kiedy zaczął oddychać, wypuszczony z ciężkich łap marynarskich, walił się na deski i nabrzmiałemi krwią oczyma z przerażeniem patrzył w skrzącą się mgławym żarem bezbarwną dal.

Ostatni z piątej już zmiany w kotłowni zszedł kapral Tona.

Zdarto z niego zasmolone, nawpół zwęglone łachy. A choć oblany rzęsiście wodą morską — walącą nań wychlustem z wiader i z kich sikawkowych ostrym strumieniem — przecież, gębę rozwarłszy szeroko, nito ryba na piach rzucona, walczył jeszcze i tu z przemocą piekielnych oddechów. Mocne jego, napięte zwykle jak karnaty ramiona, leżały zwiotczałe wzdłuż tułowia pokrytego ryżem włosiem.

Jeno te oczy ponure, zakrzepłe w mściwości nieustępliwe szukały kogoś. Czekały.

Parowała zeń woda, więc koledzy nie przestawali go polewać, choć sami słaniali się i ociekali słonym potem.

W następnej wachcie miał zejść pod pokład szeregowy Maciek Grzelak. Za gardziel ściskało go przerażenie, bo i jakże miał tam wytrzymać, kiedy widział to, że mózg się zapalał od żaru w kotłowni, nietylko skóra. Ukradkiem spoglądał na Tonę, a choć go nie żałował, to jedno rozumiał — czeka go to samo. Kto wchodził pod pokład, oddechu miał tam jeno tyle, co w płucach przyniósł ze sobą.

W wentylatorach — jak w kominach — piekło. Kto wie, który żar większy — ten z nieba, czy ten z pieca. A kiedy wczesnym rankiem spotkały się oba we środku rozpalonej rury — zwarły się i ani w dół ani w górę. Korek. Dym duszący w kotłowni. Maciek zaryzykował.

Wywlókł się bosman z pod ratunkowej łodzi — kędy strzęp cienia przysiadł na chwilę — stanął pod kasztelem i pilnował, by wyznaczeni marynarze zeszli w głąb pokładu do pieców.

Wlekli się, bo już w nich ani sił, ani trzeźwości żadnej nie było. Upał zmógł ich do cna — rozluźnił zwartość mięśni, odużył niechęcią i uporem mózgi.

Tedy stanął przed bosmanem Maciek i, odlepiając zeschły język od podniebienia, spróbował:

— Panie bosmanie... żeby poprosić kapitana o kąpiel...

— Kąpiel? — powtórzył nieprzytomnie bosmam i wnet zrozumiał. — Tego wam się zachciewa?! A kto stanie wedle pieca? Ja?!

Maciek rozwarł szeroko oczy. Dyszał urywanym tchem.

— Panie bosmanie! Rady już z nas nikt nie da — spojrzał z przerażeniem na Tonę i jęknął. — Djabeł dziś tam nie strzyma.

— A kozie dzieci! — zaklął bosman. — Kąpieli się wam zachciewa, jak pannom na wydaniu?!

Nie skończył, bo nagle huknął ziejący żarem i złością głos. Wielki chłop dźwignął się i walił już z rospostartemi do chwytu barami.

— To ty, kondlu, do wody kcesz?! A jo to mogłem tam strzymieć?! Mosz te bec lepszy ode mnie?!

I gdyby nie bosman, który mocą swej szarży powstrzymał wybuch wściekłości kaprala Tony, Maciek, ciśnięty rozprężeniem jego ramion, potoczyłby się w dół po trapie ku ziejącym piecom.

Zwinny marynarz uskoczył w bok, ale kapral Tona całym ciężarem potężnego tułowia napierał na bosmana i powstrzymujących go kolegów. Któryś z nich, dowcipniejszy, nieopatrznie rzucił drażniące słowa:

— Tona! Daj-le mu ta kąpiel, blos coby bela secha i wynykala z niego ta chańć do twoi Anki.

Ryknęli chłopcy śmiechem. I nagle zamarli, bo prowokacyjne słowa śmiałka ścięły krew im w żyłach. Któż mógł powstrzymać teraz olbrzyma Tonę? Jakie prawo? Jaka siła? Nawet bosman zamarł w bezruchu — jeno gęba mu się rozwarła, a oczy stanęły w słup.

Przyszła wreszcie ta chwila — od trzech tygodni szukająca dla siebie jeno okazji, jeno ruchu jednego. Bali się tego. Nikt dotychczas na statku sprawy tej nie poruszał. Niech-le ci dwaj na lądzie się wodzą, kiedy wrócą z rejsu szkolnego. Bo i djabli to

wtedy nanieśli! Popsuli załodze całe trzy tygodnie wesela z morzem. Na tydzień przed wyjściem na ćwiczenia na statek szkolny przysłano ze szkoły kilkunastu marynarzy — wśród nich Maćka Grzelaka, chłopca sprytnego a zwinnego, który odrazu zwrócił na siebie uwagę nowych kolegów. Nie można powiedzieć — podobał się. Chłopak był do wszystkiego. To i do serca przypadł kompanji. Aleć i tamten — Tona — imponował, że to niby siłę a posłuch w garści trzymał. No i strzelał! Ha, ha!

Ale... I to ni z tego, ni z owego... Anka, brutka Tony, pierwszego dnia zaraz omało za tym nowym marynarzem, Maćkiem, oczu nie wypatrzyła. Na drugi dzień już z nim rozmawiała i szczerzyła zęby. A na trzeci — pęc! — poszła z Maćkiem do kina. To się i zaczęło kino!

Ku końcowi tygodnia na godzinę przed odjazdem oświadczyła kapralowi Tonie, że z nim zrywa. Odebrała mu pierścionek i...

Już na statku, kiedy wyszli w morze, Tona tenże zaręczynowy pierścionek zobaczył na palcu Maćka. Sparło go, zamgliło mu oczy. Zatrzęsło wątrobą, sercem i mózgiem — wszystkiem dorazu i to z taką mocą, jakby go kto w żelazną boję ogłupiałego zapchnął a na sztorm pod nabrzeże kamienne cisnął. Waliło też już ze wszech stron i mieszało w nim rozum z miłością, krew ze żółcią, a mściwe przekleństwo ze zgrzytem kłów białych.

Maciek siedział w olinowaniu: rozplątywał karnaty, a śmigał po drablinach, jakby się w bocianiem gnieździe urodził. Kapral Tona prężył mięśnie, odsadzał się i opuszczał łeb, niby byk do skoku. Chciał coś krzyczeć, że nie tak tamten robi, szukał słów, międlił stężałym jęzorem przekleństwo i ani rusz go z gęby wypluć nie mógł. Dech mu zabierała mściwość. A tamten gwizdał, gwizdał, jak choroba i tym pierścieniem wiedno łyskał w słońcu.

Aż tu naraz bosman z pochwałą dla Maćka:

— Dobrze wy to umiecie, Grzelak. To je tak rychtyk. Ciekaw jestem, jak dalej pójdzie?

Ale okazało się, że i dalej nie było gorzej, jeno lepiej, ciągiem lepiej. Że tego słowa ciężkiego ani wypluć z muzgu, ani tej mściwości ze zbolałego serca w pesk tam mu cisnąć. A to bosman przechodzi, a to kapitan, a to znów oficer jeden, drugi...

Kapral Tona czyha. Nie znalazł Tona sposobności.

Szli na południe. Z dobrym szli wiatrem — zygzakiem. To w morze, to ku lądowi. A Maciek zawsze wesoły — zębami w uśmiechu a tym pierścionkiem Anki błyska. I wszystko potrafi. Tedy złość pęczniała jak wrzód, a bolała jak wrzód i, niby z wrzodem, już ani w dzień, ani w nocy z tą boleścią rady sobie dać nie mógł kapral Tona.

Juścić widzieli to koledzy. Ale jakże to — dopuścić do zbójectwa na statku w czasie rejsu szkolnego? Niech-le tam na lądzie,

kiedy wrócą. Z tej oto czujności a z przemyślnego zapobiegania a lęku, że się stanie — szła zmora ciężka i obsiadała załogę, jak mgła ślepiąca a niebezpieczna. Już ni tego morza niebieskiego, ni tej radości rejsowej, ni tych junackich przepierek a pośmiechów — jako że w kompanji śmierć mściwa czai się a czeka, a ślepiami jucha łyska zawdy i wszędy. Taki był rejs! Zatracony — psia jego mać!

Aż tu jeden nie zcierpiał. Ten gorąc rozum mu pomieszał. I chlust tym barszczem w pesk.

Przyszła ta chwila ostateczna. Przez mgłę oczu zobaczył ją kapral Tona; usłyszał ją przez szum bębenków walących niby na alarm w uszach.

Po raz pierwszy to Maciek wykręcał się od roboty — ba — od zejścia do kotłów! Chciał kąpieli! Kąpieli chciał i odpoczynku wtedy, kiedy niedźwiedź — Tona ledwie z duszą wylazł z tego piekła podpokładowego! Czuł ten delikacik, że żywy już stamtąd nie wylezie. Więc niesprawiedliwość, a bardziej może rozwiana nadzieja zemsty pchała kaprala Tonę ku Maćkowi, który wykręcał się z piekielnego kotła.

Padły słowa podniecające. Już teraz nietylko wściekła nienasycona zazdrość ale i poszczuta ambicja niosły kaprala Tonę.

I nagle naprzeciwko siebie ujrzał kapitana — w białych jeno portkach i zgoła bez dystynkcyj oficerskich.

Już był gotów Tona... Co mu tam oficer! Jeno że... oficer tę czapę białą z orłem w wianuszku w ręku trzymał.

— Co?! zagroził mu drogę ową czapą. — Zimno wam jeszcze do pioruna, że się pędzacie po pokładzie?!

Strzymał chłopa.

Bosman usiłował zażegnać awanturę. Stropił się. Nie o marynarzy mu szło. Ale o to, że on sam dopuścił do jakichś wahań przy obejmowaniu służby.

Z ręcznika, leżącego niby beret na czaszce kapitana, strumieniami ściekała woda po twarzy. Ochładzał się. Nie zdążył bosman otworzyć jeszcze gęby, kiedy Maciek stanął śmiało wyprostowany przed władzą i już wyrecytował prośbę o kąpiel. Oficer powiódł wzrokiem wokoło. Spotkał się ze ślepiami kaprala nasiąkniętemi żarem. I żar ten postanowił zalać.

— A macie dosyć jeszcze sił, żeby siatkę ochronną spuścić w morze? Bo o rekiny wszędzie tu łatwo.

Zaświtała chłopcom nadzieja.

— Hej, panie kapitanie! rzucił Grzelak — tyle jeszcze strzymamy, jeżeli pan kapitan nam pozwoli.

Oficer skinął ramieniem. Pozwalał. Bosman też uśmiechał się, bo i odpowiedzialność z niego spadła i sam rad był kąpieli. Jeno ten... kapral Tona... Cofnął się ku burcie — ponury i oczyma źle

patrzący. W przygotowaniach nie brał udziału. Znów w nim zastygła ta zemsta — jakaś rozumna już teraz, bo potworniej wyzierająca mu z oczu.

Żaglowiec zatrzymał się, niby łabędź na cichym stawie. Tyle tylko ruszało się wokoło morze, co je rozbełtała siatka ochronna, a potem spadające w nią z burty spiżowe ciała marynarzy. Zresztą hen wokół panowała martwota. Nawet rekiny skryły się przed żarem głębiej.

Kąpali się chłopcy — igrali jak ryby na powierzchni. Poza siatkę wybiegały garby kół — coraz dalej, dalej szły w mętniejącą rozbłyskiem promieni słonecznych dal lustrzaną.

Nie widać świata. Jeno ta woda, woda, woda... Horyzont zlał się z morzem — z morzem bez końca. Spokój wokoło. Ten i ów wypłynął poza siatkę ochronną, aby w pływaniu rozprostować i ochłodzić bardziej członki. Uważnie spoziera na morze kapral Tona. Ze wszech stron je widzi. Wypłynął z siatki i ten... Maciek. Najdalej. Dobry pływak! i to, jucha, potrafi! Otacza już nos statku, aby wrucić od rufy. Kiedy zniknął za prawą burtą, Tona nagle dał sygnał: wracać!

Siatkę ściąga. Wślizgują się na burty ociekające wodą ciała. Siatka na pokładzie. Bosman sprawdza.

— Wszyscy?

Padają kolejne nazwiska.

— Gdzie Maciek Grzelak?

Kapral Tona zmrużył oczy. Stoi oparty o burtę. Nie słyszy. Rzucili się marynarze ku lewej burcie — nikogo. Ku prawej — hen kołysze się na miedzianej płaszczyźnie głowa Maćkowa. — Płynie na grzbiecie. A nieopodal płynie...

— Rekin! wrzasnął któryś z marynarzy. — Tam, tam! Patrzcie! Halo! Maciek! Grzelak!

Błękitną pręgą wije się rekin, niby nożyce tnące blachę miedzianą. To znów wyskoczy ponad złoto wody i łbem, niby rozciętem jajem, nura w głąb daje. I tak wokoło, wokoło harcuje.

— Rekin! wołają ze statku.

Sygnałowa chorągiewka niebezpieczeństwa pędzi na czubek fok-masztu.

— Rekin!!!

Na statku ruch. Marynarze pędzą po karabiny; łódź ratunkową spuszczają ze szlupbloków; ciskają daleko brezentowe koła. Spostrzegł się Maciek. Przewrócił się na brzuch i dalejże — ramionami na krzyż ciąć wodę. Płynie ku statkowi. Ale i rekin go spostrzegł. Wyprostował kierunek — ma cel. Pędzi niby motorówka. Płyną już obaj w prostej linji ku burcie. Maciek i rekin. Wiosłują ramiona, wiosłują płetwy. Ryba sprawniejsza. Szybko zmniejsza się odległość

pomiędzy nią a człowiekiem. Łeb w podrzucie wygląda ponad wodę, niby torpeda. Maćka nie widać prawie w bryzgach. Gonitwa. Zmniejsza się odległość — zmniejsza szybko. Dech zamiera w piersiach marynarskich. Gruchnęło kilka strzałów. Plusk, plusk po wodzie. Płyną obaj: Maciek i tuż, tuż za nim rekin. Łódź już na fali — sześciu w niej marynarzy. Szczęk dulek, plusk wioseł.

Zrównują się w perspektywie głowy Maćka i rekina — odległość niknie. Trudno już ich rozróżnić. — Promienie słońca, błysk wody — ćmią oczy. Serca kołaczą przerażeniem. Omdlałe ciała zwisają ponad burtą.

Kapitan podniósł karabin do oka — mierzy, palec na cynglu... Z mokrego ręcznika spłynęło kilka kropel na rzęsy — nie widzi nic!

— Rekin!!!

— Ratuj! — z morza głos leci, tłucze się o burty, o zwisające martwo płachty żaglowe, na pokład trzeszczący od żaru spada.

— Masz — ty! — błyskawicznie oddaje kapitan swój karabin Tonie. — Strzelaj! Wy — stać.

Cofnęli się marynarze, bo i jakże strzelać, kiedy tam na morzu głowa koło głowy?

Kapral Tona nie protestuje. Jakby czekał na to. Nagłym chwytem broń wspiera na ramieniu. Oko leży na lufie.

Patrzą nań marynarze. Najlepszy strzelec wśród nich. Niezawodny. Ale do kogo to ma strzelać kapral Tona? Dreszcz biegnie po załodze. Tona celuje.

Patrzą na te oczy... nalane krwią, dzikie, nieustępliwe a mordercze.

— Jezus! Marjo! — bezdźwięcznie poruszają się wargi załogi.

Na cofniętem czole Tony pęcznieją żyły — pod czaszką pracuje mózg — mściwy, znajdujący łatwą okazję, zaślepiony przewagą, obłędem zemsty. Potworny łeb rekina wyrasta ponad karkiem Maćka... Tuż, tuż widać rozwartą paszczę, pełną białych kłów. Oczy ćmi słońce... Plączą się łby: ludzki i zwierzęcy.

Nagle... strzał.

Jednocześnie głowa Maćka niknie pod wodą. Przed strzałem, czy po strzale? Ułamki sekundy... a w nich chaos nieprzytomnych pomyśleń. Za Maćkiem w głąb nurkuje ciało potwornej bestji morskiej.

Tona opuścił do nogi karabin, oparł go o burtę. Odwrócił się — nie patrzy w morze. Łeb ponuro opuścił w ramiona. Struchleli marynarze. Cisną się do burty. Oczy wyłażą im z orbit. Łódź bezradnie krąży. Na wodzie cisza.

Naraz, niby rdza na stalowej blasze, występuje czerwona plama. Rośnie, rozchodzi się po powierzchni wody bezkształtnie, ciężko...

Cisza.

Ktoś już nie żyje.

Marynarze zakrywają dłońmi oczy... Ten i ów żegna się.

Wolno, sztorcem z pod wody wyrasta czarny łeb Maćka — tuż, tuż koło łodzi. Ramiona wyciągają się ku burcie. I jednocześnie prawie z tyłu za Grzelakiem, na wypolerowanej fali, nieopodal rdzawej plamy, wyłania się błyszczący bielą, podłużny, olbrzymi balon — to brzuch rekina. Zwiotczały nerwy marynarzy.

— Maciek! Grzelak! — słabe spadają okrzyki ulgi, radości. — Rekin! — wskazuje ktoś drżącym jeszcze palcem.

Po drablinie wchodzi na pokład Maciek. Rozgląda się — szuka kogoś. Sspostrzega kaprala Tonę siedzącego na zwoju lin z pochylonym, ujętym w łapy łbem. Zbliża się do niego.

— Tona!?

Ciężko dźwignął się łeb kaprala. Drgnęły ramiona. Oczy patrzą w Maćka błędnie... Grzelak uśmiecha się po swojemu. Niefrasobliwie.

— A ja myślałem, że ty mi w sam łeb celujesz. A tu rekin nade mną... Więc dałem nura — wprost na dno. I rekin podobno nie lubi tego i kula nie znajdzie — zaśmiał się szczerze i dodał. — A ty w tę bestję. Dobrześ trafił.

Marynarze otoczyli ich wieńcem. Nie gorąco im teraz, chociaż słońce pali. Drżą jeszcze. Ale mają o czem myśleć. Hm, hm...

A Maciek zdjął z palca zaręczynowy pierścionek Anki i podał go kapralowi Tonie ze słowami:

— Tedy masz ten pierścionek zpowrotem... Ja tylko tak...

Wziął Tona pierścionek i patrzy dziwnie, niedowierzająco — to na złote kółko, to na śmiejącego się Grzelaka. I powtarza cicho, bezradnie, jakby się usprawiedliwiał:

— Jo, jo...

A w mózgu mu się pali...

Jeno już nie od żaru piekielnego pieca pod pokładem i nie od żaru niemiłosiernego słońca nad pokładem...

Mieczysław Jarosławski

Mare nostrum.

1.

Rozszalały fale w nieposkromionym zapędzie,
Na falach migocą piany białej łabędzie.

Słońce je krasi purpurą, iż całe płoną
Od bieli, oblanej szkarłatem krwi czerwono.

Bóg cię postawił tu, morze, u Polski podwoi
I na znak, czyjeś, w te polskie barwy cię stroi.

2.

Ku Tobie radośnie się zwraca
Miłość serc polskich, polskich dłoni praca,
Naszego dobra, naszej mocy wierny strażniku,
O, morze, o, polskie marze,
Bałtyku!

Twe łoże —
Bursztyny
A blaskiem stali sinej
Puklerz twój błyska nieprzyjaciołom przestrogą,
Żeś tarcza nasza, że twe błękitne ramiona
Polsce ochrona, obrona,
Której nie zmogą!

3.

Tam, kędy fala za falą nadbiega,
Napis wyryjcie na głazie u brzega.

Ponad napisem niech z granitów skały
Roztoczy dumnie skrzydła Orzeł Biały.

Pod orłem godło zwycięstw, lauru kiście
Wkoło słów: „Morze, polskie wiekuiście!"

S. Rossowski.

Ziemianie kresowi pionierami handlu czarnomorskiego.

Kiedy poprzez przestworza Polski mknie z dniem każdym donośniej brzmiące hasło: „Wszystko dla morza!" a w społeczeństwie polskiem coraz powszechniejsze rodzi się zrozumienie jego ważności, oraz przekonanie, że mocarstwowe stanowisko Państwa domaga się silnej floty — godziwą staje się rzeczą rzucenie okiem wstecz i wykazanie, że i w ubiegłych stuleciach, nawet w momentach najdotkliwszego upadku i rozstroju — zjawiali się mężowie, u których problem morski pierwszorzędną odgrywał rolę.

Znajdujemy ich na stolcu królewskim i w otoczeniu dworskiem; spotykamy na dalekich, zdawałoby się murem chińskim od świata odciętych Kresach Wschodnich, w dworach szlacheckich, w których

niejednokrotnie — przyznajmy to bezstronnie — rodziła się myśl ważka, zbożna, dla Rzeczypospolitej niezwykle pożyteczna i pożądana.

Dzieje zapisały z dumą imiona Zygmunta Augusta, twórcy polskich „Kaprów" czyli „strażników morza", Henryka Walezego, Stefana Batorego, poskromiciela Gdańska, oraz Wazów, Zygmunta III i Władysława IV, którzy już chyba w krwi swej „mieli morze" — jako monarchów polskich, rozumiejących specjalnie znaczenie morza dla państwa.

Wślad za królami idą — jako przystoi — nasi mężowie stanu dawnych stuleci, obrońcy polityki morskiej Polski: prymas Karnkowski, twórca gdańskiej konstytucji, arcybiskup lwowski. (Lwowa nigdzie nie brakło!) Solikowski, na zachodnią modłę skrojony, Zamoyski, bohaterski Chodkiewicz, Koniecpolski, Ossoliński i inni, a obok nich wysuwa się na czoło garść polskich admirałów przedrozbiorowych, z najgłośniejszym Krzysztofem Arciszewskim w pierwszym rzędzie.

O nich doszły nas z przeszłości echa chwilami nawet donośne. Znamy ich zabiegi morskie, spotykamy ich konterfekty i podobizny. Rzecz trudniejsza o wiele, gdy zapragniemy wydobyć z niepamięci fali Kresów Wschodnich, których piersi rozsadzała również silnie — acz w warunkach zmienionych, znacznie cięższych — gorączka morska, bezwiedny może nawet pęd ku morzu.

A jednak byli tacy i zasłużyli sobie niezawodnie na wspomnienie wdzięczne i bodaj na skromny kącik w dziejach naszych zabiegów na morzu.

O handlu morskim myślał niezwykły na swe czasy mąż, Tadeusz Czacki, energję jednak całą skierował niebawem na pole wychowania młodzieży polskiej i uchronienia jej od szkodliwych wpływów rządów zaborczych. W handel morski wtłoczył natomiast całą swą pomysłowość i rzutkość, poświęcił mu ogromnę fortunę, ziemianin kresowy, Prot Potocki.

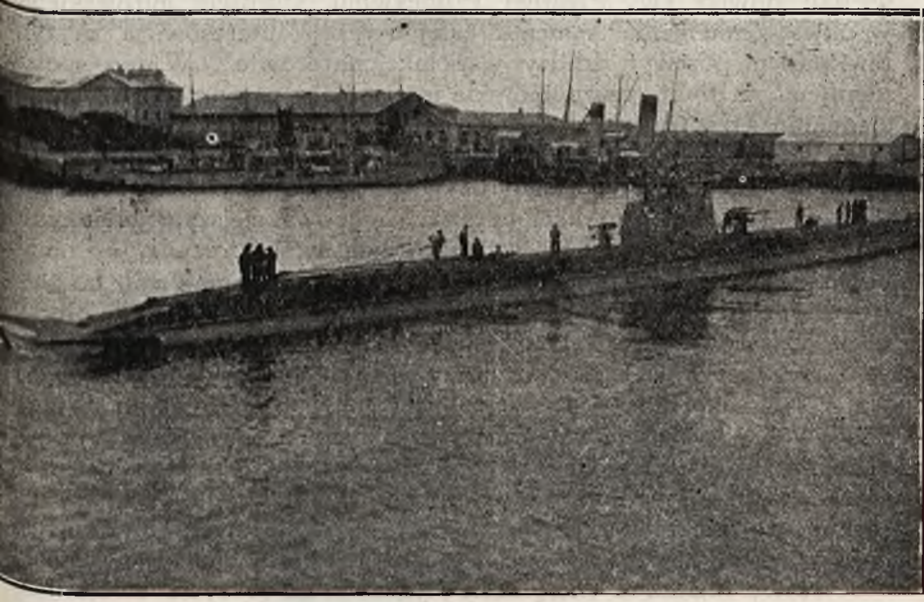
Chcąc się cośkolwiek dowiedzieć o jego zabiegach, musimy sięgnąć do pomiętników i wspomnień rówieśników pana Prota, starosty gurowskiego, żyjących w tym samym zakątku ziem polskich na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej. Na szczęście pewne ich grono nie stroniło od pióra, dzięki czemu i o Procie Potockim udało się drowi Antoniemu J., dziejopisowi Podola, zebrać wcale bogatą i pełną wiązankę szczegółów i szczególików.

Dobrze w tej sprawie poinformowany był i sporo o niej mógł powiedzieć p. Walerjan Dzieduszycki; pośrednio dotyka manipulacyj handlowych Potockiego w pamiętnikach swoich Chrząszczewski; o stosunku jego do żony, kobiety niezwykłej urody, zapisuje Jan Duklan Ochocki; bogatą wiązankę nowinek dorzuca nieoceniony

Andrzejowski, autor „Ramot starego Detinka o Wołyniu", a znajdujemy je również w Pamiętnikach Bukara.

Na ich podstawie i epizod czarnomorski ziemian kresowych da się odtworzyć wcale plastycznie.

Działalność pana Prota łączy się z t. zw. Kompanją Chersońską, więc i o niej słów kilka. Tam gdzie rozbudował się później Chersoń, jeszcze w połowie XVIII stulecia była głucha, dzika pustka. Tchnęła w nią życie i kulturę fantazja wszechwładnego ks. Potemkina. Usunąwszy koczujące gromadki Tatarów, zabrał się on z wła-



Polska łódź podwodna.

ściwą sobie gorączkową skwapliwością, do kolonizowania kraju. W r. 1778 założył u prawego brzegu Dniepru, nad limanem, dostępnym dla okrętów, miasteczko Chersoń.

Liche było ono i małe i smutne, mimoto nasz Trembecki w litanji pochwał Targowiczanina, głosił (nie wiem czy w szczerem uniesieniu), — że Katarzyna:

„Rzekła — stań się Chersonie! dosyć było na tem.
Z niczego stał się miastem ludnem i bogatem".

Ludnym i bogatym nie był on nigdy, nie był zwłaszcza w chwili „natchnienia" tulczywskiego poety, nie o to nam jednak obecnie idzie.

Dobrych chęci nikt Potemkinowi odmówić nie ma prawa, że zaś z Rzeczpospolitą polską stosunki rosyjskie ówczesne odznaczały

się pewną kurtuazją, więc i królowi Stasiowi zaproponowano, by przyjął udział w ożywieniu handlu czarnomorskiego. Projekt ten podobał się przedewszystkiem bratu królewskiemu, prymasowi, który i na króla wpływ silny posiadał. Ks. prymas został też „pierwszym aktorem kompanji do handlu wschodniego uformowanej i tejże współakcjonatorem, wraz z JW. Okęckim, kanclerzem wielkim koronnym". „Doświadczywszy ciż, że niepodobne było dobre zarządzenie interesów kompanji, gdy wielka liczba akcjonatorów była przypuszczona do zarządzania tem dziełem, szczególniejszej ufności swojej dali dowód JW. Protowi Potockiemu, staroście gurowskiemu, w powierzeniu jemu samemu całej dyrekcji interesów, a za tych przykładem poszli i drudzy współakcjonatorowie". W ten sposób wypłynął na flukty czarnomorskie interesujący nas przedewszystkiem ziemianin kresowy.

Współkrajan jego, p. Walerjan Dzieduszycki, kreślił powyższe słowa w chwili największego rozkwitu Spółki chersońskiej. Należało do niej kilkudziesięciu akcjonarjuszy, najpoważniejszym jednak był Potocki. On też ręczył za wszystko całą swoją fortuną, ogromną, powiększoną w dodatku coraz to nowemi nabytkami ziemi, bo pana Prota opętała równocześnie wprost jakaś pasja skupywania olbrzymich obszarów, gdzie tylko nastręczyła się ku temu sposobność.

Był to człowiek na ówczesne stosunki naprawdę nieprzeciętny. Należał do rzędu ludzi wykształconych czynnych i pracowitych. Wiedzę zdobywał w Krakowie, poczem w nieodstępnem towarzystwie przyjaciela, eksjezuity, kustorza katedry krakowskiej ks. Franciszka Ossowskiego, wyruszył na dłuższą wędrówkę w świat szeroki. Zamiary snuł piękne; że często ryzykował zbytnio i to prawda, ależ fortuna jego — zdawałoby się — pozwalała na tego rodzaju eksperymenty.

Nowy finansista energicznie wprowadzał w życie swoje dalekosiężne plany. Machnówkę, oddaloną o mil kilka od Berdyczowa, obrał za rezydencję administracyjną swych posiadłości. Tutaj, jak w Lubarze i Jampolu, powstały jego zachodem najrozmaitsze fabryki: sukna, perkalów, powozów, kołder, mebli, pończoch, kapeluszy, nawet... papierowych tabakierek. Sprowadzał zdolnych rzemieślników z Francji, Czech, Niemiec, w stepie osadzał Holendrów, polecając im wyrób serów. W Cudnowie rozwinął handel drzewem. W Lubarze kosztem 200.000 zł. zbudował śluzę dla odwrócenia Słuczy.

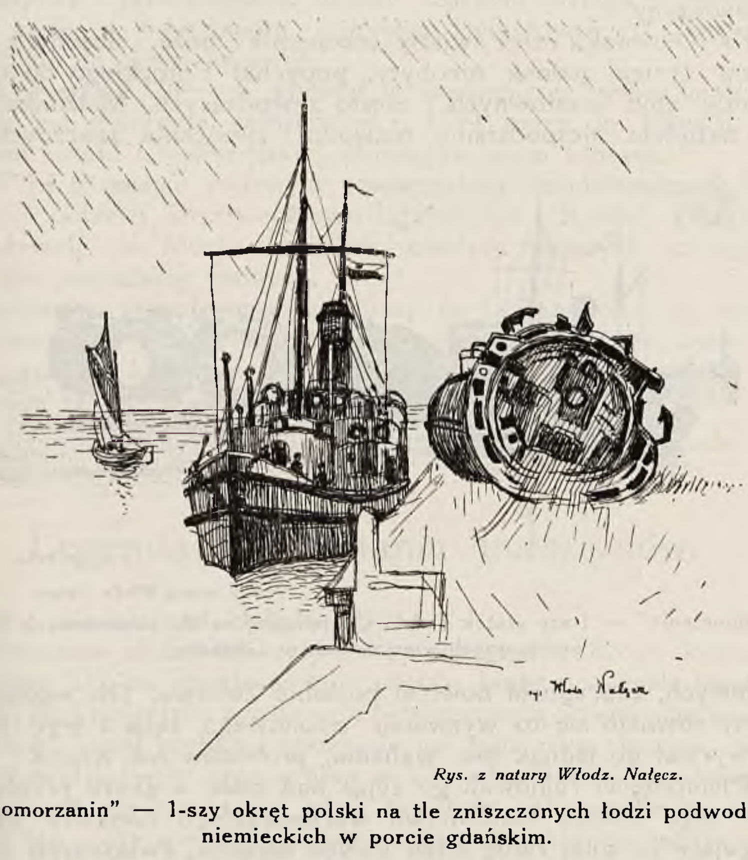
W Machnówce mieścił się kantor bankierski pana Prota, że zaś oddziały jego powstały równocześnie w Warszawie i Chersoniu, połączył je Potocki własną pocztą, która dwa razy tygodniowo, z wzorową punktualnością, przewoziła wszelkie listy i gazety.

Nadeszła chwila triumfu! Jesienią 1784 r. rozniesła się po Kresach Wschodnich, a stąd po całym kraju wieść radosna, że z portu chersońskiego wyruszyło pięć ładownych okrętów, wiozących z za-

kątka, płynącego przysłowiowem mlekiem i miodem, zboże wszelkiego rodzaju, miód, wosk, śliwki i inne suszone owoce.

Myśl akcjonarjuszów mknęła za „Polską", „Ukrainą", „Podolem", „Jampolem" i „S. Protem" — tak bowiem ochrzczono pierwsze jednostki handlowej floty polskiej na Czarnem Morzu; towarzyszyła im do Aleksandrji, Bajonny i Marsylji, a radość i duma z dokonanego czynu spotęgowały się stokrotnie, gdy producenci zarobili na rynkach europejskich i nieeuropejskich grosiwa sporo, akcjonarjusze zaś ujrzeli znaczną dywidendę.

Opowiadano sobie na ucho, że w ciągu roku obrót kompanji Chersońskiej wynosił miljon czerwonych złotych. Rachunki po niej



Rys. z natury Włodz. Nałęcz.

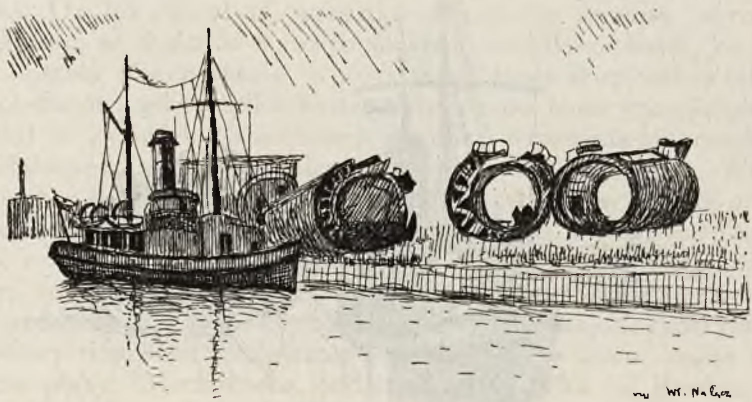
„Pomorzanin" — 1-szy okręt polski na tle zniszczonych łodzi podwodnych niemieckich w porcie gdańskim.

nie zostały żadne: w takie „wymysły" ziemianie bawić się nie chcieli. Jeden lub drugi producent czy akcjonarjusz, zgarniał pieniądze do worka i prościutko podążał w podwoje banku Prota Potockiego, by je tam ulokować na dobrym procencie.

Przy kieliszku wytrawnego wina wiwatowano na cześć flagi polskiej, łopoczącej nad obcemi morzami. Wprawdzie zaprzyjaźniona z nami Turcja „znaku” polskiego nie tolerowała i przy przejeździe Bosforu trzeba ją było zdejmować, zastępując dwugłowym czarnym orłem rosyjskim, ale już nieco dalej Biały Orzeł wracał na opuszczone z musu stanowisko na maszcie okrętowym, a serca zwolenników wszechmocnej imperatorowej przepełniała wdzięczność za świadczoną nam je łaskawą opiekę.

Po ośmiu latach prowadzenia Potocki się załamał. Sporo nato złożyło się przyczyn, skutki ich były dlań fatalne. Jak zapisują współcześni pamiętnikarze, pan Prot nie miał szczęścia do żony, przyjaciela, plenipotentów swoich i bankierów, z którymi finansowo był powiązany.

Ks. Ossowski, człek światły „ekonomik” może i uczony, z praktycznem życiem jednak nieobyty, popychał Potockiego do eksperymentów zbyt kosztownych i często zawodzących. Małżonka pana Prota zażądała niespodzianie rozwodu i zwrócenia znacznych sum



Rys. z natury Włodz. Nałęcz.

„Pomorzanin” — 1-szy statek Polski Odrodzonej na tle zniszczonych łodzi podwodnych niemieckich w Gdańsku.

posagowych, zapragnęła bowiem poślubić Zubowa. Dla naszego finansisty równało się to wyrwaniu trzonowego zęba z jego interesów, wyrwał go jednak bez wahania, protestów nie wnosił.

Plenipotenci rujnowali go żyjąc nad stan, a skoro przyłączyło się do tego jeszcze bankructwo warszawskiego bankiera Tepera, pociągające za sobą ruinę kilku innych banków, związanych z Kresami i Potockim, położyło go to na obie łopatki. Nie pomogła dobra wola, wytrwałość, pracowitość, na nic się nie zdały rzutkość i pomysłowość, zawistny los pokonał go, a wraz z nim runęła i kompanja Chersońska.

Zresztą w wysokiej mierze przyczyniły się do ruiny pana Prota i ówczesne stosunki polityczne: Targowica i zabór kraju przez Rosję. Nie skrzywdził jednak tych co mu zaufali, wypłacił wszystkie zobowiązania.

Runęły tak rozrzutnie wyposażane przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe, czas jakiś jeszcze wlokła jeno anemiczny żywot fabryka... papierowych tabakierek. Rzemieślnicy obcy wynieśli się za granicę. Naturalnie że i kantory bankierskie upadły; okręty przeszły pono na własność Drzewieckiego i Lipińskiego. Tak przynajmniej głosi wieść głucha. Resztę nagromadzonych w Chersonie materjałów budulcowych i produkty rolne wyprzedano za bezcen.

Pośród pogromu nie było się komu zająć tą sprawą, bo i główni akcjonarjusze i protektorowie handlu czarnomorskiego przenieśli się w tym czasie w inne światy. I prymas Poniatowski i Okęcki nie należeli już do grona żyjących.

A zresztą i Chersoń popadał w zapomnienie wobec konkurencji, jaką mu stworzyła założona w r. 1794 przez de Ribas'a, nad brzegiem zatoki Chedrybejskiej, słoneczna, jasna Odessa.

W jej to porcie powstało towarzystwo handlowe pod firmą kompanji polskiej Drzewieckiego, Lipińskiego i Spółki. Okręty jej pono pływały po Morzu Czarnem, niestety bliższych szczegółów o tem nie posiadamy żadnych.

Zabiegi o uregulowanie nawigacji na Dniestrze — to sprawa inna, luźno jeno związana z omówionym powyżej faktem, stwierdzającym nasz pęd ku morzu. W tej ostatniej głównym aktorem i propagatorem był p. Walerjan Dzieduszycki.

Michał Rolle.

Legenda o powstaniu bursztynów.

Noc osiadała nad Bałtykiem.

Promienie słońca znaczyły swoją pożegnalną drogę krwawym szkarłatem, aby za chwilę ustąpić miejsca białej poświacie księżyca. Łagodna dłoń zmierzchu prostowała pomarszczoną powierzchnię wody. Nasz statek sunął szybko i spokojnie po ruchomym topazie, jakby ścigał niewidzialnego przeciwnika w kierunku Borholm, ostrzegając czasem porykiem syreny, by jakaś żaglówka nie zmąciła mu drogi.

W ten cichy wieczór lipcowy stałem na pokładzie jachtu wpatrzony w białe bryzgi, które gniewnie odskakiwały od śruby okrętowej. Moje płuca chłonęły chciwie orzeźwiającą sól i chłodne powietrze.

— Czy rozmowa z morzem? — usłyszałem nagle pytanie.

Drgnąłem. Obok mnie stał młody oficer marynarki w przy jaznym uśmiechu, odsłaniał białe, lśniące zęby, które tworzyły mił kontrast z bronzem opalonej twarzy.

— Nie przeszkadzam? — pytał dalej dźwięcznym głosem — Lubię jednak spojrzeć w twarz człowieka, który kocha nasze morze, rozmawia z niem jak z przyjacielem — usprawiedliwiał si młody człowiek, — dlatego nienawidzę tych wszystkich, którym grzbie morski służy tylko za zwierzę pociągowe dla ich towarów. Tac nie mają czasu na rozmowy, zajęci obliczaniem zysków w duszne kajucie. Nieszczęśliwi nie słyszą nawet tych cudnych legend, jaki szeptem umieją opowiadać fale morskie, swoim wiernym słuchaczom

— Opowiadać?

— O, tak. Opowiadają... Ale trzeba umieć słuchać. Opowia dają takie dziwy, jakie opowiadać potrafi tylko matka lub czuł piastunka płaczącemu dziecku. Dlatego dla marynarza i śmierć n morzu nie jest straszna... Marynarz umiera w poszumie fal, ja przy wtórze bajek kochającej matki. Niech się pan tylko sam prze kona... Proszę słuchać...

Twardą ręką uścisnął mi dłoń i znikł w czarnym labirync schodków prowadzących do kotłowni.

Zostałem sam na sam z morzem.

Jak zahipnotyzowany nie mogłem oderwać oczu od błękitnyc języków, które lizały białą ścianę okrętu, a po chwili zdawało m się, że języki te w ciszy wieczoru wymawiają pieściwie imię kobiece którem dawni słowianie ochrzścili jedną ze swoich rzek.

— Persante.... Per — sante.... — szeptały mi fale.

A gdy wsłuchiwałem się dalej w łagodny szept, usłyszałem cudną legendę.

. . . .

Deszcz jesienny bił gniewnie w błony okien słowiańskiej o sady rybackiej. Zimny wiatr niósł od spienionego morza odgłos jakby walki olbrzymów, którzy z wściekłością ciskali na siebie po tworne głazy. Niespokojna noc spływała jednak jak błogosławieństw na cichą wioskę. W taką noc nikt nie ośmieliłby się zapuścić n morze. W taką noc nie potrzeba było wystawiać czujek nad brze giem, aby łowiły uchem rozpaczne wołania rybaków, tonącyc w zimnych uściskach spienionych olbrzymów. W taką noc wa townicy nie potrzebowali wpatrywać się w ciemny horyzont, ab zoczyć wikingów zakradających się na rączych łodziach. Wzdę wściekłością fala pozwalała mieszkańcom spokojnie zamykać znużon powieki.

Na fosach drewnianego zamku knezia Roduty zagasły ju smolne łuczywa, a potem zaczęły gasnąć w poszczególnych chatac

rybackich. Tylko od czasu do czasu przez czarną maź nocy przemykały się jeszcze jakieś cienie ludzkie ku morzu, aby obejrzeć, czy splecione rzemienie wytrzymają atak fal i nie pozwolą oderwać łodzi przymocowanych do oślizgłych, ale mocnych pni i unieść je w głąb morza.

Zagasło wreszcie łuczywo i w chacie najczujnieszego Miłosza-pasterza. Nad spoczywającą osadą rozpiął już skrzydła tylko sen malując jednym kolorowe nadzieje bogatych połowów, a drugim męczący koszmar splątanych i rwących się sieci.

A na dworze szalała burza. Głazy rzucane, jakby przez olbrzymów, huczały groźnie niosąc pohuk swej walki, aż hen poza gród knezia Roduty.

Ale spokój i bezpieczeństwo mieszkańców ukazało się złudne, bo nagle w głuchy huk morza wplotły się krótkie, urywane głosy jakby szczekanie psów unoszonych na wodzie. Szczekanie było coraz



częstsze, pochodziło z setek gardzieli, aż wreszcie przeszło w wycie niby wygłodniałych wilków z niedalekich lasów kaszubskich. Po chwili głosy umilkły, tylko spienione bałwany zrzucały ze swych grzbietów wąskie, długie korable, które ze złowieszczym sykiem wciskały się w wilgotny piasek wybrzeża.

— Low! Low! — rozlegało się wołanie w czarnej masie nocy, jakby zwoływanie się fok czujących ławicę smacznych ryb.

Gdy ostatni korabl wcisnął się ostrym dzióbem w piasek, wtedy setki stóp ludzkich zaczęły biec w kierunku uśpionej osady.

Jakiś okrzyk podzielił tłum na trzy części. Najliczniejsza część waliła wprost na drewniane grodzisko knezia Roduty, by podłożyć zdradzieckie ognie pod drewniane ściany zamczyska. Inni cicho skradali się w domy uśpionej osady.

Psy wiejskie pierwsze odczuły niebezpieczeństwo. Rzuciły się ku przybyszom drażnione zapachom ich odzienia ze skór zwierzęcych przesiąkniętych jeszcze dusznym zapachem smoły. Czworonożny wał



obrońców załamał się jednak pod ciosami krótkich mieczów normandzkich. Żałosnem skomleniem budziły psy uśpionych mieszkańców.

Pierwszy zerwał się ze snu Miłosz-pasterz najczujniejszy wartownik osady. Chwycił młot i odsunął drewnianą zaporę u wejścia. Wrota jednak odskoczyły same pchnięte siłą napastników. Do wnętrza Miłoszowej izby wtłoczyła się zgraja wikingów. Dzikie twarze oświetlone błyskiem łuczywa obstąpiły pasterza. Jego ramię, które szybko uniosło młot ku górze, padło jak suche drewno pod ciosem wrogiego topora.

Powalony Miłosz w powolnym śnie przedśmiertnym widział jeszcze błyski ognia na błonach swoich okien i słyszał rozpaczliwe bicie

w blachy w grodzisku Roduty, które zwoływać miało ludność na pomoc. Ale nikt nie mógł spieszyć z pomocą zagrożonemu zamkowi, wszyscy zajęci byli rozpaczliwą walką wśród oślepiającej łuny palących się chat.

Tymczasem napastnicy grabili co cennejsze w ubogim dobytku rybackim. Jeszcze tylko mieszkańcy zamku podpaleni ze wszystkich stron musieli przyjąć walkę w otwartem polu, ale wkrótce legli martwi na wilgotnych fosach grodziska. Łupieżcy wdarli się do grodziska, unosząc stamtąd skrzynie pełne bogactw, a wśród nich największy skarb zamczyska: złotowłosą księżniczkę Persante.

Gdy pożar osady zaczął przygasać napastnicy rzucili łup na dno swoich korabli i odpłynęli szybko w kierunku Borholmu.

W ciemną noc wraz z pohukiem bałwanów dochodziły do spalonej osady wołania o pomoc złotowłosej Persante.

Na drugi dzień, gdy słońce wzeszło czerwoną poświatą nad nieszczęśliwą, splądrowaną osadą, znalazł jeden z rybaków na brzegu dziwny kamień o cudownym złotym kolorze. Długo dziwiono się skąd ten kamień o szlachetnym zapachu żywicy i lasów kaszubskich pochodzi.

Były to złote loki Persante, która uwożona na łodzi ścinała swoje pukle i rzucała je na grzbiet bałwanów morskich z cichą modlitwą, aby loki jej uniosły ku nieszczęśliwej osadzie i opowiedziały o jej łzach i bólu.

Loki i łzy Persante przemieniły się w złoto bursztynu.

Aleksander Błażejowski.

Wracamy z Cherbourga.

Na wszystkich bakach redy gromadki mew. Siadają z wrzaskliwym swarem, kłócąc się o miejsca. Czasem któraś z nich potężnemi uderzeniami skrzydeł wzbija się w górę, zda się pod samo sklepienie nawisłych czarnych chmur. Chwilę buja tam bez widocznego wysiłku i naraz z charakterystycznym krzykiem, przypominającym nieraz do złudzenia krzyk dziecka albo zawodzenie kobiety, spada skośnie szybko jak strzała. Nad pomarszczoną powierzchnią redy kołuje długo, muskując fale. Wreszcie siada na bace między towarzyszkami i wiedzie z niemi w mewim języku długie rozhowory. Irrri.... Krrr.....

Na bulwarze portowym stary strażnik śluzy, weteran dwóch wojen i dziesięciu kampanij, spogląda to na niebo, to na wodę i mruczy stare francuskie powiedzonko:

— Módlcie się za marynarzy, co są na lądzie. Ci co są dziś w morzu, niechaj sami dają sobie radę.

„Panna Wodna“ wyczyszczona, wypolerowana, omyta z nalotów soki po ostatnim sztormie, drży nerwowo prychając z kominów ledwo widzialnym niebieskim dymkiem. Z samego rana naładowano na nią 80 min blokadowych, — śmiercionośny ładunek, ktory ma złożyć w gdyńskim arsenale. Poczciwe blaszane kociołki, z których każdy może z łatwością wyprawić ad patres potężny drednot, drzemią sobie spokojnie wygodnie rozmieszczone na specjalnych szynach.

— Obyśmy tylko po drodze nie fuknęli — mruczy inżynier.

— Z takim ładunkiem byłoby możliwie fuknąć — wtrąca jeden z midsipów.

— Nie kraczcie, panowie, — odzywa się dość ostro dowódca. — Na wojnie pływało się nie z takiemi ładunkami. Kilkaset min wątpliwej precyzji, a naokoło niemieckie łodzie podwodne i krążowniki. Jednak wyszło się cało.

Komandor ma słuszne prawo tak mówić. W czasie wielkiej wojny pływał jako młodszy oficer na „Prucie” — starym rosyjskim transportowcu minowym, należącym do czarnomorskiej floty. Pewnego poranka „Prut” został znienacka zaatakowany przez „Goeben” i puszczony na dno wedle wszelkich prawideł sztuki. Że miny (a było ich kilkaset) nie wybuchły — cud prawdziwy. W każdym razie nieco ludzi utonęło, a komandora po kilku godzinach przebywania w wodzie, wyłowiła niemiecka szalupa i odstawiła wprost do niewoli — na „Goeben”.

— Ba, — wtrąca oficer nawigacyjny, kapitan Piotrowski, pospolicie Piotrusiem zwany, — pamiętam i ja coś o minach. Pływałem na trawlerach rosyjkich po morzu Białem i oceanie Północnym. Między obydwoma wojującemi stronami miny wymieniały się wówczas jak karty wizytowe. Niejeden marynarz zginął przy tej wymianie grzeczności, nie dostrzegłszy ani razu nieprzyjaciela. A ja sam miałem dość ciekawą przygodę...

— Jaką znów przygodę.

— Któregoś zimowego poranka, kiedy lód i śnieg dziesięciocentymetrowym pancerzem pokrywały burty, pokład i takielunek mego trawlera, wachta nagle daje znać, że widać jakiś okręt. Biorę lornetę i wybiegam na pokład. Okrętu ani śladu. Chcę zwymyślać wachtowego, kiedy drugi sygnalista melduje, że widział jak okręt „był ale wyszedł”. Poprostu w oczach zatonął. Z pewnością wpadł na jedną z min, założonych przez niemieckie łodzie podwodne.

Płynę powoli a ostrożnie w tym kierunku i trafiam szczęśliwie na szalupę z pięcioma ludźmi. To wszystko co pozostało z transportowca „Malcolm Castle”. Jest między nimi kapitan, którego

dzielni marynarze wyłowili zupełnie skostniałego z lodowatej wody. Czem prędzej tedy lokuję go w mojej własnej kabinie, poczem felczer zaczyna go rozcierać. Anglik otwiera oczy i pierwszem jego słowem jest „Grog or whisky".

Dałem mu się napić i wybiegłem na górę. Czas był najwyższy. Mój trawler wędrował w najlepsze pośród pola minowego, postawionego przez niemiecką łódź podwodną. Na skutek wichru i fali dwie zerwane z kotwic miny pływały sobie spokojnie o piętnaście metrów od okrętu.

Przez chwilę miałem wrażenie, że jestem poczciwym tresowanym słoniem, który przez pomyłkę wpadł do sklepu z porcelaną. Kazałem dać stop, a jednocześnie sądząc, że uratowanym Anglikom będzie przyjemniej umierać na pokładzie niż we wnętrzu, posłałem po nich ordynansa. I wyobraźcie sobie, żaden nie wylazł...

Kiedy w pół godziny później cudem wymanewrowaliśmy, robiąc prawdziwy taniec wśród mieczów, spytałem mego topielca — kapitana, dlaczego nie wyszedł.

— Ba — odparł, — nie wylatuje się w powietze dwa razy jednego i tego samego dnia. To byłby już zbyt wielki luksus. Dlatego też pozwoliłem sobie lekceważyć pańskie ostrzeżenie.

— Morowy ten twój Anglik, Piotrusiu, — przerywa inżynier. — Ale na północnych morzach nie było jeszcze tak strasznie. Trzeba było przyjść do nas — na Adrjatyk, — w cieśninę Otranto. Tam tysiące min tkwiło po obu stronach zapory, a okręty uwijały się między niemi, grając w chowanego i „water-polo".

— Tak, — „water-polo", z minami zamiast piłki i śmiertelną stawką.

— Co ma wisieć nie utonie. Czy znacie historję tego kapitana francuskiego, który w dzień mobilizacji otrzymawszy pilne zadanie, zameldował się w magazynie amunicji. Staruszek — magazynier odmówił wydania amunicji bojowej pod pozorem, że zapotrzebowanie jest napisane nieformalnie, a stan amunicji nie sprawdzony przez komisję. Nie tylko u nas panuje wszechwładnie bakcyl biurokracji...

— No i co?

Zniecierpliwiony „lieutenant de vaisseau" prosi, błaga, wreszcie krzyczy:

—Ależ panie, przecież okręt mój wyrusza na bój. Jakże możemy się bić bez amunicji. Poniesie pan odpowiedzialność?

A na to biurokrata jak najspokojniej.

— Tak, idzie pan na bój, kapitanie. Pięknie. Ale żeby móc walczyć, nie należy przedtem wylecieć w powietrze...

— To samo możnaby powiedzieć i o nas.

— Tak odezwał się Czacki — ale my, przynajmniej narazie, walczyć nie będziemy. Wiaterek wojenny od czasu do czasu prze-

wiewa wprawdzie babcię Europę. Jednak Liga Narodów i różne inne bogobojne instytucje starają się o wieczny pokój, o Locarno lądowe i morskie. Niezadługo marynarze będą tylko potrzebni do strzelania „salutów" i podróży wysoko postawionych polityków.

— Cicho bądź, krwiożerczy podporuczniku, zdawałoby się z twoich słów, że marynarze to potwory, lubiące tylko topić, mordować i wysadzać w powietrze. Jesteś nowicjuszem i przypominasz mi tych francuskich aspirantów, którzy w pierwszym roku wojny rwali się do walki, jak dzieci do zabawek, mówiąc: — To musi być okropnie zabawne i miłe takie rozstrzeliwanie prawdziwego okrętu prawdziwemi armatami. Biedacy po kilku miesiącach radykalnie zmienili zdanie.

— No i, — wtrącił dowódca, — marynarka wojenna w czasie pokoju ma również ważkie znaczenie, jak w czasie wojny. Przez samą swą obecność stanowi o suwerenności, niepodległości, dobrobycie państwa i narodu. Dzięki niej powstają korzystne przymierza, otwierają się nowe rynki zbytu. Bandera wojenna toruje drogę ekspansji gospodarczej. Wiecie to zresztą doskonale, moi panowie. Szkoda, że nie wie tego jeszcze cała Polska.

— Jest już lepiej niż przed trzema laty.

— Racja. Może wkońcu będzie dobrze i naród zrozumie, że kraj mający dostęp do morza, bez marynarki wojennej istnieć nie jest w stanie. Ale my tu gadu — gadu, — dodał po chwili komandor, — a czas leci. Za kwadrans odkotwiczenie.

Kilka gwizdków, chrapliwe dźwięki trąbki. Głuchy charkot wind. Przeraźliwy szum zaworów wyrzucających z wnętrza kuźni wulkana — nadmiar białej energji. Jeszcze „zatkany prysznic" syreny i światła nadbrzeży powoli zaczynają się oddalać.

Między cyplami olbrzymiego falochronu dziób „Panny Wodnej" otrzymuje pierwszy pacałunek fali. Słone bryzgi lecą na mostek. Widać przez wyrwę w granicie jak horyzont miota się i chwieje. Niedarmo mewy tak ludnie zaległy redę. Znowu sztorm.

Mimowoli oczy marynarzy zwracają się w tył — ku ziemi — tak czasem niemiłej, a jednak będącej dziś cichą, „sztywną" i bezpieczną przystanią.

Juljan Ginsbert.

* * *

Dawniej a dziś.

W wieku XVI nasz Lublin miał tyle ludności, co i Londyn, gdyż 40 tys., nasz Kraków liczył wówczas 80 tys. mieszkańców, a Hamburg zaledwie 6 tys., w roku 1700 zawijało do naszego Gdańska około 5000 okrętów rocznie, a do portu londyńskiego tylko około 1500.

W przedpokoju Ameryki.



Na morzu zgalwanizowanem ostatniemi promieniami słońca, wykwita z pośród mlecznego oparu długa, ciemna linja, zamknięta kropką migotliwego światła. To „migałka“ na końcu słynnego „szerburskiego” molo, widoczna wyraźnie mimo że dzień jeszcze jasny.

Na pokładzie O. R. P. „Wilja“ wszystko przygotowuje się do zakotwiczenia i wyjścia na ląd. Wprawdzie Cherbourg, mimo swego arsenału, nie należy do największych portów Europy, jednak zwą go „przedpokojem Ameryki”. Albowiem tu zawijają wszystkie większe parowce transatlantyckie, udające się do Nowego lądu.

Ot i tera z zprzysłowiowej mgły La Manchu ukazuje się przed dziobem „Wilji” — długa, ciemna sylwetka. Wszystkie lornety zwracają się w tamtą stronę, starając się zidentyfikować trzykominowy okręt. „Berengaria“! woła pierwszy nasz profesor angielskiego, który niedawno wrócił ze Stanów Zjednoczonych na tej właśnie potężnej jednostce.

Tuż obok przewija się druga sylwetka. Ta jest smukła, błękitnawa, nisko osadzona. Zamiast trzech kominów ma tylko dwa, a po obu stronach zgrubienia, z których sterczą groźne macki — lufy ośmiocalowych dział.

— To krążownik „Suffren”, panie komandorze, — melduje oficer wachtowy, — Wraca z wystawy w Stockholmie.

Oba okręty mijalą się tak blisko, że następuje zwykła w takich razach wymiana grzeczności. Pod tym względem, nic się na morzu od czasów galer i karawel nie zmieniło. Ludzie morza są na całym świecie najuprzejmiejszymi ludźmi pod słońcem. Dziś w epoce „ździczenia obyczajów”, szczegół ten uwydatnia się specjalnie.

To też zaledwie burty obu okrętów stają się równoległe, trębacz „Willi” uderza sygnał przepisowy.

Na „Suffrenie” nie pozostają nam dłużni. Jednocześnie — jak tego ceremonjał wymaga — z dźwiękiem naszej trąbki, mieszają się dźwięki melodyjnego francuskiego ”Sonnerie”, i trójbarwna bandera, pozdrawia Białego Orła. Z obu stron salutujący oficerowie i zastygli na baczność marynarze. „Grzeczność morska“, która dawniej stanowiła o pokoju czy wojnie, a dziś jeszcze stanowi o stosunkach między narodami.

A oto inny okręt wojenny, trzykominowy, acz znacznie mniejszy. Długo badają go lornetki, aż wreszcie porównowując spis sylwetek, ktoś zgaduje: „Oskar II“ — szkolny szwedzki pancernik.

Tłok zresztą straszny w tym przedpokoju Ameryki. Specjalnie dziś w sobotę, kiedy odpływają okręty pasażerskie. Bo oto potężny „Belgenland”, jak i „Berengarja” pod flagą Wielkiej Brytanji. Oto niemiecki „Columbus” — długi — przysadzisty. Oto słynna czterokominowa „Mauretanja”, rodzona siostrzyca nieszczęsnej „Lusitanji“, której zatopienie wywołało interwencję Stanów Zjednoczonych i zgubę armji niemieckiej. Wreszcie, już tuż przy molu, otoczona zgrają ziejących parą holowników, bielutka „Empress of Japan” Na tych pięciu olbrzymach możnaby dziś śmiało przewieźć do Ameryki ludność powiatowego miasta.

I dziś motorówka „Wilja“, wzbijając za sobą potężny burum, rączo zmierza ku lądowi. W chwilę później przybija u schodów szluzy, tuż obok pomnika Napoleona, który stąd wrogo a dumnie patrzy na Anglję. Tempora mutantur.

Niestety tym razem stary Cherbourg przedstawia się nieciekawie. Załogi okrętów amerykańskich tłumnie wyległy na ląd, zrzucając ochotnie trapiące ich brzemię prohibicji. Poprostu przejść nie można. Wszędzie białe czapeczki, kwadratowe ramiona, ostre podbródki nabrzmiałe gumą do żucia i zapach wirgińskiego tytoniu.

W gruncie rzeczy te wielkie, naiwne dzieci nie są złe. Ale różnica między zadymioną suchą Ameryką, a słoneczną i wolną Francją, jest zbyt wielka, by samo powietrze nie działało na nie odurzająco. A cóż dopiero jeśli powietrze to poparte jest potężną dawką aperitivu, czy kilkoma butelkami wina?

Więc oto jedno z takich dwumetrowych, barczystych dzieci, w przystępie dobrego humoru porywa oleander stojący na trotuarze przed kawiarnią i wynosi go na środek ulicy. Inne dziecko gwałtownie coś tłumaczy nie rozumiejącemu po angielsku francuskiemu marynarzowi, poczem schwyciwszy z pobliskiego straganu pęk bananów, ulatnia się z miną Bustera i Kardda. Za chwilę przyjeżdża motocykl z koszykiem i wysiada zeń dwóch granatowych Amerykanów z oznakami „Sea Police“ na rękawach i ciężkiemi

ołowiano-drewnianemi pałkami w ręku. Czem prędzej nakazują pierwszemu dziecku postawić na miejsce „uwiedziony oleander", drugiemu oddać straganiarce „zeskamotowane" banany, w końcu zaś znikają w sieni jakiegoś domku, skąd dochodzą kobiece piski, zmięszane z potężnem chrapaniem. Okazuje się, że inne wielkie „dziecko", wmeldowało się do czyjegoś prywatnego mieszkania i położyło spać w butach i ubraniu na łóżku pani domu. Tableau.

Wreszcie o północy ostatni kuter odbija od przystani, unosząc sytych wina synów Wuja Sama. Zapada cisza, przerywana tylko miarowym krokiem patroli i tu i ówdzie głuchemi uderzeniami ołowianej pałki o głowę jakiegoś zapóźnionego Yankesa. Trzeba przy-



znać, że nasi marynarze, może nie mają tak twardych głów, ale zato sprawują się wzorowo, o całe niebo lepiej od Amerykanów.

Nazajutrz jest niedziela, więc kto z oficerów i podchorążych nie ma służby, wybiera się na wycieczkę, by zwiedzić urocze okolice Normandji. Jedni wybierają groty podmorskie w Jobourg, inni latarnię morską na cyplu Goury, inni wreszcie udają się do Barfleur, które stałoby się bezwzględnie kwaterą główną Pantagruela i Gargantui, gdyby ci dwaj gastronomowie żyli w naszych czasach.

Przyłączam się właśnie do tej ostatniej partji. Siadamy w dość prymitywny autobus i w zawrotnem tempie pędzimy po malowniczej, wiszącej ponad urwiskami nadmorskiemi drodze. Chwilami aż robi się niemiło na myśl, co będzie, jeśli z za zakrętu wyjedzie drugi samochód, albo hamulce odmówią posłuszeństwa. Wreszcie po trzech kwadransach takiego „cwałowania", w czasie którego autobus więcej przypomina samolot niż stateczny automobil — stajemy w Barfleur, przed malutkim, obrośniętym winem, z drzewa skleconym domkiem, na którym widnieje napis „Hotel Maderne", a pod nim barwny różaniec plakiet, turystycznych i automobilowych klubów całego świata.

— Hm, powiada niedowierzająco jeden z kolegów, który od specjalnej kategorji „luksusowych podróżniczek" nasłuchał się o francuskiem zdzierstwie, to mi jakoś podejrzanie wygląda. Albo jedzenie będzie podłe i mało, albo dużo i dobrze, ale zobaczycie jak nas ustrzelają. Niedarmo przysłowie powiada, że w tańszych francuskich hotelach goście muszą się z wiadomych powodów drapać, a w droższych nie potrzebują tego czynić, bo są i tak obdzierani ze skóry.

Wchodzimy do niewielkiej, gustownie przybranej pół-sali półwerandy. I zaledwie zajmujemy stolik, kiedy poczynają wkoło nas uwijać się cichutko i w milczeniu dwie przystojne bretonki w narodowych strojach. W chwilę potem stoi już przed nami olbrzymi półmisek zakąsek i wdzięczy się gliniany dzbanek, napełniony po brzegi musującym „Cidre" — normadzkim jabłecznikiem.

A to dalsze menu:

Homar w zielonym sosie
Cielęcina na zimno w majonezie
Bar (to taka morska rybka, że palce lizać)
w sosie maitre d'hotel
Potrawka z baraniny
Groszek, marchewka
Filet z indyka
Pieczone kartofle
Sałata — sery
Murzynka w koszulce (czekoladowa legomina
z sosem chaudau)
Truskawki w cukrze
Biszkopty
Kawa czarna

Uf! Już. To wszystko. Porcje były wprawdzie niezbyt wielkie, ale za to wybór i urozmaicenie nie lada. Przyznam się zaś, że wolę stokrotnie zjeść sześć dań z każdego potrochę, niż otrzymać w warszawskiej restauracji porcję mięsiwa z jarzynami, zdolną

wyżywić zachodnio-europejską rodzinę z sześciu osób na przeciąg trzech dni.

A teraz ciekawiście państwo ile za tę luksusową ucztę zapłaciliśmy? Zapewne majątek? Uspokoję was. Wypadło, łącznie z usługą po 20 franków, czyli po 7 złotych od osoby. Za darmo.

I niech tu jeszcze kto mówi o drożyźnie czy obdzieraniu. Oczywiście w międzynarodowych karawanserajach i „osobliwościach" specjalnie obliczonych na głupotę cudzoziemców — tak. Ale naogół — stanowczo nie.

Syci chwały i wrażeń wracamy na okręt. Po drodze widzimy jak do Barfleur jeden po drugim ciągną wytworne samochody, — na obiad. Zjeżdżają się tam turyści z całej Francji — oczywiście Francuzi, bo cudzoziemcy wolą dawać się eksploatować w niedalekiem Trouville czy innych modnych plażach.

W arsenale „Wilja" stoi spokojnie, przytuliwszy się do kamiennego nadbrzeża. Słońce zachodzi i na pancernikach amerykańskich rozlegają się dźwięczne głosy trąbek, po których następują akordy hymnu. Gwiaździste bandery zniżają się jedna po drugiej. Tuż obok transportowiec francuski „Niger", czeka uprzejmie aż opuścimy banderę „Wilji". Albowiem gościom należy się pierwszeństwo.

I znów nastaje cisza, mącona tylko dalekiem porykiwaniem syren, sygnałami na trąbce, wśród których pokaźne miejsce zabiera nasz hejnał krakowski, wreszcie strzępami melodji płynącemi z knajp i spelunek portowych. A od wyspy Peleé, złoty pendzel latarni morskiej poczyna omiatać horyzont.

Noc zapada powoli. Świecąc jak reklama uliczna swemi dziesięcioma rzędami iluminatorów, przepływa ciężko olbrzymi transatlantyk. Cóż tam się w jego wnętrzu dzieje? Zapewne w wielkiej, nawę kościelną przypominającej sali jadalnej, zbierają się właśnie na obiad wytworne panie i eleganccy panowie. Dziś nie będzie jeszcze smokingów i sukni wieczorowych, bo to dzień odjazdu. Ale jutro weźmie tych luksusowych pasażerów w obroty sztywny ceremonjał angielski i uczyni ich na resztę podróży niewolnikami konwenansu.

Niżej pasażerowie drugiej i trzeciej klasy, oddzieleni od luksusowych apartamentów murem chińskim przesądów, tradycji i kastowości, żyć będą w swojem gronie, jako zupełnie oddzielne społeczeństwa. A jeszcze niżej, w ociekającym oliwą i naftą combinaisons — żywy kontrast wyfraczonych maitre d'hotel, jazz-bandzistów i stewardów z góry — pracować będą ciężko maszyniści i palacze, nadający temu pływającemu pałacowi, szybkość pospiesznego pociągu. Czy choćby która z owych pięknych pań, wyczyniających na błyszczącej posadzce wielkiego hallu pracowite bluesy, zastanowi się nad tem, czem jest okręt, jego dusza, jego załoga...?

Nieco dalej trzy amerykańskie pancerniki, „Arkansas“, „Utah” i „Florida” drzemią na redzie, odbijając w mleczno białej wodzie swe stalowe kształty. Przybyły — tak jak „Wilja” w odwiedziny do Francji, mając na pokładzie kadetów-podchorążych marynarki wojennej.

Chrapliwy głos trąbki, gwizdek bosmański, wesoły dzwonek telegrafu maszynowego. Potem złośliwy charkot łańcucha kotwicznego i głuchy plusk spadającego dwuzębu.

— Na dzisiaj skończone, — mówi komandor. — Idziemy spać. Należy nam się.

Rzeczywiście należy nam się, po pięciu dniach czuwania. A jednak motorówka odbijająca od „Wilji” zabiera spore grono ciekawych. Pod tym względem marynarze nasi należą do niezmordowanych.

W roku ubiegłym, po trwającym dwa dni sztormie, w czasie którego torpedowcami naszemi miotało jak skorupkami orzecha, a oficerowie przez 40 godzin tkwili na zalewanym falą mostku, zdawało się, że już — już nadszedł kres ich wytrzymałości. I co powiecie? Jak tylko przycumowano opodal królewskiego jacht-klubu w Kopenhadze, trzeba było się udać na ląd — na przyjęcie wydane ku czci polskich gości.

I otóż zaręczam wam państwo, że jakkolwiek pozostało 20 minut na ogolenie się, umycie, włożenie „flottenroków“, epoletów i całego paradnego stroju, jakkolwiek na okrętach nie było miejsca, gdzieby woda morska nie pozostawiła śladów, jakkolwiek ten czy ów nie miał nic ciepłego w ustach od dwóch dni, — zaręczam, że wszystko odbyło się w porządku. Nikt się na przyjęcie nie spóźnił, nikt się w tańcu z nóg nie zwalił, nikt nie zasnął, nikt nie mówił od rzeczy. A piękne Dunki, między które naszych marynarzy posadzono, nie mogły powiedzieć, żeby sarmaccy żeglarze byli nieużytymi wilkami morskimi. Ba — wręcz przeciwnie, — w kilka dni poźniej przy odejściu naszych torpedowców, różnobarwna plecionka przewiewnych damskich toalet na nadbrzeżu portowem Kopenhagi, świadczyła dobitnie o duńsko-polskich sympatjach.

Wychodzę na sygnałowy mostek i stamtąd ogarniam wzrokiem matową powierzchnię redy, obramioną szarem pasmem falochronu, labirynt basenów i kanałów portu wojennego, oraz ponurą sylwetkę fortu Montagne du Roule. A potem liczę:

Trzy amerykańskie pancerniki, jeden szwedzki, 52 wojenne okręty francuskie, angielskie i niemieckie transatlantyki (z których każdy łatwo na krążownik poomcniczy przerobić można). Wśród tego wszystkiego niepokalanym błękitem burt świecąca nasza „Wilja”, a w basenach „Burza”, „Wilk” i „Ryś” — zaczątek odrodzonej „Armaty wodnej” Rzeczypospolitej.

A jednak. A jednak pięć lat temu nie mieliśmy jeszcze nic. Zupełnie nic. Dziś połowa naszego obrotu z zagranicą idzie przez

Gdynię, a każdy kilometr wybrzeża przewozi 32 razy więcej od kilometra granicy lądowej. Własne nasze okręty chodzą już nietylko do Francji, Anglji, krajów skandynawskich i bałtyckich, ale także do obu Ameryk, do Afryki, na morze Śródziemne i Czerwone. Na straży polskiego morza stoi nasza marynarka wojenna, dziś jeszcze słaba, ale już się rozbudowująca.

Rozbudować ją musimy, albowiem od niej zależy nasza wolność, nasza suwerenność, możność ekspanzji ekonomicznej i kolonjalnej, korzystne przymierza, dobrobyt szerokich mas, prestiż narodu i państwa. To też raz na zawsze uprzytomnić sobie winniśmy nienaruszalną zasadę:

Niema Polski bez Morza i niema Morza bez Polski.

Inż. Juljan Ginsbert.

Słowa rozpięte na żaglu.

Ileż to było trzeba łez, tęsknot i męki,
Żołnierskich ran, krwi, trudów i Wszechmocy łaski,
By wreszcie z nieba zdarty płynny morza błękit
Ucałował brzeg Polski, Jej nadbrzeżne piaski.

I tyle przeszło dni, by wreszcie świt dnia dojrzeć
Hardemi oczyma, co kulom szły naprzeciw
I tyle tęsknych biegło, hen ku morzu spojrzeń,
Jak ku oknu, za którem słońce jasno świeci.

Ileż to mogił, krzyży wyrosło nad grzędą,
Zanim morze przylgnęło fal pieszczotą czułą
Do brzegów wciąż palonych tęsknotą — legendą,
By Bałtyk z Polską związać Wisłą — świętą stułą.

I trzeba było tyle obłąkańczych wiatrów,
Obrzękłych pól tęsknotą i wonnem powietrzem,
By jeden wiatr, co serca ludzi żalem zatruł
Uderzył w białe żagle rozpięte na wietrze.

Aż przeszły wreszcie krwawe pożogi i burze —
Załopotały flagi w triumfalnym hymnie,
A rozpienioną falą na morza lazurze
Czujny Chronos napisał Polski święte imię.

Marjan Bugajski.



Polska flota wojenna.

Okręty bojowe morskie:

„Komendant Piłsudski"	kanonierka
„Generał Haller"	„
„Krakowiak"	torpedowiec
„Kujawiak"	„
„Mazur"	„
„Podhalanin"	„
„Ślązak"	„
„Wicher"	kontrtorpedowiec
„Burza"	„
„Wilk"	łódź podwodna
„Ryś"	„ „
„Żbik"	„ „

Okręty pomocnicze morskie:

„Czajka"	do zakładania i poławiania min
„Jaskółka"	„ „ „ „ „
„Mewa"	„ „ „ „ „
„Rybitwa"	„ „ „ „ „
„Bałtyk"	krążownik szkolny
„Iskra"	okręt szkolny żaglowy
„Pomorzanin"	„ hydrograficzny
„Wilja"	transportowiec

Okręty bojowe rzeczne:

„Kraków"	kanonierka (t. zw. monitor)
„Wilno"	„ „ „ „
„Horodyszcze"	„ „ „ „
„Pińsk"	„ „ „ „
„Toruń"	„ „ „ „
„Warszawa"	„ „ „ „

Polska flota handlowa.

Przedsiębiorstwo: „Polsko-Transatlantycki Towarzystwo Okrętowe“ (Linja Gdynia-Ameryka).

nazwa statku		wielkość	uwagi
„Polonia” .	parowiec 2 śrubowy 2 kominowy	15.000 ton	statek pasażersko-towarowy, zaoceaniczny, odbywa podróże do Ameryki Północnej
„Kościuszko”	„ „	12.000 „	„ „ „ „
„Pułaski” .	„ „	12.000 „	„ „ „ „

Przedsiębiorstwo: „Polsko-Brytyjskie Towarzystwo Okrętowe“.

nazwa statku		wielkość	uwagi
„Premjer” . .	parowiec 1 śrubowy	8.300 tonn	statek pasażersko-towarowy, odbywa podróże do Anglji
„Warszawa” .	„ „	6.250 „	„ „ „ „
„Łódź” . . .	„ „	6.260 „	„ „ „ „
„Rewa” . . .	„ „	5.480 „	„ „ „ „

Przedsiębiorstwo Państwowe „Żegluga Polska“.

nazwa statku		wielkość	uwagi
„Wisła”	parowiec 1 śrubowy	5.150 tonn	statek towarowy odbywa podróże oceaniczne
„Niemen” . . .	„ „	5.150 „	„ „ „ „
„Warta”	„ „	4.200 „	„ „ „ „
„Wilno”	„ „	2.850 „	„ „ „ „
„Poznań” . . .	„ „	2.850 „	„ „ „ „
„Kraków” . . .	„ „	2 850 „	„ „ „ „
„Katowice” . . .	„ „	2.850 „	„ „ „ „
„Chorzów” . . .	„ „	1.350 „	„ „ „ „
„Tczew”	„ „	1.020 „	statek tow. podróże po Bałtyku.
„Gdynia” . . .	„ „	540 „	statek pasażerski, podróże przybrzeżne.
„Gdańsk” . . .	„ „	550 „	„ „ „ „
„Jadwiga” . . .	„ „	270 „	„ „ „ „
„Wanda” . . .	„ „	270 „	„ „ „ „
„Hanka” . . .	„ „	100 „	„ „ „ „

Przedsiębiorstwo („Polskarob“) — „Polsko Skandynawskie T-wo Transportowe“.

nazwa statku		wielkość	uwagi
„Robur III”	parowiec 1 śrubowy	2.800 tonn	statek towar. do transp.
„Robur IV”	„ „ „	3 000 „	dtto
„Robur V”	„ „ „	3.000 „	dtto
„Robur VI”	„ „ „	3.200 „	dtto

Przedsiębiorstwo: „Łuszczarnia Ryżu“ w Gdyni.

nazwa statku	wielkość	uwagi
„Kopernik” parowiec 1 śrubowy .	. 1.050 tonn .	statek towarowy

Przedsiębiorstwo: „Dunin Slepść“.

nazwa statku	wielkość	uwagi:
„Ville de Toulon” parowiec 2 śrubowy	700 tonn	statek towarowy

Poza wymienionemi statkami, przeznaczonemi do żeglugi handlowej, Polska posiada jeszcze około 40 statków pomocniczych, jak: szkolne, straży celnej, portowe itp., oraz rybackie. Niektóre z nich wyszczególniamy poniżej.

Rządowe

Nazwa	Rodzaj	Wielkość
Dar Pomorza	żaglowo-motorowy statek szkolny	2.600 tonn
Nowa Draga	pogłębiarka	367 „
Gedania	prom kolej.	291 „
Ursus	holownik morski	166 „
Amor	statek przewoźniczy	100 „
Bizon	holownik portowy	86 „
Zubr	„ „	60 „
Castor	„ „	62 „
Gazda	kuter	16 „
Maryśka	statek przewoźniczy	40 „
Oksywie	prom przewoźniczy	60 „
Pilot	motor. pilotowa	15 „
Tur	holownik portowy	76 „
Syrena	motorówka inspekcyjna	15 „
Tryton	żaglowiec motorowy statek inspekcyjny	20 „

P. P. „Żegluga Polska“.

Bąk	kuter żagl. motor.	11 „
Delfin	motor. kamunikacyjna	25 „

Firma „Elibor“.

Elibor III	holownik portowy	33 „

Morski Instytut Rybacki.

Ewa	kuter żaglowo-motorowy	29 „
Starnia	do badań naukowych	29 „

Firma „Atlantic".

Nazwa	Rodzaj	Wielkość
Mazur	holownik motorowy	45 tonn

Przedsiębiorstwo: „Polsko-Skandynawskie Tow. Transportowe".

Nida	holownik	10 „
Vega	„	10 „
Ira	lichtuga	200 „
Marylka	„	390 „
Triczi	„	290 „
Wanda	motorówka	18 „

Firma „Speed".

Speed I	holownik	41 „

„B. Wardęga".

Vesta	żagl. motor.	58 „

„J. Długi".

Helena	żaglowiec	28 „

„F. Bigot".

Eugenja	żaglowiec	22 „

Rybołówstwo dalekomorskie.

W maju 1931 r. została założona w Gdyni spółka polsko-holenderska pod nazwą „Morze Północne" — Polskie Towarzystwo do połowu śledzi.

To pierwsze w Polsce towarzystwo połowu śledzi posiada 8 statków rybackich dalekomorskich, przy których pomocy będzie uprawiało połowy na morzu Północnem. Flota towarzystwa w krótkim czasie ma być zwiększona o 3 dalsze statki. Śledzie złowione na morzu Północnem są następnie przywożone do Gdyni, skąd idą dalej już wgłąb Polski.

Zamierzona jest budowa portu rybackiego przy wielkiem morzu, u podstawy półwyspu Hel w Wielkiej Wsi, gdzie ma się skoncentrować całe polskie rybołówstwo morskie.

Statek Szkolny „Dar Pomorza".

Statek szkolny „Dar Pomorza", zakupiony ze składek społeczeństwa pomorskiego, służy do szkolenia przyszłych oficerów pol-

skiej marynarki handlowej, pobierających nauki w Państwowej Szkole Morskiej w Gdyni.

Statek ten co roku odbywa z uczniami dalekie podróże, przyczem w roku 1931 odwiedził Nowy York, składając wizytę Polonji Amerykańskiej.

„Dar Pomorza" zastąpił dawny statek szkolny „Lwów", który odbył w roku 1923 podróż do Brazylji, odwiedzając Polaków zamieszkałych w stanach San Paulo i Parana. Był to pierwszy polski statek, który odbył podróż na półkulę południową.

Ponadto istnieją koncesjonowane przedsiębiorstwa okrętowe jak np.: *„Chargeurs Reunis"*, które utrzymują komunikację pasażerską i towarową z portami Brazylji, Argentyny i Uruguaju. *„American Scantic Line"* utrzymuje połączenie z Ameryką Północną, przewożąc tylko towary.

Wszystkie te przedsiębiorstwa wysyłają swe statki z Gdyni i w ten sposób utrzymują komunikację ze wszystkiemi krajami położonemi nad Bałtykiem, oraz z zachodem Europy i Anglją, dalej z Ameryką Północną i Południową, a od czasu do czasu są nasze statki towarowe wysyłane na Morze Śródziemne do portów północno-afrykańskich, a nawet do Afryki i za Atlantyk.

Okazuje się, że flota ta nie wystarcza na obsłużenie całego zapotrzebowania. Wobec tego musi być rozbudowana, to znaczy, iż muszą być wybudowane nowe statki, z odpowiedniemi, nowoczesnemi urządzeniami, a przedewszystkiem z chłodniami, gdzie będą ładowane towary łatwo się psujące, jak jaja, wędliny, drób bity, jarzyny itp.

Został sporządzony plan tzw. dziesięcioletni. W tym czasie będzie zbudowanych kilka statków nowoczesnych, szybkobieżnych z chłodniami. W roku przyszłym będą już wybudowane dwa takie statki, a w następnych latach reszta.

Bandera nasza pojawia się już na wodach oceanu Atlantyckiego i na innych morzach, w portach europejskich i amerykańskich, a nawet afrykańskich. Powoli zostanie rozbudowana i chociaż obecnie tworzy już duży nasz majątek narodowy, to w przyszłości będzie mieć jeszcze większą wartość i będzie naszą chlubą i dumą narodową, wykazując światu, że jesteśmy narodem, który umie i potrafi — tak jak inni — sprawy swoje morskie uregulować według swoich interesów gospodarczych.

Podstawą dla naszej floty jest port Gdynia.

Jest to dzisiaj najlepszy port na Bałtyku, a został zbudowany naszym wysiłkiem i za nasze pieniądze. Kosztował 120,000,000.— zł. Budowa trwała zaledwie 4 lata i była tak szybko prowadzona, że wprawiła w podziw inne narody.

Przy porcie gdyńskim powstało miasto, które wyrosło na miejscu dawnej wsi rybackiej. Ta stara Gdynia miała jeszcze w r. 1926

nieco ponad 2 tysiące mieszkańców. Obecnie ma domy czteropiętrowe, ogromne gmachy publiczne, urzędy, oraz przeszło 50,000 mieszkańców.

Gdynia jest czysto polskim portem i daje świadectwo o naszych wartościach i zdolnościach w sprawach morskich.

Gdańsk jest drugim naszym portem. Po uzyskaniu niepodległości przez Polskę bardzo się rozbudował i obecnie doszedł już do największego swego rozwoju. Gdynia jako port musiała powstać, aby można było szybko i bez żadnej przeszkody i ograniczeń przeładowywać towary polskie.

Ilość polskich marynarzy.

Liczba marynarzy, oficerów i personelu administracyjnego i hotelowego na polskich statkach handlowych morskich przekracza 1400 osób, z czego 228 kapitanów i oficerów, 870 marynarzy pokładowych i służby maszynowej i 330 osób personelu administracyjnego oraz służby hotelowej.

Ruch okrętowy w Gdyni i w Gdańsku.

Rok:	Gdynia przeszło statków:	Gdańsk przeszło statków:
1913	—	2,910
1922	—	2,712
1923	—	2.930
1924	24	3.312
1925	85	3,986
1926	298	5,967
1927	530	6,950
1928	1,108	6,198
1929	1,567	5,396
1930	2,238	6,078

Wywóz i przywóz towarów przez polskie porty Gdynię i Gdańsk.

Rok:	przez Gdynię		przez Gdańsk	
	przywieziono do Polski w tonach	wywieziono z Polski w tonach	przywieziono do Polski w tonach	wywieziono z Polski w tonach
1922	— —	— —	466,287	504,411
1923	— —	— —	654,929	1,062,864
1924	631	9,086	738,072	1,636,485
1925	1,586	50,142	690,778	2,021,969
1926	178	404,382	640,696	5,659,605
1927	6,702	889,439	1.330,572	6,244,004
1928	114,726	1,593,022	1,610,401	6,748,102
1929	218,037	2,402,051	1,561,874	6,865,419
1930	504,117	3,121,629	1,090,631	7,122,461

W roku 1930 do Polski przywieziono przez granice morskie i lądowe razem towarów . . . . 5,087,937 tonn
wywieziono towarów przez te granice . . . 21,037,919 „
razem . . 26,125,956 tonn
z tego przez porty Gdynię i Gdańsk przeładowano 11,838,838 „

Znaczenie drogi morskiej i portów dla Polski jest bardzo duże.

Niech nikt nie zapomina o roku 1920.

Wtedy naród polski toczył bój na śmierć lub życie z nawałą bolszewicką. Wszystkie granice oddzielały nas od tych, którzy nam chcieli dostarczyć amunicję. Jedna tylko droga morska pozostała wolna i tą właśnie drogą została dostawiona na czas amunicja i to właśnie dozwoliło nam do pobicia nieprzyjaciela.

Wolna droga morska dała nam wolność polityczną.

Niech nikt również nie zapomina o roku 1925.

Wtedy toczyła się również zacięta walka gospodarcza z Niemcami, które chciały nas zdusić gospodarczo.

Mieliśmy jednak wolną drogę morską i nią to właśnie przez porty nasze Gdynię i Gdańsk wysłaliśmy towary nasze w świat i nią też sprowadziliśmy produkty nam potrzebne.

Od tego czasu tak rozwinęliśmy nasz handel morski, i tak w nim wyrobiliśmy się, że śmiało możemy twierdzić, iż morze dało nam wolność gospodarczą.

Dwukrotnie więc w historji istnienia Drugiej Rzeczypospolitej Polskiej okazało się, że porty nasze Gdynia i Gdańsk, to szerokie bramy, otwarte na wielkie szlaki morskie, gdzie mamy swobodę ruchu i nieskrępowaną możność połączenia z resztą świata.

Znaczenie portów polskich w stosunku do największych portów na stałym lądzie europejskim.

Porównanie:

w r. 1930 przeładowano towarów

w Hamburgu	22,438,300	tonn	(Niemcy)
w Rotterdamie	20,412,900	„	(Holandja)
w Antwerpji	19,865,200	„	(Belgja)
w Marsylji	9,322,000	„	(Francja)
w Bremie	9,135,740	„	(Niemcy)
w GDAŃSKU	8,213,092	„	
w GDYNI	3,275,746	„	

A więc porty polskie zajmują poważne miejsce wśród reszty portów europejskich.

Na morzu Bałtyckiem Gdańsk z Gdynią zajmują pierwsze miejsce. Gdynia jest najlepiej urządzonym portem na Bałtyku.

Jakich narodowości statki przyjeżdżają do Gdyni:

Statki:	Udział procentowy:
Szwedzkie	25%
POLSKIE	18%
Niemieckie	13%
Duńskie	9%
Francuskie	7%
Amerykańskie	7%
Norweskie	6%
Łotewskie	6%
Angielskie	3%
Różnych narodów	6%
razem	100%

W roku 1926 udział polskich statków w ruchu portowym w Gdyni nie wynosił nawet 1%, a w ubiegłym roku doszedł już do 18%. Ten udział naszej floty handlowej będzie z każdym rokiem coraz więcej wzrastał, w miarę, jak będzie rozbudowana nasza flota handlowa. Coraz więcej wtedy będzie powstawało domów handlowych polskich w Gdyni i coraz więcej Polaków będzie miało pracę i zarobek z morza. Już dzisiaj tych przeszło 50.000 ludzi zgromadzonych w Gdyni z całej Polski ma — na miejscu dawnej, małej wsi rybackiej — możność utrzymania się, a wielu z nich dorobiło się i stało się zamożnymi obywatelami. Nasza młodzież znajduje pracę na statkach polskich tak handlowych, jak i wojennych.

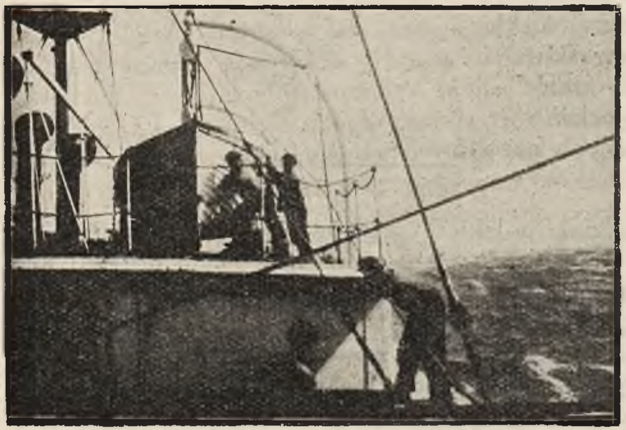
Flota nasza będzie stale rozbudowywana. Aby zorjentować się ile kosztuje takie rozbudowanie floty podajemy poniżej koszta budowy statków wojennych.

W Gdyni został zbudowany ogromny obóz emigracyjny. W ubiegłym roku z portu Gdyni wyjechało za morze z samej tylko Polski 35,864 emigrantów a statki „Żeglugi Polskiej" przewiozły w tym samym roku 560,000 tonn ładunków, pobierając zato opłat ponad 8 miljonów złotych. Ileż to pieniędzy pozostaje w kieszeniach polskich, gdy flota polska istnieje, a ile pozostanie ich, gdy flota ta będzie znacznie powiększona?

Żaglowiec z motorem	2,600	tonn	1,5 mlj. zł.
Parowiec towarowy	5,000	„	2,5 „ „
Parowiec pasażerski	15,000	„	12 — 15 „ „
Łódź podwodna			7 — 9 „ „
Torpedowiec	600	„	1,5 — 2,5 „ „
Kontrtorpedowiec	1,500	„	4 — 6 „ „
Krążownik	8,000	„	20 — 25 „ „
Pancernik	36,000	„	90 — 110 „ „

3000 mil.

Z natury rzeczy opis mój nie będzie rzeczowy ani pouczający, nie będzie miał jedności wykładu, metody, zdrowego sensu a nawet nie będzie miał sensu wogóle. Niech to będzie moim przywilejem, że feljeton ten będzie trochę zwarjowany. Mając bowiem do omówienia wrażenia z 6 tygodniowej podróży po szerokim świecie, którą odbyłem na wiosnę u. r., mam do wyboru dwie drogi. Albo napisać przy pomocy książek opis krajów, które zwiedzałem, albo wypocić ze siebie t. zw. wrażenia. Inaczej mówiąc: pouczyć — lub podzielić się wrażeniami.



Na okręcie „Wisła".

Badając literaturę o zwiedzanych krajach, stwierdziłem sumiennie na miejscu, że wszystkie wiadomości są prawdziwe i nic nowego nie zaszło. Pocóż więc przepisywać ustępy z tych książek?

Wrażenia z podróży znowuż pisało tylu ludzi mądrzejszych ode mnie a także i głupszych, że miałbym tylko kłopot doprawdy — do której grupy przyłączyć się. Dałem spokój.

Spełniam więc dziś tylko wewnętrzną potrzebę wygadania się. Pozwólcie mi mówić. Z opisanych wyżej 2 sposobów ujęcia tematu, wybrałem oczywiście trzeci. Wymieszałem mianowicie te 2 sposoby i podlałem je sosem dowcipów, które mi się podobają.

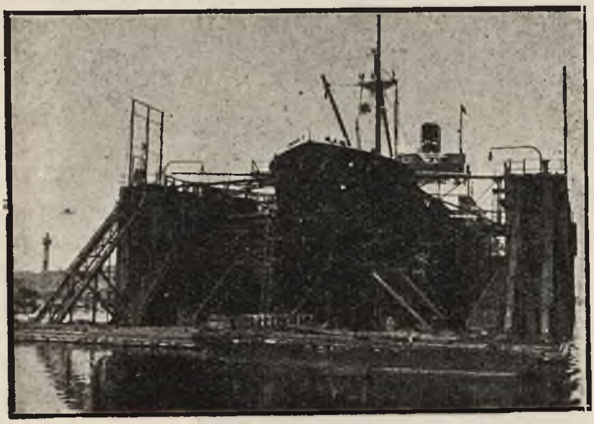
W ogólnej części mego odczytu zajmę się praktycznemi wynikami i doświadczeniami, które ostatnio zebrałem. Trzeba, by wiedza moja o podróżowaniu udzieliła się szerszym sferom. Spróbuję więc wyjaśnić kilka praktycznych zagadnień.

Aby wybrać się za granicę trzeba posiadać cztery rzeczy. 1) Pieniądze, 2) znajomość języków, 3) towarzysza podróży, 4) aparat fotograficzny. Potrzebny jest jeszcze paszport wedle utartych i zadawnionych zwyczajów. Ale — jeśli się ma pieniądze, posiada obce języki, towarzysza podróży i aparat fotograficzny — zważcie państwo — czyż można nie dostać paszportu? Tak więc wypadnie

nam zastanowić się tylko nad 4-ma zagadnieniami. Pieniądze, języki, towarzysz, aparat. Dodałbym tu jeszcze punkt piąty: pieniądze. Jeżeli ktoś z państwa bystro zauważy, że o pieniądzach jest już mowa w punkcie 1 — odpowiem: nie szkodzi. Tego nigdy nie za wiele.

Ad 1. Jeżeli pieniądze są — to oczywiście niema o czem mówić. Zwykle ich jednak niema. W przypadku jeśli się nie ma pieniędzy, najlepiej jest kupić na raty samochód lub aeroplan, nie zapłacić I raty, na dalsze wystawić weksle, następnie dać się sfotografować i ogłosić podróż naokoło świata. Jeżeli to wszystko się powiedzie — sprawę można uważać za udaną. Wypada jedynie złożyć pożegnalną wizytę Prezydentowi R. i wyjechać. Za granicą można żyć z odczytów równie łatwo, jak u nas umrzeć.

Drugi sposób podróżowania bez pieniędzy, to kontakt z polską marynarką handlową. Marynarka handlowa jest to taka ziemnowodna instytucja, która na swych statkach przewozi węgiel, trawę morską, fosfaty, tytoń i literatów. Fracht od jednego literata wypada taniej niż od 100 kilogramów węgla. Czasem więc zamiast tych paru wiaderek węgla biorą na pokład literata.



Doki okrętowe.

Tak więc licząc się z tem, że na opłaty tego skromnego frachtu można wygrać w karty w czasie podróży — lub też pożyczyć pieniędzy od marynarzy (osób niezmiernie łatwowiernych) — jest to podróż dostępna dla każdego, kto włada piórem lub pendzlem, kogo w rodzinie potocznie nazywają artystą, lub inaczej nazwańcem.

Te dwa sposoby podróżowania bez pieniędzy oddaję szczodrobliwie do prywatnego użytku chcących korzystać — i to z prawem dalszego rozpowszechnienia, jednak przy podaniu źródła.

Drugim warunkiem podróży jest znajomość języków. Bez tego ani rusz. Trzeba posiadać przynajmniej jeden język. Ja władam biegle po polsku. Inne próby w obcych językach wypadły tak, że w Gdańsku brano mnie za Holendra, w Belgji za Anglika, w Anglji za Gdańszczanina, w Algierze za Hiszpana, w Italji za polskiego fa-

szystę. Pozatem zwykle za Polaka. Nie chciałem więc tych ludzi oszukiwać i mówiłem już po polsku. I szło jakoś.

Ale w każdym razie przynajmniej jeden język trzeba umieć. Choćby polski.

Aby dać dowód, jak prowadzi się taką rozmowę, dam przykład: Na placu św. Marka w Wenecji. Noc. Zdążamy do stacji t. zw. vaporetta tj. parowca, spełniającego funkcje tramwaju. Ja i mój towarzysz chcemy wrócić do hotelu koło stacji kolejowej.

Po drodze nawija się gondoljer. Zaznaczyć trzeba, że gondoljerzy, tak jak i wszyscy ludzie Italji, to wyzyskiwacze. Gondoljer woła:

— Una gondola! Signore!

Przyjaciel mój miał złość do gondoljerów, więc mruczy tylko: krzycz, złodzieju, myślisz że pojadę tym karawanem.

Jednak bierze nas ochota, by tą czarną smukłą łodzią pojechać w rozbłyszczany od świateł kanał, bo niosą się jakieś pieśni i brzęki gitar po lśniącej wodzie. Chcemy w milczeniu sunąć zaułkami kanałów i słuchać żałosnych nawoływań gondoljerów na zakrętach.



Na okręcie „Wisła".

A nasz przewoźnik uparcie powtarza:

— Una gondola — signore!

— Nie wrzeszcz, włoski pomidorze — mruczymy niezdecydowani, a pomidor już szykuje poduszki i przyładza łódź. Więc pytamy ponuro:

— Ile chcesz, kataryniarzu? Starione, ferrovia, guanto costa, wenecki rzezimieszku!

— Dodici!

— Ale, chciał byś! Ninute makaronie.

Odchodzimy na „niby". Włoch drze się i charczy jak lichy głośnik. Spuszcza z tych 12 lirów, przysięga się za każdym razem, że się rujnuje: bancarotta signore, dieci bancarotta, otto ninute?

Przyjaciel mój stęka: ośm mu nie dam ale dam mu sześć i niech go paraliż. Będę się może targował? Pokazuje więc na palcach „sześć" i — jedziemy.

Jak z tych rozmówek wynika, polski język wystarcza w zupełności. Ostatecznie można wziąć rozmówki Ollendorfa. Otworzywszy ten znany podręcznik, można bez trudu powiedzieć takie np. zda-

nie w obcym języku: Czy wuj pana ma piękny, zielony kapelusz, ciotki swego szwagra. Lub: czy młody szwagier twej starej ciotki kupił już 2 parasole twej prababki? Zdania takie są bardzo pożyteczne i często patrzebne.

Tyle co do języka.

Jeśli chodzi o towarzysza podróży, to bierze się go poto, żeby świat nie wydawał się znowuż zanadto piękny. Życie bez cieniów jest jednostajne i nużące. Dopust więc taki jak towarzysza podróży czyli t. zw. przyjaciela znieść należy z pokorą i w milczeniu.

Czwartą rzeczą konieczną w podróży jest aparat fotograficzny — lub przynajmniej skórzany futerał na rzemieniu przez ramię. Inaczej człowieka nie szanują i taniej wszystko liczą. Aparat fotograficzny jest stygmatem, po którym poznaje się cudzoziemca za granicą.



Przy windzie kotwicznej.

O ile więc te cztery rzeczy ma się zapewnione, można wyruszyć. Zaczyna się od wyznaczenia daty wyjazdu. Potem, datę tę zmienia się 5—10 razy. To wszystko dla zmylenia wierzycieli oraz przyjaciół, którzyby chcieli pożegnać się na twój rachunek. Natomiast zaznaczyć wypada, że zupełnie na miejscu jest i w dobrym tonie, jeśli ktoś z przyjaciół wyda kolację pożegnalną i sam za nią zapłaci. Również pięknie wygląda, jeżeli żegnający cię, przyjdą na stację z bukietami kwiatów. Muzyka nie jest konieczna. Wieńców i śpiewów chóralnych należy unikać.

Gdy pociąg ruszy, opada się z westchnieniem ulgi na puduszki przedziału III klasy, rzuca się okiem na półki, by spostrzec, że zapomniało się tego, a wzięło niepotrzebnie to. Po tych pierwszych wzruszeniach, dobrze jest zapytać towarzysza podróży, co ma ze sobą do jedzenia no i zacząć jeść.

Jeżeli jedzie się nocą można rozmawiać (klasa II), śpiewać (klasa III) lub nic nie mówić (klasa I). Podczas jazdy dniem — najlepiej spać. Opis okolic, przez które się przejeżdża, lepiej przeczytać z jakiegoś przewodnika. Aby już dokończyć tej części ogólnej — wypada wspomnieć o pakowaniu.

Odróżnić należy pakowanie przed wyruszeniem w drogę i pakowanie przed powrotem z podróży. W pierwszym wypadku ma

się wiele czasu i można spokojnie obrzęd ten załatwić, rozkładając go na kilka dni. Jest rzeczą jasną, że na 5 minut przed odejściem pociągu, wszystko trzeba przepakować z nagłych a niespodziewanych powodów. Nie jest to zresztą groźne. Przy zastosowaniu tego systemu w ostatniej podróży zapomniałem tylko kołnierzyków i przyborów toaletowych, natomiast niepotrzebnie zapakowałem cudze pończochy, 4 puste flaszki i wojskowy mundur. Jak więc widać jest to sposób niezawodny.

Tu wtrącić muszę uwagę o książkach. Książki w podróży są bardzo pożyteczne. Ładunek ten jeśli nie przekracza 10 kg. i jest równomiernie rozłożony, przyczynia się walnie do dobrego zbalansowania pakunków. Po zajęciu pokoju w hotelu, książki należy koniecznie wypakować i rozłożyć po wszystkich meblach. Również kartki czystego papieru. Wtedy służba mówi szeptem, że to uczony lub literat i wszystko jest w porządku. Przy wybieraniu książek, należy wystrzegać się zabrania książki kucharskiej lub podręcznika o tępieniu moli. Przydać się może natomiast sennik egipski (jeżeli się jedzie do Egiptu) lub książka o sztuce zrobienia majątku, (jeśli się jedzie gdzie indziej).

Całkiem inaczej przedstawia się pakowanie przed powrotem do kraju. Jest rzeczą znamienną i 100%-owo pewną, że objętość pakunków w czasie podróży powiększa się zdecydowanie, czyto przez to, że brudna bielizna z natury rzeczy jest grubsza od czystej, czy też przez zbieranie trofeów myśliwskich i innych. Pozatem działa tu złośliwy los.

Obraz naszej kabiny na statku w wielkiej chwili takiego pakowania przed powrotem wyglądał mniej więcej tak:

Post włoski. Południe. 40° C. Upał. 2 młodzieńców po których ciurkiem spływa pot i czarna rozpacz. Wokół: morze brudnej bielizny, ubrań, butów. Ubijamy walizy. Jęk. Skrzypienie zawiasów. Trzeszczenie skóry. Przerażający nadmiar niezapakowanych rzeczy. Wkładam i wyjmuję z maniackim uporem jedną i tę samą sztukę bielizny około 20 razy, bo z walizki wyrasta góra przedmiotów przerastająca mnie. Szumi mi w głowie. Myślę o samobójstwie.

Teraz: powolne eliminowanie rzeczy, które trzeba zostawić.

— Te buty dam kucharzowi. Ostatecznie obejdę się bez nich.

— Myślisz, że ci kucharz ubierze te dziady?

— A dlaczego? Że tu dziura a tu rozprute. No to co? Cóż to szkodzi. Jeżeli *ja* mogłem?

Odkładamy partję rzeczy i przepakowujemy gruntownie walizy. Okazuje się, że jeszcze mniej rzeczy zmieści się. Lekki rozstrój nerwowy. Przepakowanie Nr. 3. Krawatka na drogę i czapka zapakowana na spodzie. Przepakowanie Nr. 4. 6 marynarzy siada na walizkach. Jęki, sapania, zgrzytania zębami. Groźba pęknięcia zamków i zawiasów. Ra-zem, Ra-zem. Hop-siup!

Zamknięcie, triumf, ręce drżą z nadmiaru szczęścia. Pozostało niezapakowane 4 płaszcze, 3 buty, 1 pantofel, termos, maszynka spirytusowa, szczoteczka do zębów i 36 innych drobiazgów.

— To się weźmie „na rękę" mówimy z rozpaczą. Siedzimy na walizkach i płaczemy cicho.

A teraz trochę na serjo.

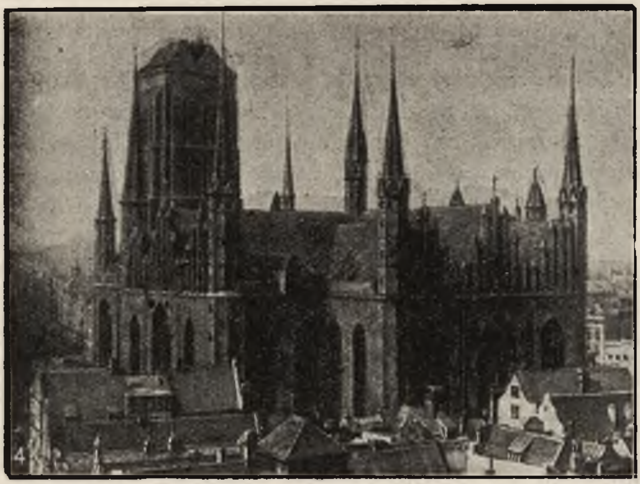
Aby prawdzie stało się zadość, wypada wspomnieć, jaką drogę odbyłem. Droga ta zmierzona na mapach żeglarskich, zamknęła się okrągło w sumie 3000 mil morskich. Mila morska mierzy jak wiadomo 1.8 km. Tak więc można powiedzieć, że zrobiłem 6000 km., — chwała Bogu nie na własnych nogach.

Przyjaciel mój i towarzysz podróży obliczył wprawdzie długość tej drogi na 10.000 km., ale on ma skłonność do przesady i dla ostrożności wolę już przyjąć 6.000. Droga nasza wiodła z Krakowa dookoła Europy i z powrotem. Podzielić ją można na pięć etapów. Pierwszy wiódł z Gdańska przez nasz Bałtyk, obok znanej już naszym wycieczkowiczom wyspy Bornholm, wśród wysp duńskich — następnie przez kanał kiloński (arcydzieło techniki) przecinający nasadę półwyspu duńskiego, — do ujścia Łaby. Tą olbrzymią rzeką, której brzegów nie widać, wypływamy na burzliwe morze Północne, by wzdłuż wybrzeża holenderskiego i częścią belgijskiego zawinąć do Antwerpji. Tu wyładowujemy polski węgiel. II-gi etap dość krótki, — to podróż pustym statkiem z Antwerpji do angielskiego portu węglowego Hartlepool. Tu ładujemy węgiel angielski. III ci etap najdłuższy (byliśmy 9 dni bez przerwy na morzu) a zarazem najciekawszy jako podróż morska — z Hartlepoolu przez pas de Calais, kanał angielski, na Atlantyk. Przy wysepce francuskiej Ouessemt, na wysokości Brestu wchodzimy na zatokę Biskajską. Przeciąwszy zatokę, mijamy Hiszpański przylądek Cap Finisterre, co oznacza wpłynięcie na właściwy Atlantyk.



Gdańsk — Mołtawa.

Płyniemy teraz na południe wzdłuż wybrzeży Portugalji, mijamy przyl. Cap Roca obok Lizbony. Przy Cap St. Vincent, zbaczamy więcej na wschód, by opłynąć południowy cypel Europy Tarifę i przez cieśninę Gibraltarską wejść na morze Śródziemne. Zatrzymujemy się w Algierze. Stąd IV etap podróży krótki lecz przepiękny — przez całe niemal morze Śródziemne, kolebkę najwcześniejszej cywilizacji, obok Balearów, Mallorki, Mekorki, między Sardynją i Korsyką, cieśniną Bonifacio do włoskiego portu Civita Vecchia. V etap to włóczęga po Italji: Rzym, Neapol, Pompeja, Wenecja i powrót koleją przez Austrję i Czechosłowację do kraju.



Gdańsk — Kościół N. P. Marji.

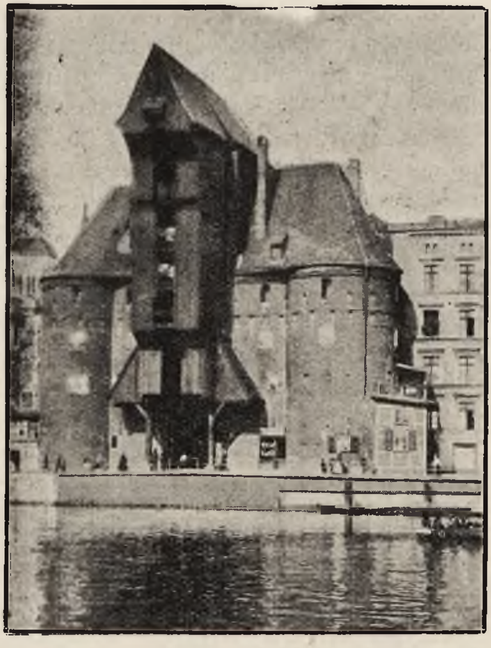
Był to więc spory szmat drogi i sporo ludzi i krajów przewinęło się przed naszemi oczami. Wynika z tego może pewna pobieżność.

Pierwszem zjawiskiem, z którem poznałem się po raz pierwszy poważnie — to morze. Morze we wszystkich gamach i odcieniach. A więc wschody i zachody słońca nie mające równych sobie na lądzie. Lazurowe pogody i mgliste, dżdżyste dni, wiatry i małe burze. Morza mają też swoje odrębności. Inny jest nasz zielonawo-zapieniony Bałtyk, rozbełtany w ciasnych ramach lądu. Inne morze Północne o krótkiej fali, często zamglone, zdradliwe. Zasnuty oparem kanał angielski, przejmuje lękiem. Wielka ilość statków ostrożnie płynie w mgle, bijąc w dzwony, hucząc syrenami, by się nie zderzyć. Inny jest znowuż — szeroki oddech na biskajskiej zatoce, z głębinami, ponad 5 km. Już tu widać Kaszeloty i delfiny, prujące śliskiemi wrzecionami czarnych tułowi — fale. Atlantyk daje poczucie ogromu, olbrzymiego bezkresu, pustyni wodnej przy długiej i kołyszącej fali, ciemno granatowej, niemal czarnej. Wreszcie Śródziemne morze, mare nostrum starożytności, lazur łagodny, o parę tonów ciemniejszy od nieba.

Morze jest piękne w swej wiecznej zmienności.

Podróż odbywałem na polskim statku handlowym „Wisła“ o pojemności 5000 tonn — należącym do przedsięb. Żegluga Polska. Nasz port w Gdyni, polskie statki i polscy marynarze — to trzy dziedziny, z których możemy być dumni. Człowiek się raduje poprostu widząc port, rosnący jak na drożdżach, dużą liczbę statków polskich i obcych stojących przy molach, ruch i pracę, pociągi z węglem, drzewem, zajeżdżające na mola, las olbrzymich żórawi elewatorów i innych urządzeń pracujących z hałasem. Specjalnej dumy nabiera człowiek — gdy stoi na dużym statku czystym, pięknym, wzorowo utrzymanym, trzepoce polska bandera, rozlega się polska komenda. I włóczysz się po obcych krajach, cudzoziemskich portach ze swoimi rodzonymi ludźmi, i widzisz, że ten statek należy do najczystszych i najlepiej utrzymanych. A to jest wiele, bardzo wiele. Statki nasze przewożą głównie węgle i drzewo, wioząc je do portów skandynawskich, niemieckich, angielskich francuskich, włoskich, afrykańskich. Przywożą do kraju nawozy sztuczne, tytoń, morską trawę. Obecnie wielka łuszczarnia ryżu w Gdyni zakupiła własny statek, który będzie woził ryż z Indyj a po przełuskaniu — ryż ten odstawić będzie Anglikom.

Flota nasza nie jest wielka, mamy jednak statki nowe, duże, dobrze wyposażone. „Wisła“, którą odbywałem podróż, jest to statek zbudowany w r. 1928 w angielskiej stoczni, kosztował coś około 10 milj. złotych. „Wisła” zabiera ładunek węgla 5000 tonn. Licząc więc na wagon kolejowy 25 tonn, potrzebować będziemy 200 wagonów węgla do załadowania statku. Jeśli się zważy, że duży pociąg towarowy liczy ok. 40 wagonów, dojdziemy do rezultatu, że „Wisła“ pochłania 5 pociągów węgla. Zauważę przytem, że polski węgiel eksportowy, który wyładowaliśmy w Antwerpji wzbudził zdumienie tamtejszych robotników, nieprzyzwyczajonych do tego, by węgiel był tak starannie wysortowany, i wypłukany dokładnie z pyłu. Węgiel angielski, który ładowaliśmy z Hartle-



Gdańsk — Krantor.

poolu — to złomy, bryły, kawałki, pył i miał, wszystko wymieszane, tak jak z kopalni wychodzi.

Marynarze nasi, to są kochane chłopaki. Mnie jako literata ujęła specjalnie ta okoliczność, że na statku była bibljoteka. Na polskich statkach, proszę państwa, marynarze czytają książki. Czyta kapitan, czytają oficerowie i mechanicy, czyta kucharz i czarny palacz. Są tam wprawdzie ludzie, którzy „drukowanego" nie znoszą — ale nieliczni. Z reguły marzynarze polscy czytają książki. Jeśli weźmie się pod uwagę, że mają 8 godzin pracy na dobę, a to podzielone na 2 wachty, każda po 4 godziny (np. od 12—4 w dzień i od 12—4 w nocy) widać, że niewiele mają czasu na takie kultularne rozrywki. I to są ludzie, których ciągłe przebywanie na morzu i walka z niebezpieczeństwem czyni nad miarę twardymi i uczy ich szanować w pierwszym rzędzie siłę i wytrzymałość. Wachta taka przy mgle czy wietrze, nie mówiąc o sztormach, wśród ciągłego napięcia uwagi i obliczania prądów, przypływów, pilnowania kursu, omijaniu mielizn czy raf, jest pracą ciężką. Zimową porą, przy mrozie i burzach trwających nieraz po 8 dni i więcej, praca taka wyczerpuje, nuży i zbija z nóg. Ale młode to pokolenie, nic sobie z tego nie robi. Młode — bo — jest to pokolenie. Tak marynarze, jak i oficerowie — wychowankowie szkoły morskiej w Tczewie. Nasze młode wilczki morskie. Przechodzili oni nieraz ciężkie koleje nim dobili się do obecnego swego stanowiska, bo w pierwszych latach absolwenci tej szkoły nie mieli poprostu na czem pływać. Opowiadał mi jeden taki kochany porucznik, jak zaokrętował się po raz pierwszy — jako młodszy marynarz. (Nie miał co robić po skończeniu szkoły morskiej, chciał już zostać filozofem). Młody taki elegancik, z rączkami jak panienka, przychodzi na statek. A tu zima, mróz i wiatr jak wszyscy djabli. Kabina sterowa bez dachu na takim starym klekocie. A tu steruj człowieku 4 godziny, albo i sześć (jeśli statek na dwie wachty pływa). Ręce grabieją. Zabijasz jedną ręką a tu ci koło sterowe wyskoczy i trzepnie porządnie. A potem wypoczywaj czy spij w zimnej kajucie. Piec kopci, woda zalewa koje, wilgoć leje się po grodziach. Dosyć rozkoszy jak na 18 letniego szczeniaka. Są to więc ludzie twardzi i na wszystko gotowi.

Wychowankowie szkoły morskiej w Tczewie kończą dwa oddziały: albo nawigacyjny, albo mechaniczny. Z pierwszych wychodzą oficerowie pokładowi, tj. tacy magicy od kompasu, sekstansu, pelengowania, gwizdawki parowej i tym podobnych warjactw, z drugich oficerowie mechanicy, którzy pracują w maszynie, umorusani jak nieboskie stworzenia, przy czarnej i ciężkiej robocie. W miarę czasu służby i pływania, osiągają pierwsi stopnie III, II i wreszcie I czyli starszego oficera wreszcie kapitana. Tu nie koniec, bo jeszcze są stopnie wśród tych stopni, a więc oficerowie żeglugi przybrzeżnej,

bliskiej i dalekiej. Nazwy same się tłumaczą. Mechanicy również przechodzą stopnie od III do I, czyli starszego mechanika, zwanego powszechnie szefem lub inżynierem. Mechanicy żyją w zgodzie z nawigatorami, choć patrzą wzajemnie na siebie z góry. Szef robi tylko raz uprzejmą minę do starszego oficera — a to wtedy gdy kończy się ładowanie statku. Wtedy niedbale prosi go, by ładunek tak rozmieszczono, ażeby statek przechylił się na bok 1—2^0, żeby jemu przez to w maszynie smar sam spływał. Targują się wtedy o te stopnie, bo starszy oficer raz ma w ręku szefa. Pozatem są to osobne państwa. Jest takich panów poza kapitanem na większym statku, jak Wisła — sześciu. Trzech pokładowych i trzech mechaników. To się nazywa pływanie na trzy wachty — jakby nie można powiedzieć po ludzku, żeby każdy zrozumiał: na trzy zmiany. Wbrew bowiem ogólnemu poglądowi — statek w czasie podróży nie zatrzymuje się na noc na kotwicy, gwoli spokojnego odpoczynku — lecz dobę za dobą odwala te swoje marne 10 mil na godzinę, a maszynie nie wolno na moment zatrzywać się.



Wezuwjusz.

Jak wygląda pływanie? Odpowiem dumnie: pływa się zapomocą kursu. Chcesz dostać się z Antwerpji do Hartlepoolu. Kapitan pomyśli, pokalkuluje i wykreśli na mapie linję. To jest kurs. Odchylenie kursu od północy czy innego kierunku świata, nastawia się na kompasie, komenderuje się do maszyny: pełna naprzód i jazda. Można się położyć spać. Za tyle i tyle godzin komenderujesz: Stój! — zarzucasz kotwicę i jesteś w Hartlepoolu. To proste, nieprawda? Nie, szczurze lądowy. Gdybyś tak żeglował, obaczyłbyś nie Hartlepool, ale biegun południowy, albo byś wogóle już nic nie ujrzał w tem tępem życiu. — Kurs kursem, kompas kompasem, a ja pytam: gdzie prąd, gdzie wiatr? Statek nigdy nie trzyma się kursu, znoszony prądem lub spychany wiatrem. I poto jest właśnie oficer, żeby ciągle sprawdzał o ile statek zboczył z kursu i poprawiał ten kurs. Czyni to przy pomocy pelengowania, logu, chronometru, sekstansu lub radja. Tak, a jak chcesz słuchaczu wiedzieć, co to wszystko znaczy, to zapisz się do szkoły morskiej w Tczewie.

Tam przez cztery lata tego uczą, trudno więc, bym ja to w odczycie tłumaczył. Byłaby to nieuczciwa konkurencja. Mimo tego ciężkiego życia, marynarze są to stworzenia o gołębiem sercu. Dowodem tego jest zamiłowanie do roślin i zwierząt. Z roślin wożą oni kaktusy i agawy, a to przeważnie w papierze pod łóżkiem, podobno z tego powodu, że zawsze zapominają w porcie oddać te „krzoki" osobom, dla których wożą je z za mórz. Pozatem moczą różne zioła w spirytusie. Co potem robią nie wiem. Podobno piją to. Możliwe. Ze zwierząt widziałem małpę. Właściciel kochał to stworzenie i zapewniał nas, że małpa jest do niego szalenie przywiązana. Zapewne też dlatego, że była przywiązana do niego, a nie do żelaznego kółka, uciekła w pierwszym porcie. A z tem kochaniem, to było właściwie tak, że bijał ją dosyć mocno nawet ze słusznych zresztą powodów, bo paskudziła niepomiernie i bez żadnego umiarkowania. Drugi hodował z równą miłością żółwie. Ten był jednak więcej przyrodnikiem. Robił doświadczenia, o których tak się wyrażał ten zacny człowiek: — Nic im żryć nie daję od dwóch miesięcy i żyją cholery. Ciekawym czy jeszcze długo wytrzymają.

Wśród załogi prym dzierży bosman. Jest to starszy jegomość z fają. Coś na kształt sierżanta we wojsku. Drugi taki ważny człowiek to cieśla. Nazwa nie odpowiada prawdzie, gdyż cieśla z zasady naprawia zegarki, czasem wprawia szyby a głównie skrzypce i mandoliny. — W wolnych chwilach zalewa szpary smołą. Dalej idzie kucharz, z którego żadna załoga nigdy nie była zadowolna. Jest to więc człowiek z natury rzeczy biedny. Potem steward równocześnie zarządca spiżarni, a więc pół-bóg. Plączą się dalej chłopcy okrętowi, ten narybek marynarski — ofiary wszystkich. No i wreszcie właściwa załoga, podzielona na marynarzy starszych (sterników), młodszych, na smarowników, palaczy i węglarzy. O palaczach wystarczy wspomnieć, że w czasie naszej podróży termometr na pokładzie wskazywał plus 50^0 C. (a podziałkę ma do 110^0 C.) Wystarczy, co?

Wypadałoby jeszcze opowiedzieć o cudownem urządzeniu radja, ale jestem do tych rzeczy niepomiernie tępy. Zapewniam więc tylko że jest wspaniałe. Klarowali mi tam wiele razy, udawałem, że rozumiem, ale nic nie rozumiałem. A z tym sygnałem S. O. S. i romantyzmem przywiązanym do ratowania tonących, to jest wielka bujda i tyle. Jak statek tonie i daje w czasie burzy sygnał S. O. S. wtedy statki które sygnał otrzymały, naradzają się: — kto bliżej, komu sposobniej. A są tacy, co zawodowo jadą na ratunek i blagują nawet przez radjo, że są bliżej tonącego, niż w rzeczywistości. A wszystko dlatego, że za wyratowanie statku — otrzymuje się grube wynagrodzenie w wysokości trzech czwartych wartości statku z ładunkiem. Jest to więc czysto parę miljoników. Zarabia na tem kapitan, załoga i amatorzy.

W Antwerpji, którąśmy pierwszą zwiedzali, znalazła pomieszczenie część międzynarodowej wystawy, zorganizowanej z powodu 100-lecia istnienia państwa belgijskiego. Wystawa w Antwerpji mieściła dział morski, kolonjalny i sztuki flamandzkiej. Wejście na wystawę pomyślane jako olbrzymi, arkadowy łuk nosi daty 1830—1930. Symbol stulecia państwa, wyrażono pozatem posągami 3-ch królów belgijskich: dwu Leopoldów i Aberta. Jakże młode to państwo w porównaniu z nami. Rok 1830 przypomina nam Polakom, setną rocznicę jednego z naszych powstań. Z drugiej strony, na tej wystawie zobaczyć można było co znaczy sto lat spokojnego i niezależnego bytu politycznego. Jeśli chodzi o ekspanzję kolonjalną Belgów, to zrobili oni niesłychanie wiele w Kongo. Jeżeli się przytem znowuż porówna 10 zaledwie lat naszej nowej państwowości, trzeba przyznać, że zrobiliśmy wiele i skromny powilon polski na tej wystawie spełnia swe zadanie. Wystawiono w tym pawilonie duży, plastyczny model portu w Gdyni, modele naszych statków i szereg tablic statystycznych, ilustrujących możliwości gospodarcze Polski. Wielu cudzoziemców zapewne po raz pierwszy dowiedziało się, że Polska wybudowała już swój — nowocześnie urządzony port, za którym leży duży i bogaty kraj — i że ma własną flotę handlową. Jak na 10 powojennych, chudych lat — doprawdy to jest wiele.



Biskra — Rodzina tunetańska.

Przy sposobności napomnę tu, że wiadomości wszystkich niemal cudzoziemców o naszym kraju są kompromitująco znikome. Nie tyczy to tylko znajomości Polski. Cudzoziemcy, proszę państwa — powiedzmy poprostu — są bardzo słabo wykształceni. (Mówię tu o przeciętnym inteligencie). Zaręczam, że wiadomości z geografji, historji, literatury i innych nauk — naszego gimnazjalisty, przerastają o niebo całą wiedzę dorosłęgo człowieka za granicą.

Wracając do wystawy i polskiego pawilonu — uważam za bardzo dobry pomysł wystawienie starych autentycznych map, z których każdy ujrzeć może wielką Polskę przedrozbiorową, z wolnym

dostępem do morza. Równie szczęśliwy był pomysł wywieszenia tablicy z nozwiskami uczonych odkrywców podróżników i żeglarzy Polaków od Jana z Kolna począwszy aż do Ossendowskiego i innych współczesnych. Mało kto pamięta np. o tem, że generał konfederacji barskiej, awanturnik w wielkim stylu — Beniowski — skolonizował francuski Madagaskar.

Obok pawilonu polskiego — stoi pawilon gdański, przyczem zaznaczono łączność historyczną i gospodarczą wolnego miasta z Polską.

Jeśli się wystawę w Antwerpji porówna z naszą wystawą poznańską, przyznać trzeba, że antwerpska imponuje ogromem i bogactwem, już z racji swego międzynarodowego charakteru. Nie jest jednak od poznańskiej wiele większa a w każdym razie znacznie brudniejsza, tak zresztą jak Antwerpja, Belgja i inne kraje, które zwiedzałem. Osławiony nieporządek polski — należy do bajek — proszę państwa. Jeżeli jeszcze parę lat popracujemy w tym kierunku, sądzę że dorównamy najczystszym krajom Europy, któremi są Danja, kraje Skandynawskie i może Niemcy. Trzeba tylko pamiętać, że czystość zależy mniej od tych co sprzątają, a znacznie więcej od tych co śmiecą.



Tanger — Wielki meczet.

Oczywiście wszystkie państwa biorące udział w wystawie wysadziły się jedno nad drugie. Wynikło z tego pomieszanie stylów architektonicznych — gdyż kraje północne dały pawilony w stylu nawskróś nowoczesnym, podczas gdy inne prześcigały się w bogactwie ozdób i ciężkim, pompatycznym stylu. Wystawa poznańska była pod tym względem lepiej udana. Najobszerniejsze pawilony, to miasta Antwerpji oraz belgijski czyli raczej Konga belg., gdyż chodzi tu o gospodarkę kolonjalną. Zilustrowano tam w dosyć naiwny zresztą sposób rozwój kolonji pod belg. panowaniem. Starano się przytem podkreślić humanitarny i cywilizacyjny charakter tej polityki, oraz działalność misyjną i wychowawczą zakonów, oraz katolickiego duchowieństwa belgijskiego.

Anglicy przypuszczam zużyli tu materjał z niedawnej wystawy w Wembley. Pawilon imponuje. Potęga morska i kolonjalna W. Brytanji podana jest aż za wyraźnie.

Równie impunujący i bardzo piękny jest pawilon faszystowskiej Italji. Marmury, kolumny, złocenia bardzo artystycznie skomponowane składają się na całość mającą świadczyć o potędze odrodzonych Włoch. Pawilon ten, to dzisiejsza faszystowska Italja pod hasłem: „Il re e il duce", dumna i chcąca się pokazać. Pokazuje więc swą wojenną flotę bez ogródek, przemysł, kolonje. Zdumiewa olbrzymia ilość eksponatów, przewiezionych na tę odległość tylko dla propagandy.

Bardzo oryginalny jest pawilon holenderski zwłaszcza dla nowoczesnego przemysłu artystycznego, oraz pawilony egzotyczne, Japonji, Persji i t. p. Najsprytniej urządzili się Niemcy. Oficjalnie na wystawie nie występują. Jest natomiast pawilon Hansy t. j. tworu mającego jedynie przeszłość histor. — nie istniejącego dzisiaj faktycznie, reprazentowanego przez 3 miasta Hamburg, Bremę i Lubekę. Pod tą więc firmą, powiedziałbym pod płaszczykiem pacyficznym, występują dzisiejsze Niemcy, pragnące pokazać światu, że pracują tylko dla pokoju. Dają więc imponujące modele statków niemieckiego Lloydu między innemi takich kolosów jak: Europa i Bremen, wraz z całym luksusem, salami balowemi, pływalniami. Pokazują dalej swą działalność w dziedzinach ratownictwa morskiego, zwalczania chorób kolonjalnych i t. p.



Zakątek w Tangarze.

Oczywiście za mądrzy byli, by pokazać pancernik A. Za mądrzy by pokazać coś w guście imperjalizmu angielskiego. O tem cicho. Są to Niemcy w owczej skórze.

Po pobycie w Antwerpji, zawinęliśmy do Anglji. Miałem sposobność poznać angielskie miasta portowe, ogromnie postępowe, asfaltowane, z cudownemi autobusami, tramwajami, parkami. Niezmiernie wszystko mocne, solidne — a przytem beznadziejnie jedno-

stajne, aż nużące. Ulica angielska poza centrum, przedstawia dwa, nieskończenie długie rzędy 1-o piętrowych domów, z których jeden podobny do drugiego, jak dwie krople wody, od komina do klamki. Jeżeli w jednem oknie ujrzy się drewniany postumencik a na nim kwiat w wazie— można być pewnym, że w sześćdziesięciu dalszych domach ujrzy się ten sam postumencik, z tym samym wazonikiem i takim samym kwiatkiem. Pod tą nudą rozpościera się mdły zapach ryb suszonych, smażonych i gotowanych na jakimś fatalnym tłuszczu.



Fez — Podwórzec meczetu.

U siebie Anglicy są bardzo grzeczni i mili. Jakkolwiek faktem jest, że policjant angielski za swą uprzejmość chętnie weźmie napiwek a czasem nawet go zażąda, — to jednak ogólna uprzejmość i uśmiech na ustach są powszechne. Jest w tem może trochę kupieckiej uprzejmości.

A kupcy doprowadzają tę grzeczność do przesady. Jeżeliś wszedł do sklepu, kupiec dziękuje ci, żeś do niego właśnie wstąpił, gdy wybierasz towar, dziękuje ci po raz drugi. Trzeci raz przy odbieraniu pieniędzy. Czwarty przy wydaniu reszty. Przy pakowaniu towaru mała rozmówka o pogodzie (dziwnie zresztą paskudnej). Potem: uśmiech, 2 ukłony, wręczenie pakunku, 4 ukłony i thank you. Przy opuszczeniu sklepu 2 uśmiechy, chóralne thank you i zapewnienie o dozgonnym szacunku. To thank you lub krótko thanks jest nadużywane tak jak drugie magiczne powiedzenie: all light. Może ono oznaczać poprostu: dobrze, zgadzam się, albo wolę tamto, nie życzę sobie, będziemy się bić.

Charakterystyczne dla Anglików są magazyny, zwłaszcza w sobotę. Odbywa się wtedy jakiś rodzinny obrządek zakupów, a więc papa, mama i baby na ręku lub wózku. Powodzeniem cieszą się Six pens mag. — tj. takie, gdzie każdy przedmiot kosztuje 6 p., nie więcej. Można więc za 6 p. dostać jedną skarpetkę, pół zelówki, płytę gramofonową, mydło do golenia, szelki i wiele innych rzeczy.

Naturalnie także porcję ice creamu: angielskich małych lodów. Tak więc gramofon gra, ludzie się tłoczą z tępemi minami i oblizują z łakomstwem swe porcje ice creamu. Dziwić może ta zachłanność na lody przy podłej aurze i stałem zimnie.

Druga taka niemiła rzecz, to angielskie pieniądze. Pamiętaj człowieku wychowany na prawowitym decymalnym systemie, że funt szterling ma aż 20 szylingów, a tenże szyling tylko 12 p. A jeszcze gwineje, a korony a pół pensy. Nasze poczciwe złote były tu dość egzotycznym pieniądzem. Urzędnik w banku długo oglądał je pod światło, poczem z uśmiechem zapytał, czy to duńskie pieniądze. Potem powiedział trzy razy thank you, dwa razy all right — z czego widać było, że nie wie absolutnie co począć. Potem pół godziny szukał w tabeli, drugie pół godziny liczył na papierku. Wkońcu i dobrze wyliczył. Uśmiechnęliśmy się do siebie wzajemnie, podziękowali, obaj mruknęliśmy all right i rozstaliśmy się w najlepszej komitywie.



Biskra — Karawana na pustyni.

Przyjemność Anglików wyczerpują poza opisanemi magazynami — kina. Lokal obszerny, nadzwyczaj wygodnie urządzony, bardzo tani. Filmy wyłącznie mówione w 100%. Ponieważ w kinach wolno palić, więc tłum rozmarzonych Anglików sapie, pali papierosy i fajki, spluwa. Filmy angielskie są beznadziejnie głupie i niemniej sentymentalne. Najgłupszy dowcip, po którym u nas nie roześmieje się najmniej wymagający — tam wywołuje szalone ukontentowanie. Tłum mlaska z zachwytu, tupie i ryczy. Gdy tak w smutnym ducha nastroju siedziałem w kinie — towarzysz mój mówi: Wiesz co, śmiejmy się chyba: Nie wypada tak kołkiem siedzieć, i nic. I zaczął porykiwać śmiechem, tak, że ja zacząłem się śmiać z niego, potem on ze mnie i tak już rżeliśmy do końca przedstawienia. Po skończonym programie ukazuje się na ekranie portret króla jegomości, muzyka gra hymn narodowy, wszyscy wstają i następnie ogromnie zadowoleni idą do domów.

Zupełnie charakterystycznem zjawiskiem jest park miejski, osobliwością trawniki, po których wolno chodzić czy biegać. Trawniki te przypominają najpiękniejsze, i idealnie równo strzyżone dywany, aksamitnie miękkie, niziutko przycięte. Na takim trawniku w niedzielę ojcowie miasta toczą z niesłychaną powagą duże czarne kule, dokonując tak obrzędowej ceremonji jakiejś gry sportowej. Tu gra się w tennis i wszystkie możliwe gry, tu się kopie, rzuca, łapie, biega.



Fez — Bazar.

Zamiłowanie do sportu jest prawdziwe, odziedziczone i siedzi mocno we krwi. Młoda dziewczyna pędzi na rowerze po gładkim asfalcie z rakietą pod pachą. Małe pędraki tłuką palanta, choć nie mogą udźwignąć maczugi.

Równie charakterystycznem miejscem dla Anglika jest bar. Sprzedaje się tam wódkę, piwo, papierosy i poza tem obsolutnie nic. Uczęszczają tu sami mężczyźni i to wyłącznie starsi. Palą fajki, piją i grają w domino. W rezultacie Anglicy robią wrażenie nienajgorsze.

Nie można się dziwić, że człowieka podróżującego, który ujrzy z pokładu afrykański brzeg, ogarnia pewne podniecenie. Gdyśmy afrykański kontynent ujrzeli, była silna mgła i kontury atlasu rysowały się blado. Tem więcej tajemniczo to wyglądało. Staliśmy z lornetkami, obserwując przesuwające się wierzchołki. Zdawało nam się, że powietrze i mgła mają jakieś swoiste, odrębne ciepło i pachną egzotycznie bananami i pieprzem. Coraz wyraźniej widniały żółte skały zatoki, wysokie czuby gór, szałasy Arabów-koczowników. Odkrywa się wreszcie niespodzianie zatoka, do której zmierzamy, gdzie położony port i miasto Oran. Osobliwe wrażenie sprawia to miasto, rozsiadłe na górzystym brzegu, ukazujące się w Kondygnacjach położonych nad sobą budynków, żółtych, prostych, bez otoczenia zieleni. Czuć brak świeżości, upał, gorąc, rozprażone kamienie. Bielszy od innych budynków lśni w słońcu jak obły słupek kredy — meczet. Opodal

wznosi się wysoka góra Santa Cruz, panująca nad Oranem, na niej kaplica ze smukłą wieżą oraz przysadziste ruiny hiszpańskiej twierdzy. Na wzgórzu obok fort, z którego powiewa trzykolorowy sztandar francuski.

Rzeczy te mają poniekąd symboliczne znaczenie. Oran bowiem będąc dziś miastem, położonem w francuskiej kolonji Algerji, założony został w r. 902 przez hiszpańskich żeglarzy. Przechodził potem różne koleje, uległ zniszczeniu w czasie trzęsienia ziemi, wreszcie w r. 1831 zajęty został przez wojska francuskie. Francuzi zajęli Algerję po Arabach, ci zaś po przerwie po Rzymianach. Ślady rzymskiej cywilizacji jak np. wielkiej rzymskiej Kolonji Hadrumetum, na której gruzach stoi dziś portowe miasto Luza— są też dosyć liczne.



Plac św. Piotra w Rzymie, widok z kopuły kościoła św. Piotra.

Odkopane ruiny rzymskich miast Timgary i Diemili, nie ustępują w niczem wykopaliskom pompejańskim. Na gruzach rzymskich i fenickich osad (Kartagina) po Wandalach, osiedli Arabowie, którzy z miast tych uczynili gniazda piratów morskich.

Tak więc ludność Algerji wykazuje dziś bardzo niewielki odsetek francuzów. Poza tubylcami, duża ilość Hiszpanów. Algerja jest dzisiaj zasobnym spichrzem Francji, konkurującym nawet z metropolją. Francja posiada w tej części Afryki dolne kolonje: Tunis, graniczący z włoskim Trypolisem i Marokko. Tunis jest gęsto zamieszkany przez kolonistów włoskich i Italja dość energicznie upomina się o rozszerzenie granic swych posiadłości. Marokko przedstawia obszar słabo jeszcze skolonizowany i tem może ciekawszy dla turysty, gdyż nie starto jeszcze egzotycznego piętna tego kraju, zaludnionego przez najczyściej zachowaną ludność tubylczą. Ludność ta to chamici zmieszani z arabskimi semitami i często domieszką krwi murzyńskiej. W miarę tego spotyka się najróżniejsze typy.

Algerja jest zupełnie ucywilizowana a miasta jej są podobne do wszystkich miast europejskich. Jedynie arabska dzielnica mówi coś o egzotyźmie. Alger będący stolicą tej kolonji liczy 300.000 mie-

szkańców. Miasto to duże i piękne, powszechnie zwane białem miastem. Wszędzie oczywiście widać europejski komfort a nawet zbytek, zwłaszcza w miejscowościach klimatycznych, gdzie zjeżdżają bogaci ludzie z całego świata.

Oran liczy 118.000 mieszkańców. Port jest żmudnem dziełem rąk ludzkich, gdyż naturalnych warunków nie ma. Musiano wydrzeć dużo ziemi, dużo zbudować, by powstać mogła bezpieczna przystań. Port jest nieduży jednak ruchliwy.

Zaledwie statek wejdzie do portu, jeszcze przed rzuceniem kotwicy otacza go tłum łodzi. Handlarze ryb, owoców, tkanin, perfum drą się jak opętani, wdrapują na statek, szukając zarobku. Ruch w mieście b. duży, bo to właśnie wystawa z okazji 100-lecia panowania Francji w Algerji. Moc wojska kolonjalnego przewija się po ulicach. To legja cudzoziemska, to jakaś piechota kolonjalna w białych hełmach, inna znowuż w hełmach koloru khaki, tu marynarze z floty wojennej w letnich mundurach i białych czapkach z czerwonemi pomponami, tam kawalerja z tubylców złożona, w świecących butach z ostrogami, w obszernych szarawarach i wysokich turbanach, zasadzonych na tył głowy. Roją się tłumy Europejczyków i Europejek modnie ubranych. Arabowie i Kabyle w najróżniejszem odzieniu. Na głowach fezy i turbany białe lub kolorowe, w najprzemyślniejszy sposób wiązane — wreszcie wysokie słomiane kapelusze, ubierane na głowy, owinięte chustkami. Biedota portowa pracuje przy ładowaniu w zwyczajnych obdartych łachmanach i tylko fez lub turban wyróżnia kolorowego nędzarza. Poważnie kroczą bogaci arabscy kupcy, w europejskich garniturach, których krój zmieniono tylko przez bufiastość spodni. Ci siedzą swobodnie w pierwszorzędnych kawiarniach, pijąc ze smakiem francuski aperitif. Kobiety idą wolno ulicami, ukazując z pod białej powłoczystej odzieży pięty farbowane henną, miękkie sandały i pozatem jedno oko z pod zasłony okrywającej szczelnie głowę i połowę twarzy. Swoją drogą tem jednem okiem zerkają dosyć bystro na przechod-



Pompeja — Rynek odkopany.

niów. Oryginalny jest ten melanż ras, wśród którego wyróżnić można jeszcze Żydów i Hiszpanów a zwłaszcza Hiszpanki, ciemno odziane o pięknych twarzach, czarnych włosach i dziwnie smutnych oczach.

Miasto nie grzeszy pięknością architektury. Budynki reprezentacyjne są szablonowe, arabskie domy też nie są ciekawe. Pozostają jedynie meczety. Domy przez Arabów zamieszkane poznać można po odbiciu ręki na ścianie obok wejścia. Jest to rodzaj amuletu, znak mający przynieść szczęście, zwany fatmą, noszony pozatem w postaci breloków i biżuterji.



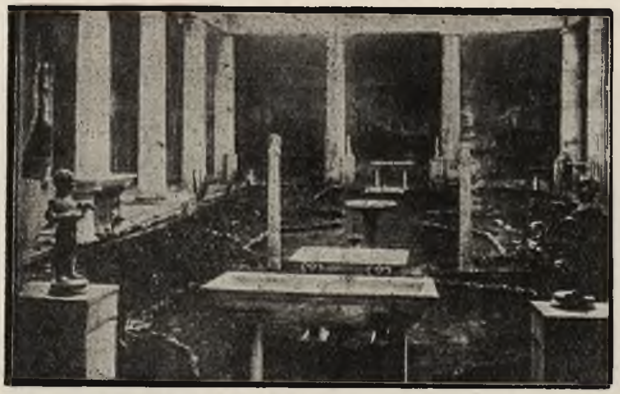
Pompeja — Ruiny.

Dużo widzi się kolorowych inwalidów ostatniej wojny, bez nóg, z piersią obwieszoną medalami. Nasunąwszy nabakier fez, z dumą wystawiają na pokaz swoje kalectwo, zdobyte w walce za swych białych panów. Siedzi w kawiarniach i barach cała ta ludność przemięszana dokładnie. Jakiś zawiany Arab stroi do nas dziwne grymasy, szczerzy zęby i bełkoce coś, wytrzeszczając czarne oczy o przekrwionych białkach. Częstujemy go papierosem, co wprawia go w przekonanie, że zrozumieliśmy jego przemówienie i w najlepszej zgodzie rozstajemy się.

W Italji zwiedziliśmy Rzym, Neapol i Wenecję. Rzym jest niezmiernie ciekawy, jako obraz czterech epok kulturalnych, przerastających się wzajemnie. Rzym starożytny, średniowieczny, renesansowy i współczesny, oto te wyraźne całkiem oblicza olbrzymich epok. Ruiny antyczne są tak tragicznie zniszczone, z takim wandalizmem okaleczone, że jedynie rozległość ich imponująca i wymiary przerastające nasze pojęcia, dają świadectwo wielkiej przeszłości. Są to Colosseum, Palatyn, pałace cesarskie.

Równie ciekawe są zabytki starochrześcijańskie. Niezapominane są wrażenia z katakumb, gdzie na ścianach podziemnych chodników widnieją napisy niewprawną wyryte ręką. Zwyczajnie wezwanie o opiekę do świętych Apostołów Piotra i Pawła. Dla chrześcijanina ma to osobliwe znaczenie. To samo odnosi się do więzienia Mamertyńskiego, do kapliczki Quo vadis, opromienionej świętą

legendą. Średniowiecze sterczy w postaci baszt, twierdz nad tym szlachetnym antykiem — jak złodziej. Jak rzezimieszek nad trupem. Rabowano bo wtedy bez litości całe bloki, kolumny, by je wmurować w nowe budowle. To samo działo się w czasach odrodzenia. Są pałace w Wenecji, zbudowane niemal w całości, ze starożytnych marmurów. Kultura współczesna o ile znajduje się w sąsiedzwie antyku,— razi, jak np. gigantyczny i pretensjonalny pomnik Wiktora Emanuela ze złoconemi figurami i prostackiem bogactwem.



Pompeja — Dom rzymski odkopany.

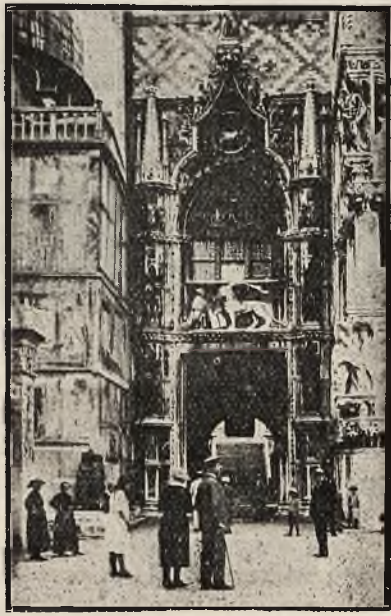
Zabytkiem równie potężnym jak Colosseum jest kościół św Piotra. Widzi się tu majestat i potęgę katolickiego Kościoła. Watykan, to jedno z największych muzeów świata. Są tam nieprzebrane skarby sztuki tak zmasowane, że trudno mówić o jakiemś wrażeniu. Za wiele tego. Dla Polaka miłą niespodzianką jest Jan III pod Wiedniem Matejki, wiszący w osobnej sali.

Drugie takie olbrzymie muzeum to: Museo Razionale w Neapolu. Specjalnie interesujące są wykopaliska pompejańskie, tu przechowywane. Przeniesiono tu całe ściany z najpiękniejszemi malowidłami — posadzki z zadziwiającemi mozajkami jak słynna mozajka z Aleksandrem. Cóż więcej jest w Neapolu? Akwarjum morskie, zamek św. Elma, Castello del'oro, Wezuwjusz i bardzo ważne: czyściciele butów w galerji Umberta. Mówię poważnie: warto jechać do Neapolu, żeby dać sobie raz w życiu porządnie wyczyścić buty. Są to artyści. Pompeji warto zwiedzić. Ma się tak dokładny obraz życia antycznego, że trudno lepiej to sobie wyobrazić. Miasto zostało zalane lawą przy zupełnie nieoczekiwanym wybuchu. Jak wiadomo Wezuwjusz był długi czas zupełnie nieczynny, tak że uważano go za zwyczajną górę, a w dzisiejszym kraterze pasły się kozy. Przez to w wykopaliskach znajduje się życie przychwycone na gorącym uczynku w najmniejszych drobiazgach. Ta, powiedziałbym literackość, ma swój osobliwy urok. Przy zwiedzaniu dowiadujemy się, że jesteśmy w willi tragicznego poety, lub sławnego aktora. Czy to nie piękne? Z większym sentymentem patrzymy na dość dobrze zachowane ruiny

świątyń, domów, kasarń gladjatorów, teatrów, cyrku, łaźni, sklepów, piekarń.

Wenecja to plac św. Marka, pałac dożów i kanał. To jest za piękne by można opisać. Niema nic piękniejszego na świecie.

Jeśli się chce poznać Włochów, trzeba zwiedzić małe miasteczko. W takiej małej włoskiej dziurze, czuje się dopiero i widzi prawdziwą Italję. Swoiste zaułki kręte i wąskie jak wąwozy, połączone sznurkami bielizny, maleńkie balkoniki z całemi ogrodami zieleni, od czasu do czasu jakiś szlachetny kształt architektoniczny, kościół, ratusz czy twierdza, której autorem ukazuje się sam Michał Anioł. Chłodne trattorje, przygodne koncerty na ulicach, co krok obraz madonny z lampką, miłe placyki z parasolami kawiarń, owoce, ryby, jarzyny, wszystko to utopione w słońcu. Wieczorem celebruje pompatyczne korso, a jak przyjdzie jakaś uroczystość, zwłaszcza kościelna, nie obejdzie się bez muzyki, iluminacji i ogólnej zabawy. Mają Włosi zamiłowanie do wystawności i teatralnego przepychu. Zwykły łazik wetknie przynajmniej różę za ucho albo opasze kapelusz jakąś kolorową wstążką. A cóż dopiero wojskowi, żandarmi, policjanci, karabinierzy, celnicy — nieraz w operetkowych mundurach. Mimo to wszystko, jest to miłe i sympatyczne, bo czuje się w tem bujność narodu o prastarej kulturze. Jakże odmienna jest to skłonność do kolorowości — od zamiłowania do przepychu ludów Wschodu.

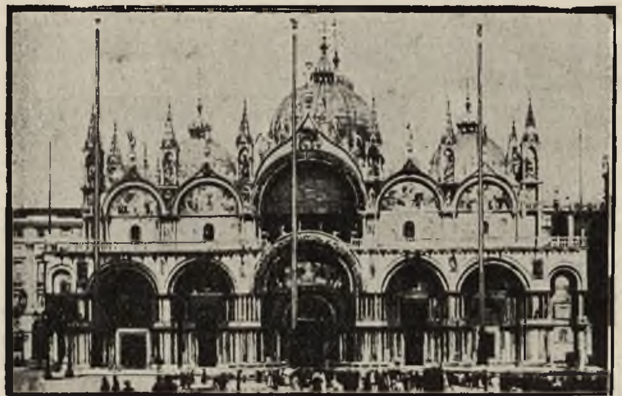


Wenecja: Brama Della Carta.

Jedno tylko Włochom zarzucić trzeba, zwłaszcza ludziom interesu: hotelarzom, kelnerom, dorożkarzom. Są nieuczciwi, starają się oszukać każdego. Pozatem dużo widzi się żebractwa lub przynajmniej obrzydliwego natręctwa w ofiarowaniu usług. Na dłuższą metę atmosfera tego ciągłego wyzysku i nahalności nuży i nie przesadzę, jeśli powiem, że opuszczałem Italję mimo całego jej piękna, z westchnieniem ulgi.

Tak więc wkońcu nasyciwszy się tą antykwarnią i starzyzną włoską ruszyliśmy w powrotną drogę. Umęczeni łażeniem po starych placach i pałacach odpoczywaliśmy trochę, patrząc z okien wa-

gonu, pnącego się mozolnie pod górę — na dolinę historycznego dziś Tagliamento. Później przez przepiękny austr. Semering, następnie Wiedeń, Czechosłowację i już powitał nas na granicy polski celnik. Z tej całej bezładnej trochę podróży, wróciliśmy przeładowani wrażeniami. Mając sposobność ciągłego porównywania naszych stosunków i ludzi z różnemi krajami i narodami, nauczyliśmy się poważnie cenić nasz kraj i nasz naród.



Wenecja — Kościół św. Piotra

Niema lepszej szkoły dla dobrego obywatela, jak wyjazd za granicę. Życzyćby sobie należało, by jak najwięcej ludzi, zwłaszcza młodzieży wyjeżdżało w obce kraje. Tam można się uczyć szanować swoją ojczyznę i kochać ją. Nie rzucam tych słów na wiatr, i ponoszę za nie całkowitą odpwiedzialność. Wierzę, że zmalałaby wtedy liczba malkontentów.

W każdym razie dziś wiem co sądzić o człowieku, który krzywi się na ten „bałagan u nas" i powiada: „bo to panie tam na Zachodzie całkiem inaczej". Wiem jedno: na pewno nie był za granicami Polski, a jeśli był, to nie ma oczu lub dolega mu wątroba a na to nie ma rady. Tych śledzienników trzeba tępić a nam iść z wiarą w przyszłość i kształcić w sobie dumę, że należymy do wielkiego, 30 milj. narodu — który ma piękną historję za sobą. Tę historję znać — poto by wykuwać z niej dzień powszedni dzisiejszej Polski — dzień pracowity, uczciwy i moralny, oto nasza droga.

Zbytnio moralizatorsko wypadło mi zakończenie, ale wierzcie państwo, to są właściwe i prawdziwe refleksje z mej podróży. Kończę wezwaniem:

Jedźcie za granicę i bądźcie Polakami! I powtarzam za poetą: bo Polska — to jest wielka rzecz.

Tadeusz Kudliński.

Z torpedowcami na Bałtyku.

Trzy polskie torpedowce stojąc na kotwicy, kołyszą się lekko u brzegów wielkiej, znanej w dziejach Hanzy wyspy.

Ciepłe popołudniowe słońce kładzie na nich swe blaski. Mienią się w nich mosiężne głowice kompasów — jedyne na okręcie błyszczące przedmioty. Rzekłbyś kilka mniejszych słońc wysłanych przez tamto z góry.

Długa, martwa, błękitna fala leniwie posuwa się do zielonego brzegu. Na torpedowcach wszystko śpi, zmęczone 24-ro godzinnym rejsem. Tylko z „Podhalanina" wciąż dochodzą czarowne tony tanga. To jeden z młodych oficerów przy akompanjamencie gramofonu gra na pile, wabiąc miejscowe syreny.

Te nie ukazują się jednak, snać onieśmielone taką masą sprzętu wojennego i marynarzy. Wzamian od „Podhalanina" odbija szalupa naszego dowódcy.

— Stop!

Rączo pchana trzema parami wioseł szalupa przybija do burty „Ślązaka". Sześciu pół nagich efebów podnosi w górę „pióra" i komandor lekko skacze na pokład. Oficerowie witają go, jak należy, u schodni. Odprawa skończona. O szóstej odpływamy.

Zaraz po odkotwiczeniu schodzę do maszyn i kotłowni. Pisarze i literaci uczynili z tych miejsc piekło dantejskie. A tymczasem na nowożytnym okręcie całkiem tak nie jest.

Wyobraźnia wasza widzi już nagich usmolonych palaczy, ociekających potem i miotających szufle węgla w zionące żarem palenisko. Pójdźcie ze mną, a przekonacie się, jak jest naprawdę.

Otwieram luk pokładowy i po prostopadłej żelaznej drabinie schodzę w dół okrętu. Chwilę borykam się ze stalowemi drzwiczkami, których pęd powietrza nie pozwala mi otworzyć. Wreszcie wchodzę.

Uderzenie wiatru, niczem początek huraganu. Zdziwicie się. W kotłowni jest niemal chłodno. Potężny wentylator rotacyjny brasuje powietrze tak zawzięcie, że niemal urywa głowę.

Czy widzieliście kiedy w Luna-Parku przyrząd zwany djabelskim mostem? Pod azurowym chodnikiem umieszczony jest wentylator. W momencie kiedy zwiedzające osoby, płci niesłusznie słabszą zwanej, znajdują się nad dobrze zamaskowanym otworem, chwyta je pęd powietrza. Oczywiście sukienki lecą w górę nakształt wywróconych wiatrem parasoli. A że dzisiejsza moda jest, jak to powiedzieć... trochę swobodna, więc ostrzegam nasze panie i panienki przed zwiedzaniem kotłowni. Brać marynarska lubi bowiem, powiedziawszy stylem pana Zagłoby, „ucieszne widoki".

Obaj palacze w zwykłych drelichowych ubraniach pracują na stanowiskach. Bez szufli, bez węgla. Jeden przez niebieski wziernik bada stan paleniska, uważa na manometry, i kręcąc dwoma maleńkiemi kółkami reguluje dopływ ropy. Ta wyrzucana pod ciśnieniem z sześciu dysz, tryska jasnym płomieniem wgłąb kotła. Drugi palacz obsługuje przyrządy pomocnicze. I on ma niewiele do roboty. Trzeba tylko wprawy i umiejętności, bo ropa bywa czasem niebezpieczna. Ale wysiłek sprowadzony jest do minimum.

Nieco mniej przyjemnie jest w maszynie. Niema tam korb, tłoków, stalowych balansierów, przedpotopowych oliwiarek, pękatych cylindrów. Dwie turbiny po 3000 koni każda, chwytają idącą z kotłów parę i zamieniają ją na energję popędową. Mimo wentylacji ciśnienie wynosi pół atmosfery ponad normę, a termometr wskazuje 42^0. Kierownik maszyn, stary praktyk pamiętający jeszcze dawne czasy marynarki podwójnego imperjum czyni honory swego państwa. Zna się na turbinach lepiej niż niejeden dyplomowany inżynier. Jest z nich dumny.

— „Nasz kierownik", — mówią o nim na „Ślązaku" — tak jak mówi się „nasz Mickiewicz", lub „nasz Kopernik".

Przy lewej turbinie, oparty o koło regulatora stoi młody podchorąży, — inżynier absolwent politechniki warszawskiej. Oko i ucho czujne. 30 manometrów, indykatorów, liczników, trzy tarcze telegrafu maszynowego, — to nie przelewki. Trzeba uważać. Co chwila rozlega się głos dzwonka z mostku kapitańskiego: — „10 mniej", „10 więcej". Inżynier-podchorąży spokojnie porusza kołem, nadając żądaną ilość obrotów. I posłuszny jego dłoni „Ślązak" mknie rączo w ciemną głąb nocy.

Rankiem budzi mnie ryk syreny. Pewno mgła. Jednocześnie ktoś delikatnie trąca mnie w ramię. To wachtowy melduje, że piąta godzina.

Wychodzę na mostek. Dzień jasny, ale mgła spowija bladoniebieskie fale Bałtyku. Słońce nie ma siły jej przebić i żarzy się jak za muślinową kurtyną. Cóż to jednak? Czyżbym spał tak twardo, że w nocy przesadzono mnie ze „Ślązaka" na „Podhalanina", a ja tego nie zauważyłem?

Nie. To torpedowce zmieniły szyk. „Ślązak" idzie pierwszy. Za nim „Krakowiak", „Podhalanin" zamyka kolumnę. Coraz przesłaniają go kłęby mgły.

— Kula na pół!

Czarne kule sygnałowe zawisają w pół masztu. Jednocześnie rozlega się dźwięk telegrafu maszynowego. Okręty zwalniają biegu.

Mgła gęścieje. Trzeciego matelota już nie widać. Drugi rysuje się niewyraźnie. Chwilami ma się wrażenie, że ktoś przesłania go kłębkami błękitnej waty.

Mija pół godziny. Wreszcie tuman rzednie nieco, ale nie pierzcha. Trzeba trzymać kurs ściśle według kompasu. A wiadomo jak kapryśna to bestja.

„Podhalanin" wychodzi z szyku i przybija do nas. Dowódca dywizjonu czujny i dbały o swe okręty przechodzi na nasz pokład. Płyniemy dalej małą szybkością.

Przykra to rzecz taka mgła. Na dłuższy okres przykrzejsza nawet od sztormu. Takie wrażenie ma zapewne górnik zgubiony w kopalni, bez światła, na drodze przebiegających węglowych kolejek. Nic to, że zatrzymasz maszyny, albo płynąć będziesz powoli. Nic to, że obliczysz wg. kompasu kurs jak najdokładniej. Nic to, że otrzymasz radjomeldunek o twojem położeniu. Nic to, że co trzydzieści sekund ryczyć będziesz syreną jak potępieniec. — Wyjdzie z błękitnego czy siwego tumanu nagle — groźne, bliskie i wielkie. Ani się spostrzeżesz jak zawiśnie nad tobą dziób parowca frachtowego, albo bugszpryt żaglowca, którego sygnały na rogu pochłonął miękki, żarłoczny opar. Albo kompas zacznie grymasić i zamiast do zbawczego portu trafisz na rafę czy mieliznę. Albo zaplączesz się w ustawione na brzegu sieci rybackie i będziesz stał godzinami złorzecząc i świdrując ostrzegawczą syreną uszy sobie i innym.

A właśnie nadbiega świeża fala mgły. Kontury tylnych torpedowców znów nikną, jakby kto kolejno przesuwał kurtynę z błękitnawej gazy. Syrena nasza nie ryczy już a chrapie, wydając szum podobny do przegotowanego prysznica. Wtórują jej syreny z „Krakowiaka" i „Podhalanina" — ale jakże słabo. Są o kilkaset metrów w tyle, a ledwo je słychać.

Wreszcie ukazuje się niewyraźny kontur lądu. Słaba, zamglona linja, niknąca za horyzontem. Wszystkie oczy — wszystkie lornetki — zwracają się w tamtą stronę. Nasz oficer nawigacyjny ma nawet taką minę, jakby chciał przeskoczyć na drugą stronę swej lornety.

Mgła wisi nisko i trudno się zorjentować. Domysły są różne. Zdania oficerów są podzielone.

— Schievenhost, — mówię tknięty jakiemś przeczuciem.

Dowódca dywizjonu milcząc grozi mi palcem. Ale jest za pózno. Powiedziałem w złą godzinę. Z mgły wyłania się wieżyczka, potem wrak dużego okrętu. Już nie ulega wątpliwości, że to ujście Wisły wraz z osiadłą na mieliźnie „Baltarą". Bierzemy teraz nieco wprawo i zmierzamy wprost ku Gdyni.

W powietrzu ukazuje się eskadra lotnicza. Znaleźli nas mimo mgły. Wodnopłatowce zataczają nad nami kilka kręgów i znikają w kierunku Pucka.

Jeszcze godzina i wchodzimy do Gdyni. Akurat kilka wycieczek szkolnych zwiedza port wojenny. Na ich oczach cumujemy w jednym szeregu, wyrównani jak pod sznurkiem, tuż obok dumnie wynoszą-

cego się nad molo „Wichra”, naszego nowego kontrtorpedowca. Mam okazję podziwiać zręczność i precyzję, z jaką dowódcy torpedowców manewrują swemi okrętami.

Wycieczki wchodzą na pokład. Nie jest to bardzo pożądane. Odrywa bowiem marynarzy od zajęć służbowych, sprawia pewien zamęt. Latem wycieczki te, a szczególnie ciekawi kuracjusze są plagą marynarki wojennej. Ale jeśli drugich pcha pusta ciekawość, to jakże odmówić uczącej się młodzieży. Jakże nie oprowadzić po okrętach tej czeredy rumianych pyszczków, w których oczy goreją z zachwytu, a usta pełne są pytań z prawdziwego zainteresowania płynących.

Ot i teraz na „Podhalaninie”, uczenice wyższych klas jakiejś pensji obstąpiły młodego porucznika, tego właśnie, co kusił swą grą obce syreny. Biedak opędza się jak może. Ale widać, że „pańszczyzna” ta nie jest mu znów tak przykrą.

Tymczasem oficer flagowy już biega jak kot z pęcherzem. Marna to jest funkcja „adjutanta morskiego”. Już na lądzie do przyjemnych nie należy. Ale przynajmniej pełni się ją w ramach „sztywnych”. A tu bujaj się człowieku dwa dni, przesiadaj na środku Bałtyku z okrętu na okręt poto, aby wypisać jakiś papierek, a po przyjściu do portu kiedy koledzy wreszcie syci wędrują na łono Morfeusza, biegaj z tysiącznemi służbowemi formalnościami, a na dobitkę zmęczony, głodny i niewyspany asystuj pięknym paniom przy zwiedzaniu okrętu.

Jak męczące jest wówczas odpowiadanie na naiwne, czasem niedyskretne, czasem niemądre, czasem dokuczliwe pytania, — zda sobie sprawę z tego tylko ten, kto nie zamknąwszy powiek przez 48 godzin, sam odbędzie choć raz taką pańszczyznę. Nic też dziwnego, że flagowy rzadko bywa w dobrym humorze.

Można tu zacytować ową znaną dobrze anegdotkę o flagowym oficerze pewnego brytyjskiego admirała. Jak wiadomo Anglicy konserwują z pietyzmem, — weterana wojen napoleońskich, okręt linjowy „Victory” — na którym Nelson poległ pod Trafalgarem. Pewnego razu ów oficer oprowadzał po pokładzie historycznego zabytku jakąś rosyjską damę. Zmuszony odgrywać volens-nolens rolę Ciceron'a, chciał jak najprędzej skończyć. To też odrazu zaprowadził damę na najważniejsze miejsce, do wielkiej płyty wbitej w pokład w miejscu, gdzie poległ admirał.

— Tu gdzie ta płyta srebrna padł właśnie Nelson, — powiedział.

— Nic dziwnego, — odparła roztargniona dama, — ja też o mało co się o tę płytę nie przewróciłam.

Rzemiosło oficera flagowego wymaga też nielada dyplomacji. Szczególnie tam, gdzie stosunki między dowódcą samego okrętu, wyższym dowódcą, zaokrętowanym na tejże jednostce danego zespołu,

mogą być często naprężone. Jest wówczas rzeczą flagowego tak manewrować, aby wilk był syty i owca cała.

Na pewnym krążowniku francuskim siedzący w swym fotelu na rufie admirał, przywołuje flagowego. — Poruczniku, — mówi zgryźliwym tonem, — idź do dowódcy i powiedz mu, że nawiguje jakby dowodził omnibusem kąpielowym a nie okrętem Republiki.

Porucznik salutuje w milczeniu i udaje się na mostek. Tam pręży się przed dowódcą i melduje: — Komendancie, admirał chciałby wiedzieć dlaczego zeszliśmy o pięć stopni z kursu.

— Stary bałwan, — mruczy w złości kapitan, — odpowiedz mu pan, aby patrzał swego nosa i nie wtrącał się do mojej roboty. Czy ja mu przeszkadzam dowodzić jego eskadrą?

Porucznik znów salutuje, wraca na rufę i tonem jak najsłodszym:

— Admirale, komendant melduje, że na skutek wiatru i prądu zdryfowaliśmy trochę. Błąd ten jest już jednak naprawiony.

I to się nazywa dyplomacją morską.

Wychodzę na ląd. Jest mi nijako. Przeniesiony zbyt gwałtownie ze świata Trytonów do świata płazów, nie mogę znaleźć sobie miejsca. Żałuję wczorajszego wodnego pustkowia, żałuję porannej mgły, co błękitną zasłoną oddzielała nas od ziemskiego padołu intryg, waśni i krwiożerczej walki o byt.

— O mamusiu, marynarz!...

Bawiące się w piasku jasnowłose chłopię uśmiecha się do mnie. A właściwie do mojej czapki. Uśmiecha się i leżąca opodal mamusia. Ma orzechowe oczy i nóżki jak antylopa. Siadam. Rozmowa wcale nie banalna.

O literaturze, o sztuce, o morzu. O słabem zainteresowaniu marynarką. O palącej potrzebie floty wojennej. O błędnem wyobrażeniu o marynarzach. Wszak nasza literatura wciąż jeszcze operuje krwiożerczemi bosmanami, pijanymi majtkami i kapitanami z „Latającego Holendra”. A prasa dalej miesza torpedowce z pancernikami i węglowe parowce z żaglowcami szkolnemi. Czas byłby najwyższy wybrnąć z tych naleciałości. Mając morze należy go być godnym.

Słońce ma się już dobrze ku Zachodowi, gdy mówię „do widzenia” mojej pięknej interlokutorce. Jednak i ląd ma swoje dobre strony.

Juljan Ginsbert.

Główne czynniki „Akcji Katolickiej“.

„Akcja Katolicka” wysunęła się na czoło wszystkich zagadnień, które poruszają współczesne umysły w obozie Chrystusowym. Ale — bądźmy szczerymi — rzadko kto pojmuje należycie: na czem zasadza się ta „Akcja Katolicka”, do której nawołuje Papież Pius XI i w obronie której nie waha się walczyć. Rzadko kto zdaje sobie realnie sprawę, jakie to główne czynniki składają się na to, co zwiemy dziś „Akcją Katolicką”.

Szczerość musi nam podyktować oskarżenie nas samych, że właściwie — naogół — nie zdajemy sobie sprawy, w czem tkwi sedno „Akcji Katolickiej”. I, gdybyśmy ścisnęli w garści wodę, w której pływa rozdrobniona dyskusja na temat „Akcji Katolickiej”, niewiele zostałoby solidnego kośćca ideowego. Tem należy sobie tłumaczyć, że różni wykładacze wielkiej myśli papieskiej o ożywieniu katolicyzmu, o wydarciu go z kwietyzmu i ospałości, umiejscowili sobie „Akcję Katolicką” dowolnie i wygodnie na odcinku życia kościelnego dla siebie najporęczniejszym.

Dlatego ciągle jeszcze trzeba przypominać: jakie to główne czynniki składają się na pojęcie „Akcji Katolickiej”.

Chodzi bowiem o to, by nie „krążyć” koło tego doniosłego zagadnienia, ale: by je ująć w istotnej treści, którą jest i będzie *ożywienie* dotychczasowych form pracy Kościoła Katolickiego.

Niestety w wielu wypadkach, zamiast ująć „Akcję Katolicką” u jej korzenia i tchnąć ducha w dotychczasowe organizacje, tworzy się nowe imprezy, oczywiście przy pomocy *tych samych* ludzi, często już „nawylot” wygadanych i „wyorganizowanych”.

To nie prowadzi do celu.

Odpowiedzieć trzebaby wprost: co więc prowadzi do celu?

Niełatwa to odpowiedź...

Spróbujemy ją jednak podać posługując się zestawieniem J. Em. X. Kardynała Michała Faulhabera, arcybiskupa monachijskiego.

W swem kazaniu z 11 lutego 1928 przedstawił on swym słuchaczom *pięć* zasadniczych czynników, które składają się na pojęcie „Akcji Katolickiej”.

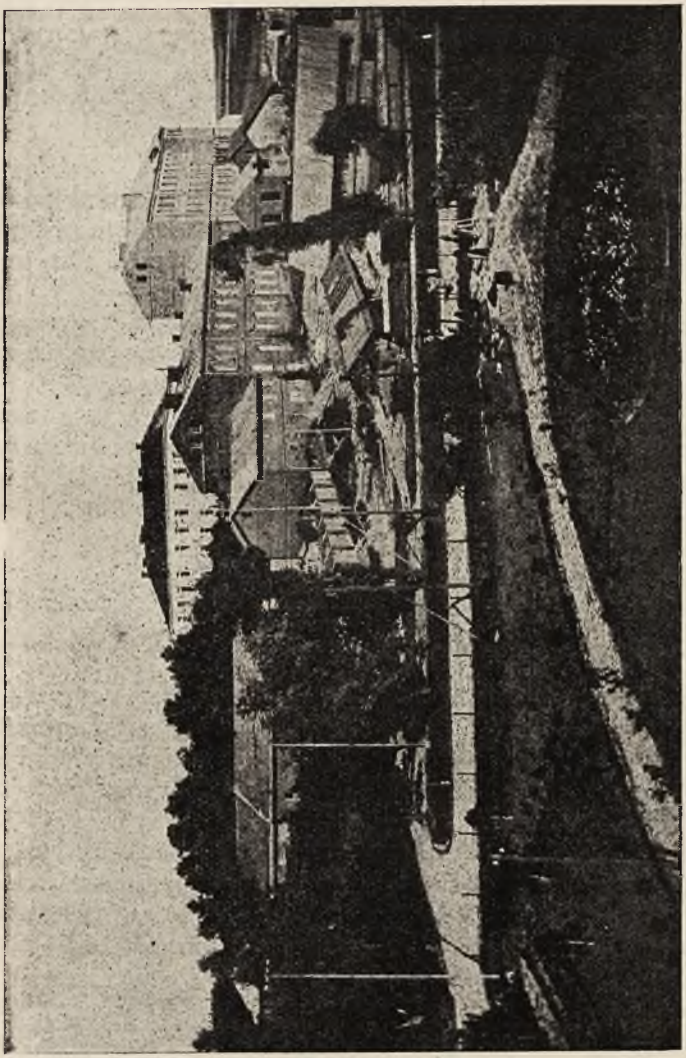
Mianowicie:

1. *Apostolstwo świeckich.*

Świeccy mają współpracować nad szerzeniem Królestwa Bożego, nad urzeczywistnieniem wielkiej misji, jaką pozostawił całemu Kościołowi Jego Boski Założyciel.

Apostolstwo świeckich — przeraża jednak i duchowieństwo i świeckich. Księża boją się niekiedy zbyt daleko idącej ingerencji świeckich w sprawach kościelnych. Świeccy zaś boją się nowych

i odpowiedzialnych obowiązków, jakie mają spaść na ich barki. I to nie jest jakiś odosobniony przykład, że n. p. parafjanie występują z bractwa, gdy proboszcz zamierza członków bractwa wciągnąć do



OGÓLNY WIDOK ZAKŁADU W MIEJSCU PIASTOWEM Z NIEWYKOŃCZONYM JESZCZE GMACHEM.

pewnej pracy w parafji, mianowicie do pomocy w katechizowaniu dzieci, pozbawionych normalnej nauki religji w szkole.

Nastawienie obecne do apostolstwa świeckich wynika ze złej tradycji ostatnich wieków.

Kler poczęto uważać za jakąś kastę odseparowaną od reszty wiernych. I powoli zaczęło nawet załamywać się zaufanie świeckich do duchowieństwa, nad czem — oczywiście — bardzo gorliwie pracowali wrogowie Kościoła świętego.

I dziś trzeba rozwalać mur, dzielący kler od świeckich!

A trzeba go rozwalić jak najrychlej i pod hasłem ożywienia poczucia jedności mistycznego Ciała Chrystusowego, jakie było w pierwszych wiekach Kościoła Katolickiego. Jest to przecież zasadnicza nuta encyklik Piusów X i XI!

2. *Współpraca organizacyjna.*

Nie tyle — więc — chodzi tu o to, by powstawały nowe posterunki organizacyjne, ile raczej o to, by te, co już istnieją spoić więzią współpracy, zdrowej zależności i harmonijnej koordynacji.

Tak nakazuje elementarny plan strategiczny.

Zbyt długo chadzały bowiem luzem nasze katolickie organizacje. To też i nie dziw, że tyle ich skończyło niesławny swój żywot na przedwczesny uwiąd, a tyle znów wegetuje zaledwie.

Gdy spróbujemy zrealizować tę współpracę, przekonamy się, że wiele notowanych tradycyjnie „placówek" naszych musimy poprostu skreślić. Niejeden ładny i w dobrym stanie sztandar musimy odstąpić innej organizacji, zmieniwszy przedtem godło...

Nie bójmy się tej wiwisekcji! Nieodzowna.

Poco łudzić się, nawet — sztandarami?

Sumienie nakazuje pochować sztandary, gdy za niemi niema armji...

3. *Katolicki charakter* pracy.

Ks. Kardynał Faulhaber wymieniwszy ten trzeci czynnik „Akcji Katolickiej" odrazu wyjaśnia poprostu: jak należy rozumieć katolicki charakter „Akcji Katolickiej". I powiada: pracować i działać po katolicku t. zn. w podporządkowaniu i uległości autorytetowi Władzy Kościelnej.

Jest to szkopuł, na którym urastają największe trudności.

Mamy dowód na konflikcie faszyzmu z czynnikami decydującemi we włoskiej „Akcji Katolickiej". Dowód aż nadto bolesny.

Jednakowoż nie możemy być — zwłaszcza tu — nieszczerymi...

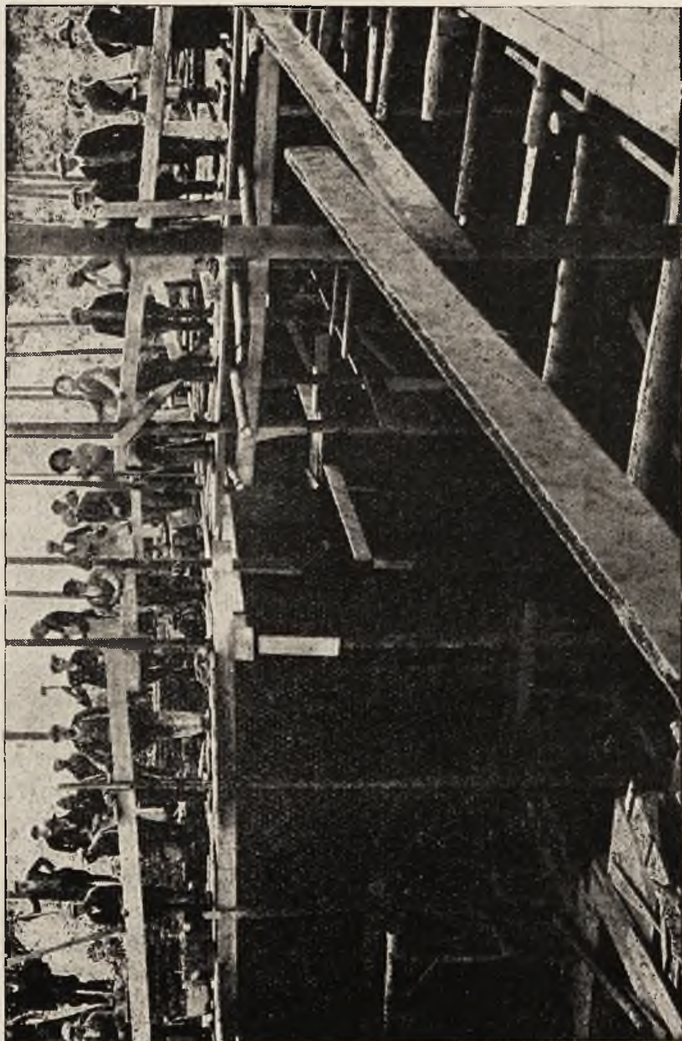
U nas, katolików, autorytet Władzy Duchownej jest esencjonalną częścią składową naszej św. religji katolickiej. I obcym katolicyzmowi jest ten, kto nie rozumie i nie uznaje chętnie naturalnej i zasadniczej konieczności poddania wszystkich poczynań pracy katolickiej autorytetowi Władzy Kościelnej.

I w tym względzie swem: „Instaurare in Christo!" Stolica Apostolska kieruje nas do szkoły pierwszych chrześcijan, którzy przecież oparcie o swego biskupa i harmonijną współpracę z nim,

ogniskującą się w chętnem i uległem posłuszeństwie, uważali za warunek sine qua non wszystkich poczynań życia katolickiego.

4. *Czyn katolicki.*

Kardynał monachijski wychodzi słusznie ze założenia, że Akcja t. zn. Czyn. Tak jest istotnie.



BUDOWA KAPLICY ZAKŁADOWEJ W MIEJSCU PIASTOWEM.

To też zadaniem „Akcji Katolickiej", jej zasadniczym elementem jest: czyn katolicki!

A więc: nie mnożenie posiedzeń, komitetów, zebrań, sekcyj, biur, prezesur i t. p., ale mnożenie czynów katolickich.

Gdy n. p. katolicy w czasie bezrobocia stworzą akcję pomocy głodnym, gdy stworzą organizację ratunkową w okresie klęski (vide: Komitet Biskupi Księcia Metropolity Sapiehy w czasie wojny, K. B. K.,) — to taka akcja więcej warta niż parę setek beznadziejnych posiedzeń, dyskusyj, propagandowych broszur, statutów etc.

Juljusz Słowacki w swym mało znanym „Wykładzie nauki" nazywa Kościół Katolicki „potężnym aniołem czynu". I istotnie: czyn jest esencjonalnym żywiołem katolicyzmu, jak jest żywiołem podstawowym Ewangelji, całego Nowego Testamentu, jako dzieła Zbawiciela świata.

Bo u podstaw dobrze zrozumianej nauki P. Jezusa, w jej najistotniejszej treści zasadniczej tkwi polecenie, abyśmy „przynosili owoc w każdym uczynku dobrym" (Kolos. I. 10).

5. *Optymizm katolicki.*

My, katolicy, byliśmy w ostatnich czasach przyzwyczajeni, żeśmy stale byli spychani na plan ostatni. A każde jakieś śmielsze wystąpienie czy pociągnięcie unicestwiał nagminnie panujący wśród nas pessymizm, powszechna niewiara w powodzenie poczynań katolickich.

Oczywiście żołnierz, który nie wierzy w zwycięstwo, jest najgorszym żołnierzem. Pessymizm demoralizuje i siły odbiera. Pessymizm podgryza eneregję w sposób zastraszający.

Dlatego hasłem „dnia dzisiejszego" w Kościele musi być optymizm. Nie optymizm niefrasobliwego dziecka, ale optymizm żołnierza, który — po chwilowem przygnębieniu — otrząsa się i zrywa do boju, bo mu w duszy gra potężna surma zwycięska: „Ufajcie! Jam zwyciężył świat!"...

Optymizm nasz kotolicki ma się czem karmić i na czem oprzeć!

Precz zatem z małodusznością, precz ze ślamazarnością, która tak długi czas była — niestety — przekleństwem wszystkich naszych poczynań katolickich!

Z dumą i z podniesioną głową możemy śmiało iść za Chrystusem. I — powinniśmy iść za Boskim naszym Mistrzem pełni zapału i najszlachetniejszego optymizmu.

Musi się skończyć bezpowrotnie okres, gdy za Chrystusem wlókł się jeno sznur ciurów obozowych! Musi przyjść era nowa, bohaterska, nawiązująca tradycjami do świetlanych pierwszych wieków Kościoła świętego!

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Może myśli, wysnute z założeń jednego z najwybitniejszych biskupów współczesnych, przydadzą się do programowego ujęcia wytycznych w „Akcji Katolickiej".

Uczyńmy je przedmiotem naszych rozważań!

Ks. Henryk Weryński.

Na ważnym odcinku.

Już *Leibnitz,* filozof niemiecki, powiedział te doniosłe słowa: „dajcie mi na 50 lat wychowanie młodzieży, a świat przerobię!” I nie było w tem powiedzeniu Leibnitza ani słowa przesady. Czasy następne, a zwłaszcza ostatnie lata, potwierdziły je w zupełności.

Dlatego o młodzież toczy się dziś walka pomiędzy państwem a Kościołem, pomiędzy Królestwem Bożem i królestwem szatana — w różnych krajach, zaostrzając konflikty, które rzucają jaskrawe refleksy na doniosłość zagadnienia: wychowania młodego pokolenia. Doniosłość tę ujęła znana działaczka, amerykańska p. *Hunt,* w dosadnym i trafnym aforyzmie: „Jeżeli dzisiaj uratujemy dzieci, uratujemy jutro cały naród!“

Na straży ratowania dzieci i młodzieży stoją (stać powinny przynajmniej...) dwa moralne bastjony: rodzina i szkoła. I na ich terenie oczywiście rozegra się i rozstrzygnie batalja o przyszłość ludzkości.

Jednak rodzina i szkoła nie obejmują rezerwuaru młodzieży bez reszty.

Życie twardą swą garścią wyrzuca pewien odsetek dzieci i młodzieży poza nawias normalnego rozwoju w ramach rodziny i szkoły. Odsetek ten rekrutuje się przeważnie z *sierót.* Ale znajdziemy tam również całe szeregi *dzieci opuszczonych,* które nie są sierotami w ścisłem tego słowa znaczeniu.

Państwo nasze odrodzone, młode i „dorabiające“ się, nie może podołać wszystkim potrzebom społecznym. I — dając naukę szkolną powszechną — inicjatywę wychowania i opieki nad dzieckiem zostawia rodzinie. Dziecko zaś pozbawione ogniska rodzinnego lub opuszczone albo marnuje się albo trafia na — serce ludzkie, które mu zastąpi matczyne ciepło i ojcowską rękę na drodze życia.

W Kościele Katolickim Bóg nie skąpił takich serc, a niektóre z nich zajaśniały na kartach dziejów tak wspaniałem światłem twórczem, że skupiły koło siebie szeregi naśladowców, przedłużające się po dzień dzisiejszy. Tym sercom na imię: Św. Filip Neri, Św. Jan de la Salle, Bł. Jan Bosco, Ks. Bronisław Markiewicz i i.

Ojczyzna nasza nietylko zrozumiała wielką misję Bł. Jana Bosco, nie tylko dała gościnę Jego rodzinie duchownej, która wydała Jej Prymasa, ale nadto powołała do życia nową latorośl z tego pnia: *dzieło Ks. Bronisława Markiewicza,* dostosowane do naszych potrzeb i zrosłe z lokalnemi warunkami.

Po okresie prób i trudności dzieło to rozwinęło zbawienną działalność w kilku punktach Polski, nabierając coraz większego rozmachu ku chwale Bożej i dobru Ojczyzny.

W okresie bezrobocia i kryzysu gospodarczego, w okresie przejawów bardzo blisko sąsiadujących z rewolucją i przewrotami społecznemi, w chwili dziejowej, noszącej na sobie cechy zastraszające walki z porządkiem Bożym w świecie, — objawem krzepiącym na duchu i niecącym żywą nadzieję lepszego jutra są wysiłki tego rodzaju jak właśnie praca spadkobierców Ks. Bronisława Markiewicza, Księży Michaelitów.

Rejestracja wyczerpująca ich dorobku nie jest celem tego artykułu. Ale wystarczy parę cyfr i parę danych statystycznych, by naświetlić zbawienną i owocną działalność zgromadzenia Św. Michała z jednej strony, a z drugiej strony, by zachęcić ludzi dobrej woli w Ojczyźnie naszej do chętnej i wydatnej pomocy tym, którzy jęli się pracy ogromnie doniosłej *na ważnym odcinku* naszego życia narodowego.

Zgromadzenie Św. Michała Archanioła liczy narazie *14* księży, *7* kleryków i *27* braci. — Surowe i ubogie życie odstrasza niejednego — niestety...

Zakładów posiada Zgromadzenie *pięć,* mianowicie: *w Miejscu Piastowem*, w Krakowie, w Pawlikowicach, w Berteszowie i w Dziatkowiczach. We wszystkich jest stale przepełnienie, bo XX. Michaelici wychowują młodzież... bezpłatnie, co jest wprost unikatem w obecnych nad wyraz ciężkich warunkach ekonomicznych. O rozbudowie, dostosowanej do potrzeb, niema mowy, chyba — że znajdą się jacyś opatrznościowi wielcy ofiarodawcy. Jak dotąd — to: Zgromadzenie skazane jest głównie na drobne ofiary szerokich sfer społeczeństwa, które wobec zubożenia ogólnego nie napływają dość zadowalająco, — i na nieliczne subwencje.

Cyfry najlepiej ilustrują wartość *dzieła Ks. Markiewicza,* więc weźmy pod rozwagę porcję statystyki i końcowe cyfry z bilansu Zakładu w Miejscu Piastowem:

Zgłoszeń o przyjęcie w roku szkolnym 1930/31 było: *1150,* można było przyjąć zaledwie... 49, bo opuściło (w tym okresie) zakład 47 chłopców.

Ogólna liczba wychowanków, przebywających obecnie w Miejscu Piastowem wynosi: 269, w tem w wieku od lat 8 do 16 jest 180, a od lat 16 do 20: 89.

Wychowawców (łącznie z księżmi) jest 18.

Zatem „załoga“ Miejsca Piastowego, względnie Michalineum, wynosi sporą liczbę *287* osób.

W ubiegłym roku szkolnym było w szkole powszechnej *120* chłopców, zaś w szkole zawodowej *80* uczniów. W r. 1930/31 ukończyło szkołę zawodową *20* chłopców, egzamina czeladnicze złożyło *20*.

W Zakładzie wychowawczym w Miejscu Piastowem są czynne następujące warsztaty pracy: ślusarski, stolarski, szewski, krawiecki,

nadto: drukarnia, introligatornia, pracownia galanterji skórkowej, młyn. Pozatem ćwiczą się niektórzy wychowankowie w ogrodnictwie, wreszcie w muzyce. Pospieszam dodać, że orkiestra Michalineum wzięła w konkursach muzycznych raz pierwszą, a raz drugą nagrodę.



PRACA W OGRODZIE.

A teraz poprośmy Ks. Dyrektora Zakładu, by był łaskaw pozwolić nam zaglądnąć do wzorowo prowadzonych ksiąg rachunkowych, w których kryją się dzieje zmagań i wysiłków o utrzymanie i rozszerzenie Zakładu w Miejscu Piastowem.



POBYT P. MINISTRA P. i O. S. HUBICKIEGO W MIEJSCU PIASTOWEM.

Las cyfr, zwarte szeregi kolumn przesuwają się przed naszemi oczyma. Podsumujmy tę armję liczb, rozdzielmy wpływy i wydatki, a otrzymamy następujący rezultat za rok ostatni:

dochody . . . . . 284.887·75 zł,
rozchody . . . . . 322.654·06 „
saldo . . . . . . 37.766·31 zł, jako poważny dług notujemy z tą nadzieją, że ta pozycja pobudzi ofiarność przyjaciół *dzieła Ks. Markiewicza.*

Gospodarzą Jego Synowie solidnie i oszczędnie, ale mimo idealnej gospodarki trudno nadążyć potrzebom...

Dodajemy skwapliwie, że na wykończenie nowowybudowanego 3-piętrowego gmachu potrzeba *dziś* 150.000 zł.

Zanotować wreszcie musimy, że — mimo szalonych wprost trudności — przystąpili XX. Michaelici do budowy kaplicy w Miejscu Piastowem.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Do tego obrazu nic już nie dodajemy.

Prosimy jeno o rozważenie poważne rozmachu pracy XX. Michaelitów, dzisiejszych ich potrzeb i perspektyw, wyrastających na przyszłość najbliższą!

Chętni i życzliwi raczą się zwrócić pod adresem: Michalineum, p. Miejsce Piastowe.

Pocznijmy choćby od skromnej cegiełki, jaką jest prenumerata ich miesięcznika: „Powściągliwość i praca“, wynosząca zaledwie 3 zł. (trzy złote) *rocznie! *)*

Resztę niech nam podpowie serce!...

Ks. Henryk Weryński.



*) Adres: Miejsce Piastowe. — Konto P. K. O. Kraków 405.570.

Polaku, Polko!



Wśród Świętych i Błogosławionych, którzy na naszej polskiej ziemi urodzili się, pracowali i uświęcili, którzy w polskim języku odmawiali swój pacierz codzienny, którzy Polskę zwali Ojczyzną, i ją serdecznie za życia kochali, a po śmierci w niebie stali się jej orędownikami, — wybitne miejsce zajmuje bł. Jan z Dukli, Patron Polski, Rusi i Litwy, wielki Cudotwórca, którego grób we Lwowie ściągał niegdyś niezliczone tłumy wiernych, podobnie jak grób św. Antoniego w Padwie.

Imię bł. Jana z Dukli zespoliło się zwłaszcza bardzo ściśle z historją naszą w pamiętnym wieku XVII, gdy dzikie hordy Kozactwa i Tatarstwa „ogniem i mieczem" niszczyły wschodnie rubieże naszej Rzeczypospolitej, a zacięte szeregi Szwedów zalały „potopem" jej ziemie północne i zachodnie. Na 17 lat przed cudowną obroną Częstochowy przed Szwedami (w r. 1655), w cudowny sposób został przed Kozakami i Tatarami ocalony bohaterski gród Lwowa (r. 1648). Jak Częstochowy broniła Najświętsza Panna, Królowa Polski, tak znów Lwowa bronił bł. Jan z Dukli, który w czasie oblężenia unosił się nad miastem w obłokach, z rozłożonemi rękoma. Stało się to zapewne nie bez wyraźnej woli tejże Królowej Polski, Marji, która opiekę nad ziemiami ruskiemi, wchodzącemi w skład naszej Ojczyzny, oddała właśnie bł. Janowi.

To też naród wdzięczny za tę nadzwyczajną opiekę, wdzięczny za mnóstwo innych cudów i łask, prosił ciągle i wyprosił wreszcie u Stolicy Piotrowej, że w r. 1733 policzyła Jana z Dukli do rzędu Błogosławionych, a w r. 1739 zamianowała go Patronem Polski i Litwy, gdyż dotychczas był czczony głównie jako Patron Rusi.

Za 2 niecałe lata (17 stycznia 1933) wypada 200 rocznica, od owego dnia kiedy Jan z Dukli został policzony w poczet Błogosławionych. Na tę uroczystość powinna się zmartwychwstała nasza Ojczyzna należycie przygotować. Na złożeniu jednak zwyczajnego hołdu jubileuszowego poprzestać nie możemy. Z polskich serc powinna się wznieść do Tronu Bożego gorąca modlitwa o łaskę kanonizacji, tj., byśmy mogli tego wielkiego naszego Rodaka widzieć policzonego przez nieomylny wyrok Kościoła do rzędu Świętych. Marzyli już o tem nasi ojcowie przed rozbiorami. W Rzymie wszczęto wówczas odpowiednie starania. Klęski jednak, które spadły na cały kraj

i zakuły go w półtorawiekową niewolę, wstrzymały rozpoczęty proces kanonizacyjny. Dziś dzięki Bogu sytuacja zmieniła się na lepsze. Możemy znów o tej kanonizacji marzyć, mówić, o nią czynić starania, tembardziej, że Postulatura Generalna Braci Mniejszych (OO. Bernardynów) w Rzymie stale od roku 1762 sprawę tejże kanonizacji ma w swej ewidencji i czeka tylko na podanie potrzebnych cudów, aby je przedłożyć Stolicy Apostolskiej.

Ufać możemy, że bł. Jan wyprosi u Boga owe, nieulegające żadnej wątpliwości, cuda, wymagane przez Kościół do każdej kanonizacji, jeżeli zobaczy, że w Polsce wszędzie, po miastach, miasteczkach i wioskach, budzi się i rozżywia dawna jego cześć i dawne nabożeństwo.

Właśnie do rozbudzenia tej czci i nabożeństwa ma służyć obszerna, bo 304 stronic licząca, książeczka, która świeżo wyszła z druku p. t.

BŁ. JAN Z DUKLI,
Patron Polski, Rusi i Litwy.

Treść tej nowej książeczki, wszechstronnie przemyślana, rozpada się na następujące działy:

Przedmowa (str. 5—10), — żywot (11—54), pamiątki po bł. Janie (55—77), — o nabożeństwie do bł. Jana (79—86), — nowenna (87—135), — oktawa (137—154), — septenna (155—169), — triduum (171—189), — msza św. (191—224), — godzinki o bł. Janie (225—236), — różne modlitwy jak: litanja, responsorjum, modlitwy w różnych potrzebach, obiór bł. Jana na szczególniejszego swego patrona itp. (237—263), — pieśni (265—289), — dodatki końcowe (290—304).

Całość zdobi 15 pięknych ilusracyj, które uwypuklają i ożywiają jej treść.

Ponieważ doświadczenie uczy, że cuda i łaski doznawane za pośrednictwem Świętych wpływają ogromnie na rozbudzenie nabożeństwa i zaufania w sercach ich czcicieli, dlatego w przebogatą treść książeczki wpleciono około 50 przykładów, dawniejszych i nowszych, zaczerpniętych z historji cudów bł. Jana.

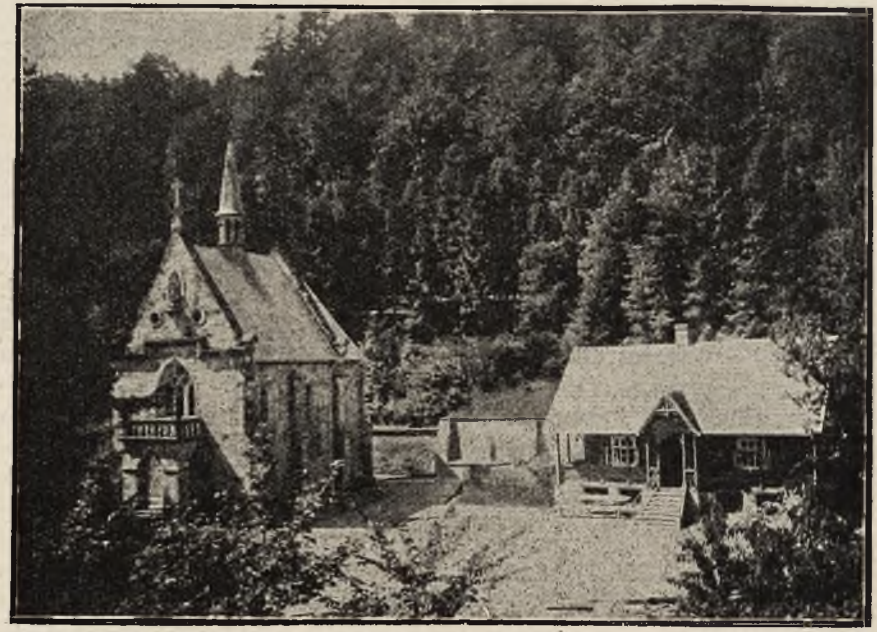
Książeczka pisana jest stylem prostym, łatwym, jasnym, a przytem serdecznym. Wieje z niej gorące umiłowanie postaci bł. Jana. Kto weźmie ją do ręki i z treścią się jej zapozna, stać się musi gorącym czcicielem i miłośnikiem wielkiej i świetlanej postaci bł. Jana.

Bez przesady powiedzieć można, że książeczka ta jest w swoim rodzaju nowością i niespodzianką. Żaden z naszych polskich Świętych i Błogosławionych nie posiada dotąd książeczki tak wyczerpująco i wszechstronnie opracowanej, a nadającej się do celów dewocyjnych, jak właśnie bł. Jan z Dukli.

Książeczkę tę nabyć powinien każdy Polak, każda Polka, tembardziej, że dochód z jej rozprzedaży przeznaczony jest na fundusz kanonizacyjny bł. Jana. Kto ją nabędzie, tem samem przyczyni się materjalnie do procesu kanonizacyjnego, który, da Pan Bóg, niedługo może się rozpocznie.

Cena 1 egzemplarza brosz. 1·50 zł., oprawionego w płótno, brzęg czerwony (polerowany) 2 zł.

Prócz tej najnowszej książeczki można nabyć broszurkę o bł. Janie z Dukli, obrazy duże i małe błog. Jana z cząstką materji potartej o Jego relikwje, — medaliki i wodę z cudownego źródełka

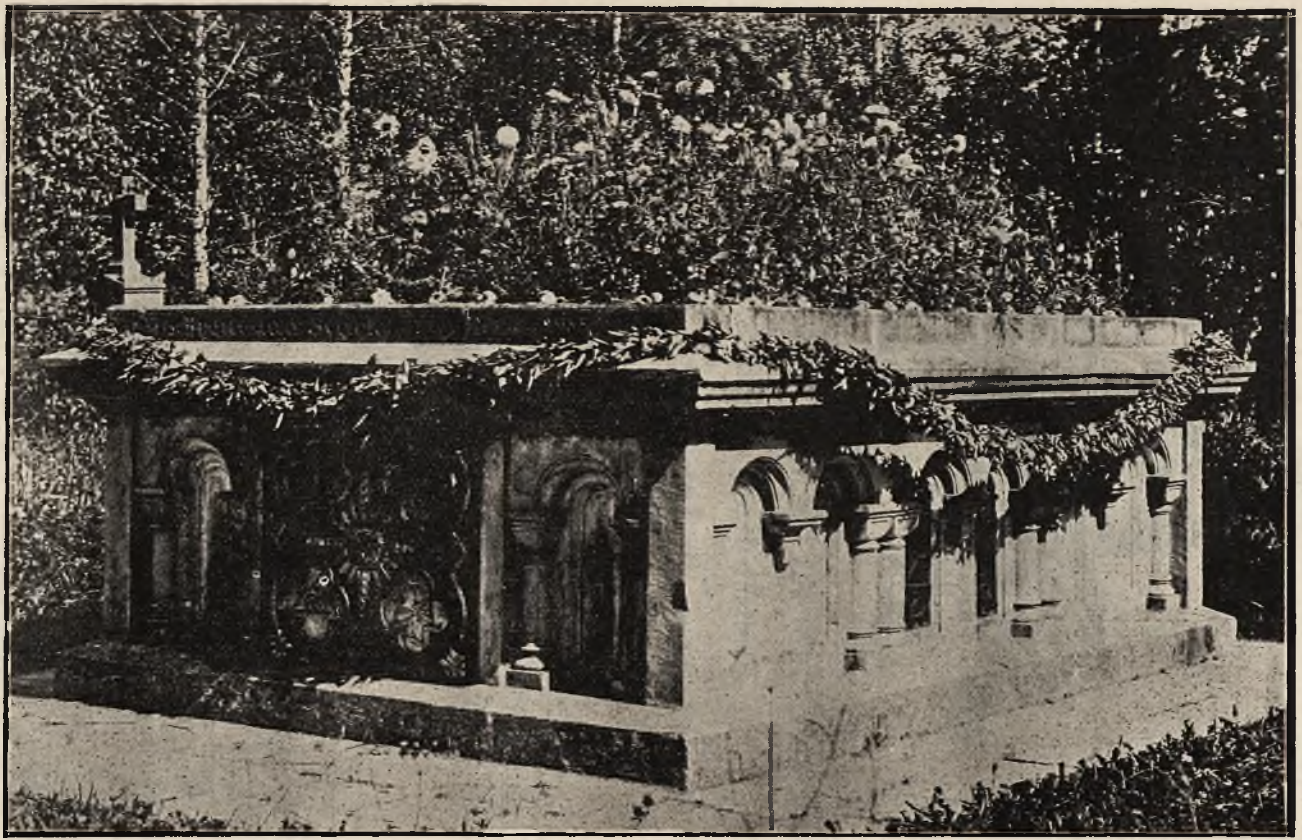


na Puszczy w Dukli, gdzie błog. Jan po ukończeniu Akademji Jagiellońskiej w Krakowie, 3 lata prowadził życie pustelnicze i pokutnicze, gdzie dzisiaj znajduje się piękny z ciosowego kamienia kościółek, — Stacje Drogi Krzyżowej, — Schronisko dla pątników, — Domek dla rekolekcyj zamkniętych i mały domeczek dla Pustelnika.

Powyższe dewocjonalja zamawiać należy:

a) Klasztor OO. Bernardynów w Dukli (Małopolska)
b) Klasztor OO. Bernardynów we Lwowie „
c) Klasztor OO. Bernardynów w Rzeszowie „

Uwaga: Wszelkie ofiary na kanonizację błog. Jana z Dukli uprasza się przesyłać pod adresem: **Najprzew. Kurja Prowincjonalna OO. Bernardynów w Rzeszowie.**



GROBOWIEC X. BRONISŁAWA MARKIEWICZA W MIEJSCU PIASTOWEM († 1912).
Założył Zgromadzenie św. Michała Archanioła i Zakłady wychowawcze dla sierót i opuszczonej młodzieży.



HIERARCHJA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO

na ziemiach Rzeczypospolitej Polskiej

Najwyższy Pasterz Kościoła:
Jego Świątobliwość

OJCIEC ŚW. PIUS XI PAPIEŻ

(przedtem kard. Achilles Ratti, były Nuncjusz Ap. w Polsce)
ur. 1857, obrany papieżem 6 lutego i koronowany 11 lutego 1922 r.

Nuncjusz Apostolski w Polsce
Mgr. Franciszek Marmaggi
Arcybiskup

METROPOLJA GNIEŹN.-POZNAŃSKA:

Archidiecezja gnieźnieńsko-poznańska.
Arcybiskup-Prymas Polski: JEm. Kard. Dr. August Hlond.
Biskup-sufragan gnieź.: Antoni Laubitz.
Biskup-sufragan poz.: Walenty Dymek.

Diecezja włocławska.
Biskup-ordynarjusz: Karol Radoński.
Biskup-sufragan: Wojciech Owczarek.

Diecezja chełmińska.
Biskup-Ord.: Stanisław Okoniewski.
Biskup-sufragan: Konstanty Dominik.

METROPOLJA WARSZAWSKA:

Archidiecezja warszawska.
Arcybiskup-metropolita: JEm. Kardynał Aleks. Kakowski.
Biskup-sufragan: Antoni Szlagowski.
Biskup polowy: Stanisław Gall.

Diecezja płocka.
Biskup-Ord.: Antoni Juljan Nowowiejski.
Biskup-sufragan: Leon Wetmański.

Diecezja sandomierska.
Biskup-Ord. Włodzimierz Jasiński.
Biskup-sufragan: Paweł Kubicki.

Diecezja lubelska.
Biskup-Ordynarjusz: Marjan Leon Fulman.
Biskup-sufragan: Adolf Józef Jełowicki.
Diecezja podlaska.
Biskup-Ordynarjusz: Henryk Przeździecki.
Biskup-sufragan: Czesław Sokołowski.
Diecezja łódzka.
Biskup-Ord.: Wincenty Tymieniecki.
Biskup-sufragan: Kazimierz Tomczak.

METROPOLJA LWOWSKA:

Archidiecezja lwowska.
Arcyb. metropol.: Bolesław Twardowski.
Biskup-sufragan: Franciszek Lisowski.
Diecezja przemyska.
Biskup-Ordynarjusz: Anatol Nowak.
Biskup-sufragan Franciszek Barda.
Diecezja łucka.
Biskup-Ordynarjusz: Adolf Piotr Szelążek.
Biskup-sufragan: Stefan Walczykiewicz.

METPOPOLJA KRAKOWSKA:

Archidiecezja krakowska.
Książe-metropol.: Adam Stefan Sapieha.
Biskup-sufragan: Stanisław Rospond.
Diecezja kielecka.
Biskup-Ordynarjusz: Augustyn Łosiński.
Diecezja tarnowska.
Biskup-Ordynarjusz: Leon Wałęga.
Biskup-sufragan: Edward Komar.
Diecezja częstochowska.
Biskup-Ordynarjusz: Teodor Kubina.
Diecezja katowicka.
Biskup-Ordynarjusz: Stanisław Adamski.

METROPOLJA WILEŃSKA:

Archidiecezja wileńska.
Arcyb.-metr.: Romuald Jałbrzykowski.
Biskup-sufragan: Kazimierz Michalkiewicz.
Diecezja łomżyńska.
Biskup-Ordynarjusz: St. Kostka Łukomski.
Biskup-sufragan: Edward Dembek.
Diecezja pińska.
Biskup-Ordynarjusz Zygmunt Łoziński.

WOLNE MIASTO GDAŃSK:

Biskup-Ordynarjusz: Edward O'Rourke.

W Ameryce polscy Ks. Biskupi:

W diecezji Green Bay: Paweł Rhode.
Biskup-sufragan Detroit: Józef Plangens.

Najprzewielebniejsi Ks. Biskupi innych katolickich obrządków w Polsce:

Archidiecezja lwowska obrz. ruskiego.
Arcybiskup-metropol.: Andrzej Szeptycki.
Biskup-sufragan: Iwan Boczko.
Diecezja przemyska obrz. ruskiego.
Biskup-ordynarjusz: Józef Kocyłowski.
Biskup-sufragan: Grzegorz Łakota.
Diecezja stanisławowska obrz. ruskiego.
Biskup-Ord: Grzegorz Chomyszyn.
Biskup-sufragan: Jan Latyszewski.
Archidiecezja lwowsku obrz. ormiańskiego.
Arcybiskup Józef Teodorowicz.

Najprzewielebniejsi Ks. Biskupi nieposiadajacy diecezji:

Były biskup kamieniecki, Arcybiskup Piotr Mańkowski (mieszka w Włodzimierzu W.).
Były biskup łucko-żytomierski Ignacy Dubowski (mieszka w Rzymie)
Były biskup-sufragan lwowski Władysław Bandurski (mieszka w Wilnie).
Były biskup-sufragan łucki Michał Godlewski, obecnie prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Szanujcie i chrońcie wasze zdrowie!





Nasi dziadowie mieli rację, kiedy radzili naszym ojcom trzymać się dobrej starej reguły, że człowiek przez codzienne zabiegi musi uczynić ciało odpornem, by mogło łatwo przemóc pojawiające się choroby. — Podajemy tutaj kilka takich rad dla

chorych i zdrowych,

których należałoby zawsze przestrzegać, ponieważ zawsze okazują się skuteczne.

Rano





po opuszczeniu łóżka, natrzyj wszystkie członki, muskuły i skronie prawdziwym fluidem Fellera „Elsa". Uśmierza on bóle i działa bardzo dodatnio na organizm, wzmacnia go, krzepi i czyni odpornym na przeziębienia, katar i t. d.; kilka kropel fluidu, zmieszanych z wodą do płukania ust i gardła, chroni przed bólem gardła, chrypką, zaflegmieniem i utrzymuje zęby w zdrowiu, dzięki swoim własnościom dezynfekcyjnym.

W podróży



uśmierzający bóle fluid Fellera „E l s a" użyty wewnętrznie lub zewnętrznie, jest również wybornym środkiem ochronnym. — Kilka kropel na cukrze ma bardzo przyjemny smak i uśmierza boleści żołądkowe, pomaga niezawodnie przy mdłościach, jak również w chorobie morskiej. — Równie wyśmienitym jest fluid „E l s a" przy bólach głowy, zębów i t. d.

Wieczorem,

przed udaniem się na spoczynek, natarcie fluidem „E l s a" jest prawdziwem dobrodziejstwem dla znużonego, osłabionego ciała zwłaszcza dla ludzi, którzy źle śpią, cierpią na darcie w członkach, bóle twarzy i t. d. Taki masaż pobudza przyjemnie obieg krwi i zwiększa ogólne poczucie zdrowia.

W domu



od 35 lat fluid Fellera „E l s a" w setkach wypadków oddaje nieocenione usługi, jako wypróbowany środek domowy. Do okładów w wypadkach skaleczeń i wszędzie, gdzie potrzeba szybkiej pomocy, jest on zawsze niezawodną ochroną.

Fluid Fellera „E L S A" z prawnie chronioną marką „Elsafluid", ten wyśmienity środek domowy, nabywać można we wszystkich aptekach we flakonach podwójnych lub specjalnych.

Jak dobroczynnie działa Elsafluid przy cierpieniu reumatzmu i gichta, świadczą liczne dziękczynne listy, z których się może codziennie przekonać, że Elsafluid zwalcza z łatwością zupełnie i najbardziej zastarzały reumatyzm.

Fellera pigułki przeczyszczające „E l s a", regulujące trawienie.

CENY: Stałych cen podać nie można, ale zalicza się każdorazowo ceny możliwie najniższe. Obszerne cenniki można dostać na żądanie.

Miejsca nabycia: Prawdziwe preparaty „Elsa" **apt. E. V. Fellera** można zamawiać:

Dla Polski:

Polska Ekspedycja Nr. 703 preparatów „ELSA", apteka A. Gutwińskiego. Bielsko, Rynek 15.

Dla wszystkich innych krajów: **Apteka Eugen. V. Fellera, Stubica Donja 703, Chorwacja (Jugoslawja).**

Nasze panie dochodzą zawsze do przekonania, że dla ich zdrowia, pielęgnacji ciała, urody i piękności są jednak najlepsze hygjeniczne, czyste i radykalne w działaniu preparaty Elsa aptekarza Fellera. Dla pielęgnacji twarzy i zachowania świeżości cery najlepszy jest „Elsa-Crem", na porost włosów doskonała pomada Fellera „Elsa-Tannochina", mleczne mydło liljowe — mydło piękności i zdrowia — „Elsa". **Polskie miejsce wysyłki Nr. 703 preparatów Elsa, Aptekarz A. Gutwiński, Bielsko, Rynek 15.**